

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE SŁĄSKIEM

SŁASK

CENA 7 ZŁ (w tym 5% VAT)

www.slaskgtl.pl

Nr 7 (236) • ROK XX • LIPIEC 2015

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X





Trwającym trzy dni (26-28 czerwca) Festiwalem Otwarcia zainaugurowana została wystawiennicza działalność nowego Muzeum Śląskiego. Znajdujące się na terenie dawnej kopalni „Katowice” obiekty muzealne odwiedziło w tym czasie ponad 17 tysięcy zwiedzających. W oficjalnym otwarciu Muzeum Śląskiego udział wzięli: minister kultury i dziedzictwa narodowego Małgorzata Omilanowska, reprezentujący władze samorządowe województwa śląskiego marszałek Wojciech Saługa oraz przewodniczący Sejmiku Samorządowego Grzegorz Wolnik, parlamentarzyści. W progach Muzeum znakomitych gości powitała dyrektor Alicja Knast. *Więcej o Festiwalu Otwarcia w artykule Katarzyny Berety pt. „Muzeum Śląskie – nowe otwarcie” (str. 6) oraz w fotoreportażu Arkadiusza Ławrywianca, który prezentujemy w cyklu „Znaki i Twarze Miasta Katowice” (str. 67).*



Galowy spektakl z okazji jubileuszu Opery Śląskiej w 70. rocznicę jej powstania odbył się 14 czerwca 2015 roku. Tego wieczoru zespoły Opery Śląskiej pod batutą dyrektora Tadeusza Serafina, zaprezentowały wznowiony po 10 latach spektakl opery „Halka” Stanisława Moniuszki. W części oficjalnej na ręce dyrektora Tadeusza Serafina przekazano wiele gratulacji jakie napłynęły od władz państwowych, samorządowych, parlamentarzystów oraz od przyjaciół Opery. Wydarzenie to poprzedziło odsłonięcie popiersia wybitnego tenora Bogdana Paprockiego (1919-2010), który swą karierę rozpoczynał w 1946 roku właśnie w Operze Śląskiej. Na zdjęciu: Gratulacje z okazji jubileuszu artystom Opery Śląskiej składają dyrektorowi Opery Tadeuszowi Serafinowi i zespołom artystów przedstawiciele zarządu Związku Artystów Scen Polskich z jego prezesem Olgiem Łukaszewiczem. *(Więcej o jubileuszu w artykule Wiesławy Konopelskiej pt. „7 dekad bytomskiej Jubilatki” na str. 64)*



Muzeum Miejskie w Tychach uhonorowało naszą redakcję tytułem Przyjaciela Muzeum. Bardzo za ten zaszczyt dziękujemy!

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

IWONA ŻELAZOWSKA

* * *

Tak naprawdę stajemy się dorośli
Gdy nasi rodzice odchodzą
Przybywa nam nagle ciężaru
I tyle samo lat...
Myśl dziecka za tym nie nadąża
Ale dojrzałość już o tym wie...
Życie to nieustanne pożegnania
Tak wiele rzeczy robimy ostatni raz...
Ja właśnie dom rodzinny pakowałam
Skarby gromadzonej przeszłości
Wywoziłam w kartonach
Segregowałam
Darowałam
Wyrzucałam
Sprzedawałam
Płakałam...
Wspomnienia znajdowałam w każdym kącie
Znalazłam małą pamiątkę przechowywaną w ukryciu
W niebieskim kryształowym naczyniu
Zasuszone róże
Które kiedyś ktoś komuś dał...
Wyczyściłam wszystkie pokoje
Korytarze
I resztki zaszłości
Przekopałam się przez tunele kilku pokoleń
Zrobiłam porządek...
W ogrodzie zaszumiały stare drzewa
Których dawno już nie ma
Wdrapałam się do domku który kiedyś na nich stał...
Zatrzasnęłam drzwi dzieciństwa...
Sprawdziłam czy dobrze zamknięte...
Ostatni raz spojrzałam na magnolię kwitnącą przed domem...
...klucze oddałam nowemu właścicielowi...

Nr 7 (236). Rok XX. LIPIEC 2015 r.

www.slaskgtl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNYprezes
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel. 32 253-62-21
e-mail: zarzad@slaskwn.com.plWSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bsl@bs.katowice.plRedaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelnaKATARZYNA BERETA
Dział krytyki literackiej
portal www.slaskgtl.plMARIA SZTUKA
Sekretarz redakcji
Dział kulturyBOGDAN WIDERA
Dział społeczno-historycznyWOJCIECH ŁUKA
Dział graficznyIRENA FALKIN-SIBIGA
KorektaADRES REDAKCJI:
40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13
tel./fax 32 206-82-71
e-mail: redakcjaslask@onet.plDTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XCzasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

4. „ROZMOWA NA 20. LECIE”:
Rozmowa z z prof. Krzysztofem Klozińskim NIEPOTRZEBNA I SZKODLIWA HUMANISTYKA
6. *Katarzyna Bereta* MUZEUM ŚLĄSKIE – NOWE OTWARCIE
8. *Grzegorz Sztolter* PSZCZYNA TO NIE TYLKO ZAMEK
12. *Rozmowa z burmistrzem Pszczyny Dariuszem Skrobolem* MARKA „PSZCZYNA”: HISTORIA, TURYSTYKA I... PIECZARKI
14. *Jerzy Polak* OD TURZONÓW DO HOCHBERGÓW.
Gospodarka pszczyńskiego wolnego państwa stanowego (1517-1848)
19. *Maria Sztuka* GALERIA W KONSKICH BOKSACH
20. *Julian Gembalski* GEORGA FILIPA TELEMANN ZWIĄZKI Z PSZCZYNA
23. *Witold Turant* MIASTO NIEZWYKŁYCH POSTACI
26. *Dariusz Rott* SKARBY MUZEUM PRASY ŚLĄSKIEJ
30. *Wiesław Kosterski* POKAŻ SWOJĄ SIŁĘ, ŻUBRZE
32. *Grzegorz Sztolter* JAK ZDOBYWAŁEM DZIKI ZACHÓD
42. *Henryk Szczepański* NIVEA Z PRZEDWOJENNEJ KATOWICKIEJ FABRYKI
44. *Henryk Szczepański* KATOWICE ZA POHLMANNA (I)
54. *Maria Sztuka* JUBILATA TRZEBA DÓPIESZCZĄC
56. *Marek Brzeźniak* NA JUBILEUSZOWYM ZAKRĘCIE
58. XXV LAT RESTYTUCJI SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO
Krzysztof Kosiński SEZON OGÓRKOWY MA SWOJE PRAWA
62. *Maria Sztuka* RODZINA – GOŚCINNY DOM

FELIETONY

43. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYŚZA
Marek S. Szczepański METROPOLIE RZĄDZĄ ŚWIATEM, A STRACH RZĄDZI METROPOLIAMI (I)
53. Z MOICH GÓREK
Witold Turant ŚPIEWAJĄ, BO MUSZĄ
73. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas WAKACJE
74. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek ŚRODY MŁODYCH. NOWE POLSKIE UTWORY W NOSPR. POD ZNAKIEM DOBREGO PASTERZA
75. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSzczyzna
Jan Miodek SIUPY – SIUPNĄC – SIPIEC – SIPA
84. Z ZAPISKÓW EMERYTA
Jarosław Starzyk CZEKAJĄC NA KOBIETY

PLASTYKA

48. *Witold Kociński* SKARBY UKRYTE W KAZALNICY
49. STAJNIE KSIĄŻĘCE W PURPURZE I ZŁOCIE
50. WOJTEK ŁUKA. MALARSTWO I GRAFIKA
51. *Wiesława Konopelska* OBRAZOSŁOWA I SŁOWOOBRAZY WOJTKA ŁUKI
84. KOLEKCJA JUBILEUSZOWA „ŚLĄSKA”: RENATA BONCZAR

TEATR

63. *Witold Kociński* MAŁY WIELKI SPEKTAKL

OPERA

64. *Wiesława Konopelska* 7 DEKAD BYTOMSKIEJ JUBILATKI

KSIĄŻKI

69. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH
70. *Jacek Lyszczyzna* DUCHY WOJNY PO RAZ PIĄTY
71. *Katarzyna Bereta* WSZYSTKIE BEBOKI STAŁINOGRODU
72. *Bogdan Widera* KORONKOWA KSIĄŻECZKA
72. *Katarzyna Niesporek* EDESSY
73. *Aleksandra Peithe* MARKSISTOWSKO-LENINOWSKI WYTWÓR RELIGIOPODOBNY

POEZJA I PROZA

1. WIERSZ NA OTWARCIE
Iwona Żelazowska ***
36. *Iwona Żelazowska* WIERSZE
38. *John Guzlowski* SUITCASE CHARLIE (1). CHARLIE WALIZKA. Przekład Henryka Cierniaka

EKOLOGIA

60. *Jolanta Karmańska* LAS NIE ROŚNIE SAM...

STAŁE RUBRYKI

66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Urszula Krzyk WYPRZEDZAĆ POTRZEBY UŻYTKOWNIKA
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE
MUZEUM ŚLĄSKIE – NOWE OTWARCIE. Fotoreportaż Arkadiusza Ławrywiańca
83. ŚLĄSKI MIESIĄC

NOTATNIKI KULTURALNE

68. OPOLSKIE
76. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
78. *Jan Picheta* BIELSKO
79. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
80. *Janusz Wójcik* OPOLE
81. *Maria Sztuka* ZAGŁĘBIE
82. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE:

Grafika: Aleksander Spyra, cynkografia
Skład ręczny tekstu PSZCZYNA wykonany w Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczynie



Aleksander Spyra, „Postać alegoryczna VI”, cynkografia, 1982 r.



Z profesorem KRZYSZTOFEM KŁOSIŃSKIM,
dyrektorem Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej Uniwersytetu Śląskiego
i przewodniczącym Komitetu Nauk o Literaturze PAN
rozmawia BOGDAN WIDERA

Niepotrzebna i szkodliwa humanistyka

– Panie profesorze, zawsze z radością słucham tego, jak się przekomarzacie z Maciejem Szczawińskim w *Gabinecie mowy i sluchu* Radia Katowice, bo to jest i zabawne, i mądre, i czasem mówicie o jakiejś książce, której potem muszę szukać...

– To wina Maćka, bo on przynosi te książki.

– W jednej z tych audycji, oczywiście jej nie zacytuję, streszczę tylko, o co chodziło, mówiliście o tym, że był taki czas, kiedy mocno zaatakowano nauki humanistyczne, uniwersytety...

– Słowo „był” brzmi optymistycznie, wydaje mi się, że tak jest dalej.

– ...za to, że produkujecie młodych bezrobotnych. I pan powiedział wtedy coś, co

mi się bardzo spodobało a mianowicie, że na studia zgłaszają się być może ci, co nie chcą być prezesami banków, informatykami... Oni chcą poznać literaturę, język. Mówi pan, że ta nagonka trwa...

– Tak, niestety. Przy czym to jest zjawisko światowe. I to jest groźne, bo gdyby to było lokalne, to przy jakiejś koniunkturalnej zmianie ta tendencja mogłaby się odwracać, ale na całym świecie dominuje jeden system. To zawsze jest niedobrze, myśmy to już kiedyś brali. I ten obecnie obowiązujący system zna tylko jedną wartość – zysk. Wszystko mierzy tą miarą, przy czym zysk rozumie wyłącznie w wymiarze kapitałowym, natomiast to, że ktoś się – jak to ładnie mówią ludzie Kościółka – ubogaca w korzyści duchowe jest bez znaczenia. Nie ma w rachunku ekonomicznym w ogóle korzyści duchowych. To znaczy, że właściwie takie rzeczy jak edukacja, wychowanie, kształtowanie człowieka, to, co Niemcy określają jako „Bildung”, to, co było taką oznaką nowoczesności i tej cywilizacji demokratycznej, która dba o kształt, o obraz, właśnie o „Bild” człowieka...

– Nawet mamy te powieści...

– Ależ oczywiście – „Bildungsromans”, które były takimi przewodnikami, jaką drogą należy iść. Otóż żadna z tych powieści nie opowiada jak zostać szefem banku. To są najczęściej opowieści o kształtowaniu się duchowym. Czasem mają one wątki pewnej wiedzy materialnej, ale duch triumfuje nad materią.

– To mi się trochę skojarzyło z losem wielu twórców, pisarzy, poetów, którzy o głodzie, chłodzie, ale...

– Tak. Jak pięknie zapewniał nas pewien piosenkarz: „śpiewam, bo muszę”. Przywołajmy przykład trochę odległy, choć nie tak bardzo. Cofamy się o parę wieków i spotykamy takiego młodego studiującego, zainteresowanego obserwacjami astronomicznymi. Wszyscy go pytają, co właściwie ma z tego być? Przecież to jest nieopłacalne. Jesteśmy na Ziemi, co nas obchodzi obroty ciał niebieskich, one nie mają wpływu na to, co się tu dzieje. No i wyobraźmy sobie, że ten młody człowiek rezygnuje z tego, zakłada jakiś biznes albo jak Wierzynek otwiera restaurację, bo to jest okres rozwoju mieszczaństwa. Krótkotrwały w Polsce. Wtedy nie doszłoby do przewrotu kopernikańskiego, który jest jedynym takim symbolicznym przewrotem w historii świata. Jak się mówi o największym przewrocie, to zawsze chodzi o kopernikański. Tymczasem ten młody chłopak nie tylko postawił na coś zupełnie abstrakcyjnego, ale też ogromnie ryzykował, bo podważał wszystko, co do tamtej pory uznawano za niepodważalne zasady świata. I tu jest właśnie miejsce humanisty. Nie tylko filologa, bo fizyk także jest humanistą, astronom. Przedstawiciele tych nauk, w których nie patrzy się na zysk, jaki to przyniesie za tydzień, za miesiąc, za dwa lata, ale liczy się to, jak naukowy rezultat wzbogaci nasze rozumienie rzeczywistości. W tym sensie humanistami jesteśmy razem z przedstawicielami tych wszystkich nauk czystych. Nie widzę różnicy między matematykiem a filologiem dlatego, że oni nie dostarczają niczego gotowego, praktycznego. Bez czystej matematyki jednak nie byłoby tych cudownych urządzeń, które na przykład pozwalają utrwalić to, co

mówimy. Inżynierowie bez matematyki nie mogliby tego skonstruować, do niczego by nie doszli.

– **Zapamiętałem też z audycji panów taki powracający wątek, chodzi o to, że następuje, czy wręcz już nastąpił zmierzch inteligencji.**

– To jest wątek, który podnosi Maciej Szczawiński, ale on sam jest – że tak powiem – klasycznym przykładem inteligenta. Pracuje w radio, jego tata pracował w radio, to jest rodzaj dziedzictwa, które nie zawsze jest mile widziane. Jeżeli parę pokoleń robi to samo, zwłaszcza jeżeli chodzi o zawody cieszące się jakąś popularnością, pojawia się oskarżenie o nepotyzm. Mimo że istnieją tu przykłady takie jak ród Estreichów...

– **Wśród aktorów ród Kondratów.**

– Oczywiście, że tak. Chyba więc nie ma w tym nic złego. Zresztą podobnie dzieje się przecież w biznesie, myślę o Bliklem, który jest profesorem, ale równocześnie trzyma firmę, bo to jest dziedzictwo. Wracając do inteligencji, niektórzy socjologowie mówią, że to pojęcie wymyślono w Europie Wschodniej, przeciwstawiając mu zachodnie słowo „intelektualiści”. Intelektualista jest wysokiej klasy specjalistą, ekspertem, natomiast rosyjskie słowo „inteligent” oznaczało człowieka wykształconego, to znaczy takiego, co to „czytaty i pisaty”. No i w tym sensie można powiedzieć, że dzisiaj nie ma żadnego „zmirzchu inteligencji”, bo wszyscy są „czytaty i pisaty”. Ogromna część ludzi studiuje, mamy rekord świata w dziedzinie wykształcenia wyższego, więc tutaj nie złego się nie dzieje, natomiast sprawa dotyczy etosu inteligencji. I ten się rzeczywiście kruszy, dlatego że zderza się on z tym etosem rynkowo-zyskowym, a istotą etosu inteligencji była bezinteresowność. Jeżeli pamiętamy Żeromskiego, naszego nauczyciela inteligentnego etosu, to u niego sztandarową postacią jest doktor Judym, który zachowuje się zupełnie inaczej niż inni lekarze. Tamci robią kasę, on leczy za darmo tych, których na leczenie nie stać. W jego programie jest od razu postawa poświęcenia i służenia czemuś, co stoi od niego wyżej, czyli inteligent zakłada, że pojedynczy człowiek, to – ulubione przez ustrój rynkowy – indywidualum (lady Thatcher mówiła, że nie ma społeczeństwa), nie jest dla siebie ostatecznym celem działania, celem działania jest inny człowiek, są inni ludzie (i nie tylko ludzie), społeczność, naród wreszcie – mówiąc patetycznie. I on jest podporządkowany temu celowi, dla niego jest gotów poświęcić to, co osobiste. W skrajnym przypadku – własne szczęście.

– **Biedna Joasia.**

– No, biedna Joasia, zresztą zawsze po jej stronie staje. Co się dzisiaj zmieniło? Wykształcenie i uzyskanie tego poziomu, jaki miał inteligent „przedwojenny”, nie jest już kluczem do niczego. Nawet jeśli się skończy studia medyczne albo prawnicze, które tradycyjnie przynosiły dobrą pozycję, to trzeba jeszcze przez całe lata ciężko tyrać, żeby osiągnąć status wybitnego specjalisty, żeby się odróżnić od całego tłumu innych. Pozostali są wyrobnikami, co nadrabiają – jak lekarze – tymi dwudziestoczterogodzinnymi dyżurami przez siedem dni w tygodniu, przez co są potem potwornie umęczeni. Nie mają więc w ogóle cza-

su wolnego, aby pomyśleć o jakichś sprawach etycznych, bo po prostu to jest pogoń za stabilnością na określonym poziomie materialnym. Można więc powiedzieć, że edukacja nie jest już kluczem do jakiegoś powodzenia materialnego, nie zabezpiecza go automatycznie.

– **Natomiast etos inteligenta, tego z Żeromskiego, związany był z etyką.**

– Dział on się zderza z jedyną racjonalnością rynkową, która mówi: jeżeli nie potrafisz pomnożyć tego, co masz, to nic nie jesteś wart. To jest to dziewiętnastowieczne hasło (przypisywane różnym politykom): bogacie się! Bogacie się, nawet wbrew rozsądkowi. W związku z tym wydaje mi się, że mamy dziś etos inteligenta, tylko że on jest enklawowy. Na przykład Zieleni – to są inteligenci naszych czasów. Bezinteresownie broniący tego, żebyśmy się nie obudzili pewnego dnia zatruci własnymi wytworami. A więc brońmy się przed zatruciem powietrza, wycinaniem drzew, dzungli całych, zabrudzeniem wody, wysuszeniem Ziemi, ociepleniem klimatu – to jest bardzo inteligentnie, tylko w pewnej niszy.

– **Zajmuje się pan profesorem literaturą dwudziestego i dwudziestego pierwszego? A co z tym dwudziestym pierwszym?**

– Miałem taką przygodę: Kazimiera Szczuka zaproponowała mi, żebyśmy mówili w telewizji o najnowszych książkach. Uważałem, że każdy powinien taką drogę przejść, każdy kto ma za sobą studia nad dawniejszymi trochę okresami. Trzeba go, że tak powiem, rzucić na „pierwszą linię frontu”. Z żołnierzami jest tak, że jak nie biorą udziału w ćwiczeniach to ramoleją po prostu. Otóż dla nas takim ćwiczeniem jest robota krytyczno-literacka. Dlatego, że jeśli chodzi o literaturę choćby sprzed dziesięciu lat, to tam już jest wszystko poukładane, omówione, zrozumiane, zrecenzowane. Natomiast z książką, która wyszła wczoraj albo dopiero wychodzi, musimy się zmierzyć oko w oko, żeby powiedzieć słuchaczowi czy widzowi, co o tym myślimy. Nie możemy się schować za żadną elegancką formułą, musimy powiedzieć czytelnikowi jasno i prosto, czy tę książkę warto przeczytać i dlaczego warto (albo nie warto). Dla mnie to była przez pięć lat przygoda bardzo pouczająca, bo konfrontowałem się ze współczesnym pisaniem, które jest wobec świata w takiej samej pozycji jak ja wobec niego, czyli bez tak zwanych przesądów, a i bez przesańców. Potem przez rok uczestniczyłem w programach Telewizji Katowice pod tytułem *Śląskie czyta*. Rozmawialiśmy o literaturze, którą piszą ludzie ze Śląska lub mieszkający na Śląsku, albo tacy, co ze Śląska wyjechali, ale tu mają swoje korzenie. I przez ten rok przekonałem się, jaką jesteśmy potęgą, bo gdzie tylko jakieś nagrody literackie dają, to dostają je ludzie stąd.

– **Kuczok, Waniek, Twardoch...**

– Jesteśmy więc potęgą literacką i mamy z czego być dumni.

– **Ale to wiek dwudziesty pierwszy. Ale literatura czasów wcześniejszych, takie odnośne wrażenie, jest martwa jak klasyczna łacina.**

– Powiem więcej. Jeden z moich kolegów zadał pytanie: „Czy należy dzieła epok minionych tłumaczyć na język współczesny?”. I podczas dyskusji okazało się, że dziecko nie jest w stanie zrozumieć *W pu-*

styni i w puszczy. Po prostu trzeba by to napisać na nowo współczesną polszczyzną. Coś, co jeszcze dla naszego pokolenia było zrozumiałe, dla dzisiejszych „łatków” jest już niestety nie do pojęcia.

– **W latach pięćdziesiątych na takim grubym papierze były wydawane różne dzieła, także klasyków, i wtedy wszystkie trudne słowa opatrywano gwiazdką, u dołu strony zamieszczając ich znaczenie.**

– To była taka niezbędna robota redakcyjna, ale tu już nie chodzi o poszczególne słowa, obce czy egzotyczne. Całe zdania są niepojęte dla współczesnego czytelnika, bo za długie, bo za bardzo złożone, składnia inna, słownictwo z rzadka używane.

– **I jaka była konkluzja tej dyskusji?**

– Tłumaczyć.

– **Jednak śląskie dzieci z robotniczych dzielnic czytające Kochanowskiego obywają się bez tłumacza.**

– Bo w gwarze śląskiej ten dawny język się przechował. Podczas konferencji w Zabrzu dotyczącej kultury Europy Środkowej Maciej Szczawiński opowiadał o poecie, siedzącym zresztą na sali, poecie wcale nie „ludowym”, który wybrał gwarę jako własny język poetycki. Rozgorzała wtedy dyskusja, czy są języki uniwersalne, zdolne wszystko powiedzieć, i języki lokalne, przydatne tylko w ograniczonym zakresie. Ja stoję na stanowisku, że nie można mówić o językach lepszych i gorszych. Gdyby tak to klasyfikować, to polski język literacki byłby lepszy od gwary, ale angielski byłby lepszy od tych obu...

– **A klasyczna łacina jeszcze lepsza. Wiem, że pan profesor zajął się porównywaniem przedwojennego i powojennego wydania powieści Gustawa Morcinka *Wyrobą chodnik*, co doprowadziło do zdemaskowania ogromnej manipulacji. Ciekaw jestem natomiast, czy pojawiają się u pana studenci zainteresowani problematyką śląską?**

– Teraz dzieje się coś takiego. To nie jest mój student, tylko doktorant Jego Magnificencji, prorektora, naszego kolegi Ryszarda Koziółka, nazywa się Marek Mikołajec. Od paru lat pisze na temat Śląska rzeczy rewelacyjne. Pojawił się taki nurt badań (trochę się do tego przyłożyłem z ramienia Polskiej Akademii Nauk), który nazywa się nowy regionalizm. Koledzy z całej Polski i spoza Polski organizują doroczne konferencje, gdzie stawiają kwestie regionalizmu zupełnie inaczej niż dawniej. Od nowa, w oparciu o dzisiejsze myślenie. W nowym tomie serii *Nowy Regionalizm* jest sporo tekstów naszych młodych polonistów, którzy nie mają żadnych kompleksów, żadnych zahamowań. W konfrontacji ze światem Śląsk okazuje się miejscem fascynującym. Stary regionalizm zamykał nas w jakimś rezerwacie, getcie, byliśmy „indianami”. Młodzi uznają, że świat składa się z samych regionów. Nie ma żadnego centrum. I tu – nie chwając się – trzeba powiedzieć, że tej humanistyce, która jest rzekomo niepotrzebna i dostarcza na rynek pracy bezrobotnych, właśnie jej zawdzięczamy zmiany. Gdyby nie ona, to tego samorozumienia się człowieka tu i teraz by nie było. Jak się studiuje budowę mostu, to się nie pyta o sens życia. A jak się rozmawia o literaturze, to się o ten sens pyta. I to jest ta różnica.



Czy Muzeum Śląskie będzie instytucją petryfikacji znaczeń czy ich negocjacji? Wszyscy mamy nadzieję, że będzie to przestrzeń, w której poszukiwane będą wciąż nowe odczytania Śląska.

Muzeum Śląskie – nowe otwarcie

KATARZYNA
BERETA

Działalność trzeciej siedziby Muzeum Śląskiego uroczystie rozpoczęto podczas trzydniowego Festiwalu Otwarcia, który odbył się w dniach 26–28 czerwca 2015 roku. Jak przystało na imprezę zaplanowaną z tak dużym rozmachem, Festiwalowi towarzyszyły liczne projekcje filmów, panele dyskusyjne, warsztaty plastyczne, gry terenowe, pokazy multimedialne, rodzinne turnieje, koncerty i nade wszystko szeroko otwarte dla zwiedzających wystawy stałe i czasowe. Chętni mogli także wjechać na szyb „Warszawa”, by przyjrzeć się panoramie dzisiejszych Katowic.

Pierwsi zwiedzający podziemne ekspozycje i instalacje weszli do nowej siedziby Muzeum Śląskiego o godz. 10.00 w piątek, 26 czerwca, gdy większość uczniów okolicznych szkół odbierała swoje cenzurki. Te dwie daty pięknie zbiegły się, by pokazać, że zawsze w życiu coś się kończy, ale równocześnie coś zaczyna. Historia Muzeum również kończyła i zaczynała się kilka razy. Najtragiczniejszym końcem było zburzenie przez Niemców gmachu wybudowanego przed wojną według projektu Karola Schayera. O licznych walorach tego budynku wspomniano w publicznych dyskusjach i to nie tylko

w trakcie Festiwalu, ale również podczas spotkania w audytorium 2 lipca, kiedy to zaprezentowany został projekt reportażu multimedialnego, opracowany wspólnie przez Muzeum Śląskie, Radio Katowice oraz „Gazetę Wyborczą”.

Po wojnie placówkę restytuowano dopiero w 1984 roku i umieszczono tymczasowo w budynku dawnego hotelu przy al. Korfantego. Ze wspomnianego reportażu można także poznać tragiczną historię architektonicznych koncepcji Jana Fischera, które nigdy nie zostały zrealizowane, choć wygrywały w konkursach na projekt Muzeum. Także najnowsza historia placówki zapisa-

ła się burzliwymi nieraz dyskusjami, kreśleniem planów wystawy historycznej, powoływaniem i odwoływaniem dyrektorów.

Ostatecznie jednak udało się wybudować i otworzyć dla mieszkańców Śląska, i nie tylko, nową siedzibę, która naprawdę wydaje się godną miejsca, poruszanej tematyki oraz eksponowanych dzieł. Nie brakuje jej nowoczesnego rozmachu, ale także umiejętnego wpisania się w historię i naturę. Projektanci interesująco połączyli szklane budynki z ceglany, które wciąż jeszcze poddawane są konserwacji. Obecność licznych roślin wokół Muzeum nadaje przestrzeni charakter wypoczynkowy i doskonale komponuje się z taką samą formą otoczenia pobliskiego NOSPR-u. Dzięki temu Strefa Kultury pełnić będzie jeszcze jedną funkcję – będzie uczyła odwiedzających kultury wypoczynku, o której dzisiaj jakże trudno!

Placówka z tak trudnymi, a nawet burzliwymi dziejami, zasługiwała zatem

nie na zwykłe przecięcie wstęgi, ale na trzydniowe święto, podczas którego mieszkańcy miasta i okolic będą mogli oswoić się z nowym gmachem, jego multimedialnymi funkcjami oraz zapoznać się z topografią budynku (przynajmniej: niełatwą, zwłaszcza gdy chce się wyjść z Muzeum i trzeba to uczynić, przechodząc przez miejsce, w którym obecnie eksponowana jest instalacja „Modry” Leona Tarasiewicza, a następnie kluczyć krętym korytarzem).

W ramach owego trzydniowego święta otwarcia obejrzeć można było kilka interesujących filmów, z których część znana jest szerszej publiczności i z pewnością na trwałe zapisała się w świadomości Ślązaków. Organizatorzy zaproponowali zatem zwiedzającym: *Boże Ciało* Adama Sikory, *Angelusa* Lecha Majewskiego, *Świętą wiedźmę* Henryka Baranowskiego, *Sówkę* Erwina Adama Sikory, *Piątą stronę świata* Roberta Talarczyka (wersję telewizyjną spektaklu), *Oskarowe kostiumy* Barbary Ptak Krzysztofa Korwiń-Piotrowskiego oraz *Karola Stryję – Ślązaka, który zdobył cały świat* Violetty Rotter-Kozery.

Projekcje przeplatane były panelami dyskusyjnymi. W pierwszym dniu rozmowę o *Śląsku wyobrażonym, Śląsku wyśnionym* moderowała Ewa Niewiadomska z Radia Katowice. Udział w niej wzięli prof. Marian Oslisło z Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, architekt Tomasz Konior, socjolog, kurator i krytyk sztuki Sebastian Cichocki, dyrektor

Teatru Śląskiego Robert Talarczyk oraz dyrektor Ars Cameralis Marek Zieliński. Do dyskusji z publiczności zaproszona została jeszcze, wraz z Bo Perssonem, Joanna Helander, urodzona w Rudzie Śląskiej fotografka, reżyserka filmów dokumentalnych, pisarka i tłumaczka, która mieszka i tworzy w Göteborgu i Krakowie.

Najważniejszym zdaniem wypowiedzianym w ten piątkowy wieczór było chyba pytanie Sebastiana Cichockiego, czy Muzeum Śląskie będzie instytucją petryfikacji znaczeń czy ich negocjacji? Wszyscy mamy nadzieję, że będzie to przestrzeń, w której poszukiwane będą wciąż nowe odczytania Śląska, bo tym się charakteryzują pogranicza, iż pozostają stale w ruchu. Ktoś ciągle wchodzi i wychodzi, ktoś przechodzi ze strony na stronę, następuje ciągła wymiana myśli, osób, kultury. I w tym tyglu wytapia się stale nowa jakość, nowe sensory i nowe interpretacje. Dlatego tak ważne jest, by tym procesom towarzyszyła pewna kultura rozmowy i współistnienia. 2 lipca w audytorium prof. Ewa Chojecka zaapelowała wręcz, byśmy polubili siebie jako ludzi o przeciwnych poglądach. Wtedy będzie możliwe negocjowanie znaczeń. Będzie możliwa rozmowa. I oby ona raz na zawsze zastąpiła dotychczasowe kłótnie. Pięknym tego przykładem był prowadzony przez Ewę Niewiadomską piątkowy panel, na który, o dziwo!, przybyła zaledwie garstka słuchaczy.

W kolejnych dniach odbyły się jeszcze dwie dyskusje. W sobotę udział

w jednej z nich wzięli: reżyser Lech Majewski, Ewa Niewiadomska, architekt Przemek Łukasik, Dominik Tokarski ze Stowarzyszenia Moje Miasto oraz Marek Okularczyk. Całość wokół tematu *Śląsk lokalny, Śląsk globalny* moderował zastępca dyrektora Muzeum Śląskiego Adam Kowalski. Natomiast w niedzielę nad tematem: „*Co by było, gdyby...*” *Śląsk w symulatorze zdarzeń, czyli alternatywne historie Śląska i Muzeum Śląskiego* zastanawiali się dr hab. Zbigniew Kadłubek, dr hab. Paweł Wróblewski, Jarosław Raciński oraz dr Krzysztof Karwat, który tę rozmowę moderował.

Podsumowując rozważania wokół nowego otwarcia Muzeum Śląskiego, chciałabym przywołać uwagę prof. Chojeckiej, iż na razie to miejsce nie ma jeszcze duszy, gdyż jest zbyt młode, ale nabierze z czasem niepowtarzalnego klimatu. Jakże wpisuje się ta myśl w zdanie Ruskina, przywołane przez Orhana Pamuka w powieści *Stambul*: „(...) o malowniczości danego dzieła można mówić dopiero wtedy, gdy minie wiele wieków, a bluszcz, trawa, rośliny i inne elementy przyrody (fale, morze, skały, a nawet chmury) zespolą się z nim na zawsze. A więc chodzi o absolutnie przypadkowe piękno, które nie przynależy budynkom nowym (...), ale tym oglądanym z (...) perspektywy, narzuconej nam przez historię i czas”. Tego trwania przez wieki i coraz większej malowniczości życzę nowej siedzibie Muzeum Śląskiego. ■



Prof. Ewa Chojecka zaapelowała wręcz, byśmy polubili siebie jako ludzi o przeciwnych poglądach. Wtedy będzie możliwe negocjowanie znaczeń.



Pszczyna, Rynek, linoryt Wojtek Łuka

Pszczyna to nie tylko zamek

GRZEGORZ
SZTOLER

Ziemia pszczyńska znana jest wytrawniejszym turystom z innych walorów niż tylko dostojny zamek z uroczym parkiem, rustykalny skansen, czy ciesząca najbardziej najmłodszych – pokazowa zagroda żubrów (i innego zwierza również).



Drewniane dusze

Ktoś określi je mianem „drewnianych dusz”. Zawsze mnie zachwyciły. Polecam je, bo są niepowtarzalne i zabytkowe – kościołki drewniane ziemi pszczyńskiej. Największy z nich, zwany wiejską katedrą, wznosi się w Miedźnej. Nosi wezwanie św. Klemensa Papieża.

Kościół zbudowano prawdopodobnie w XVII w., na miejscu wzmiankowanego w 1326 r. Budynek świątyni powiększony został w XVIII w. poprzez wydłużenie nawy. Jest to największy drewniany kościół na ziemi pszczyńskiej. Jak każdy jest orientowany, zbudowany w konstrukcji zrębowej z wieżą o konstrukcji słupowej. Z kolei najcenniejszą nie tylko na ziemi pszczyńskiej, ale na całym Górnym Śląsku pozostaje o wiele mniejsza, XVI-wieczna świątynia w sąsiedniej Grzawie. Nosi wezwanie św. Jana Chrzciciela. W latach 1580 – 1620 była w posiadaniu protestantów, prawdopodobnie w 1690 r. świątynię przebudowano. Świątynia ta jest jednym z najcenniejszych obiektów kościelnej architektury drewnianej na Śląsku. Do skupiska pszczyńskich kościołów drewnianych należy też zabytkowy kościół w Ćwiklicach pw. św. Marcina – którego powstanie przesunięto w wyniku ostatnich badań z przełomu XVI/XVII wieku na XV wiek – w tej chwili przechodzi gruntowną renowację. Z niego właśnie pochodzi prezentowany swego czasu w pszczyńskim zamku na wystawie sztuki sakralnej drewnianych kościółków gotycki tryptyk (drugi gotycki tryptyk pochodził z Brzeźca). W sąsiadującej z Miedźną, miejscowości Góra wznosi się naprzeciwko nowego, papieskiego kościoła (pod modnym wezwaniem JPII), cenniejszy drewniany przybytek, kościółek św. Barbary, któremu śp. ksiądz Piotr Zegrodzki, tutejszy proboszcz, kronikarz i dziejopis, poświęcił tyle czasu i cierpliwości. Kościółek został przebudowany w latach 50. ubiegłego wieku, ale nie stracił nic ze swego uroku. Szczególnie okolica – łąki, mokradła, rozlewiska pobliskiej rzeki Wisły – zachęcają do rowerowych wypraw w tę okolicę. Stosunkowo niedaleko, w sąsiednich Jawiszowicach znajduje się nienależący wprawdzie do pszczyńskiej grupy drewnianych dusz barokowy kościółek św. Marcina, jako żywo przypominający bryłę kościoła pw. św. Jakuba Starszego Apostoła w Wiśle Małej, o budowie którego pisał swego czasu założyciel pierwszego Muzeum Śląskiego, Tadeusz Dobrowolski. Zachęcam do odwiedzenia go i porównania.

W drodze do Wisły Wielkiej warto zajrzeć do kościoła św. Mikołaja w Łące, który słynie na okolicę właśnie z odpustu na św. Mikołaja 6 grudnia i zwyczaju chodzenia band mikołajowych. W lecie na łąkach Mikołajów co prawda nie trafimy, ale

warto odwiedzić ten położony na wzniesieniu, niewielki obiekt. Na pobliskim cmentarzu pochowany jest poeta Jan Kupiec (1841-1909), autor m.in. poematów „Historia baranów”, czy „Sejmiku w Jassach”, propagator czytelnictwa, działacz oświatowy. Stąd już niedaleko do sztucznego zbiornika Łąka, powstałego w latach 80. ubiegłego wieku na Pszczynce, na którym od lat już kwitnie życie żeglarskie i windsurfin-gowe, a także wędkarskie. Rozkwitły tu ośrodki oferujące sprzęt do wodnej rekreacji, jest nawet sztuczna plaża. Ale w sezonie bywa tak, że wzdłuż brzegów zbiornika jest naprawdę ciasno, bo zażywających rekreacji, zwłaszcza z Jastrzębia i Żor jest sporo.

Wytrwałym proponuję zajrzeć do Pielgrzymowic rodzinnej wsi Karola Miarki, który w tutejszym XVII-wiecznym kościółku pw. św. Katarzyny przygrywał do mszy na organach.

Zupełnie z innej strony Pszczyny, bliskiej Tychom leży legendarny kościółek św. Walentego w Bieruniu, podniesiony niedawno do rangi sanktuarium, słynący z wielkich odpustów odprawianych tu 14 lutego każdego roku (odpust poprzedzają całonocne nabożeństwa, a ołtarz w dniu święta patrona obchodzi się na kłęczkach). Świątynia, XVII-wieczna, przeszła w latach 70. ubiegłego wieku dwukrotny pożar i dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności, jak i wytrwałości mieszkańców, cieszy swym wyglądem do tej pory. Warto spacerować się klimatycznymi uliczkami tego pszczyńskiego miasteczka (wszak to historyczna ziemia pszczyńska), odwiedzić rynek z pomnikiem utopca i podjechać na pobliski Klimont, wzgórze z murywanym barokowym kościołem pw. św. Klemensa, skąd rozciąga się rozległa panorama na okolicę – od Łędziny, przez Mikołów po Tychy. Widać stąd rozrastającą się bieruńską strefę przemysłową i pobliskie zakłady fiata. Widać też pszczyńskie lasy rozciągające się od strony Kobióra. I przy dobrej pogodzie – Beskidy. Warto trafić na nabożeństwo w kościele na Klimoncie. Organizowane są tu jesienne koncerty muzyki organowej. Kościół na Klimoncie pochodzi co prawda z XVIII wieku (poprzedni był drewniany), ale żywa jest legenda o starosłowiańskich początkach tej świątyni. Tu mieli dotrzeć pierwsi słowiańscy misjonarze, Konstantyn i Metody, z misją chrystianizacyjną, którzy na Klimoncie właśnie wzniesli jedną z pierwszych na Górnym Śląsku świą-



Najcenniejsza drewniana świątynia na ziemi pszczyńskiej znajduje się w Grzawie.

tyń obrządku wschodniego. Dział to się miało w czasach, gdy tutejsze ziemie wchodziły w skład Państwa Wielkomorawskiego, rządzonego przez księcia Roścysława i jego następcę Świętopelka. Według innego podania wcześniej Klimont był ośrodkiem kultu pogańskiego – zwany był Górką Piorunową.

Pałaców w pszczyńskim nie brakowało

Nie tylko kościołami jednak ziemia pszczyńska stoi. Nie brakuje tu również pałaców. Polecam jedną z takich dobrze zachowanych rezydencji, w niewielkiej odległości od Pszczyny, odrestaurowaną. Mieści się w niej restauracja, istnieje możliwość zwiedzenia wnętrza pałacu. Mowa o Książęcej Bażantarni w Porębie, ufundowanej przez księcia pszczyńskiego Fryderyka Erdmanna Anhalt-Köthen. Późnoklasycystyczny pałac został wybudowany w latach 1792-1800 według projektu Wilhelma Puschy. W czasie pierwszej wojny bażanty jadał tu cesarz Niemiec Wilhelm II. Przed wojną pałac funkcjonował jako elegancki zajazd, w którym gościł m.in. prezydent Ignacy Mościcki, budowniczy Gdyni – Eugeniusz Kwiatkowski. Bywała tu elita ówczesnej II Rzeczypospolitej, z autonomicznego województwa śląskiego i samej Warszawy. Mimo wpisania pałacyku w 1965 roku na listę zabytków, kopalnia Pniówek urządziła jego wnętrza w stylu siermiężnego socjalizmu, nic dziwnego skoro w latach 70. bawiła się tu gierkowska elita. Urządzało karczmy piwne, barbórki, czy inne partyjne balangi. I tak jeszcze przez

całą Polskę Jaruzelską. O zabawach towarzyszy krążą zresztą legendy. Dopiero remont z 2011 roku przywrócił pałacykowi zasłużony blask. Zwiedzając jego wnętrza warto zwrócić uwagę na efektowną salę balową, jadalnię, czy apartamenty na piętrze (m.in. arabski). Dotrzeć do pałacyku można malowniczą aleją dębową zarówno od strony Poręby (ulica Barbórki, mijamy kilka stawów), jak i Pszczyny. Widok jaki roztacza się z pałacu na okolicę nie ma sobie równych – widać Beskidy, Czechowice, Bielsko i Pszczynę. Ta niesamowita panorama znalazła się na jednej z niemieckich pocztówek z Książęcej Fażanerii (Bażantarni)

Poszukiwaczy pałacyków zachęcam do odnalezienia pałacu w Rudoltowicach koło Pszczyny, jest równie piękny jak ten w Porębie. Wzniesiony został, jak się przy-

puszcza – bo do dziejów tej miejscowości nie zachowało się wiele źródeł historycznych – w 1752 roku dla ówczesnego właściciela tutejszego majątku, hrabiego Józefa Zborowskiego. Podczas ostatniej wojny w pałacyku mieścił się ośrodek służby pracy dla Związku Niemieckich Dziewcząt. Po wojnie gospodarzem tego zabytkowego obiektu był m.in. uniwersytet ludowy. Aktualnie mieści się tu Specjalny Ośrodek Edukacyjno-Leczniczo-Rehabilitacyjny dla Dzieci Niewidomych i Niedowidzących. Ale nie zdarzyło się, by odmówiono mi możliwości obejrzenia wnętrza. Pałac otoczony jest parkiem z pięknym drzewostanem (grab, dęby i lipy), niedaleko rzeki Wisły skąd można przepłynąć się w rejon kopalni Silesia w Czechowicach (przez kładkę). Ale może lepiej odwiedzić goczalkowickie uzdrowisko, to dosłownie rzut beretem, kilka kilometrów. A XIX-wieczne budynki uzdrowiskowe, tutejszy park mają swój niepowtarzalny klimat (warto zobaczyć starą pijalnię, pawilon „Górnik”, pawilon „Wrzos”, budynek administracji, czy też klasztor). Z pałacyku w Rudoltowicach można też pojechać rowerem w stronę Rudawek. Gdzie się nie ruszy, zawsze coś ciekawego się znajdzie.

Pola, lasy, łąki, rzeki, stawy, jeziora...

Gdziekolwiek się nie pojedzie ciekawe widoki, czy też zieleń jest w zasadzie – jak się to mówi – „w pakiecie”. Pszczyńskimi la-



Najstarszy drewniany kościółek na ziemi pszczyńskiej zachował się w Ćwiklicach. Ten XV-wieczny zabytek od kilku lat przechodzi intensywne renowacje.



Do pałacu w Porębie, Księżęcej Bażantarni, prowadzi efektowna aleja. Stąd właśnie rozciąga się najpiękniejszy widok na okolicę Pszczyny, bliższą i dalszą. I Beskidy.



A oto rarytas, niemiecka pocztówka z Fasanerią, czyli Bażantarnią w Porębie koło Pszczyny.

sami można dotrzeć do Kobióra (z Pszczyny jedzie się malowniczym Raitwegiem). Można też zawędrować do Suszca, o którym za chwilę. Ciekawe widokowo trasy (połnymi drózkami, miedzami, czy szutrowymi drogami) prowadzą dookoła zbiornika Łąka leżącego na styku kilku pszczyńskich miejscowości (Łąki, Poręby, Wisły Wielkiej i Brzeźce) i z któregokolwiek końca rozpoczniemy trasę – pieszą, czy rowerową – jest co podziwiać. Okoliczne pola, łąki, lasy, panorama Beskidów w oddali. Warto podjechać na koronę zapory między Łąką a Porębą. Analogicznie ciekawa widokowo trasę pokonać można wzdłuż zbiornika goczalkowickiego, który leży na pograniczu ziemi pszczyńskiej i ziemi cieszyńskiej. Będzie ona na pewno dłuższa, ale urokliwa. Wycieczkę zacząć można od odwiedzenia korony zapory między Goczalkowicami a Ligotą.

Teraz o Suszcu, a konkretnie o leżącym na Podlesiu, a więc nieco na uboczu Muzeum Regionalnym Kamojówka prowadzonym od lat przez rodzinę Szenderów. Jeśli kogoś interesują etnograficzne klimaty, jest ciekawy czym dawniej pracowano na wsi pszczyńskiej, powinien to miejsce odwiedzić. Jest tu kuźnia, zrekonstruowana z pomocą orawskich cieśli stodoła ośmioboczna (kiedyś było ich pełno na ziemi pszczyńskiej), jak też główne pomieszczenie muzeum (nazywam je wozownią, bo jest tu kilka drewnianych wiejskich wozów), w którym mieści się m.in. warsztat szewski, kołodziej-ski, czy tkacki i kolekcja urządzeń gospodarskich (od typowej masełniczki, przez wyciskarkę cidru, pomysłową kolybkę, po zmyślnie mechaniczne pralki). Do suszeckiego muzeum prowadzi ścieżka rowerowa. Wspominam o tym miejscu, bo na wsi pszczyńskiej przybywa kolekcjonerów, którzy udostępniają swoje zbiory – by wspomnieć hetmana pszczyńskiego bractwa kurkowego Tadeusza Żyłę z Jankowic i jego kolekcję sprzętów i urządzeń gospodarskich, czy też opisywane już na łamach „Słaska” Muzeum im. Ks. Franciszka Długosza w Studzionce, z jego zbiorami z przeszłości wsi. Ale niewątpliwie pierwszeństwo w tworzeniu takich kolekcji należy właśnie do rodziny Szenderów z Suszca.

Zdjęcia: Grzegorz Szolter



Pałacyk myśliwski w Promnicach, to najbardziej znany po pszczyńskim zamku, obiekt rezydencjonalny związany z rodem Hochbergów.

Z DARIUSZEM SKROBOLEM, burmistrzem Pszczyny
rozmawia WIESŁAWA KONOPELSKA



Fot. UM Pszczyna

Marka „Pszczyna”: historia, turystyka i... pieczarki

– Kiedy słyszymy nazwę „Pszczyna”, to myślimy przede wszystkim o zamku, o księżnej Disy, o skansenie, przyjaznym rynku, dobrych restauracjach i swoistej, pozytywnej atmosferze. A panu, jako włodarzowi tego miasta, z czym się kojarzy Pszczyna?

– Przede wszystkim to jest moje miasto i moja gmina. To prawda, że od wielu lat wszystkie kolejne rady miasta, powiatu i instytucje odpowiedzialne za kreowanie wizerunku pracują nad tym, żeby bardzo wyeksponować aspekt turystyczny Pszczyny. Po raz kolejny udało się nam pozy-

tywnie wyeksponować dość duże kwoty na rozbudowę tzw. produktu turystycznego naszego miasta – myślę o zagrodzie żubrów, rozbudowie skansenu i ośrodka sportów wodnych na zbiorniku Łąka – Poręba. Staraniem parlamentarzystów ponownie został otwarty dla żeglugi zbiornik goczalkowicki – na tę decyzję czekaliśmy wiele lat. Dzisiaj funkcjonują już dwa porty i można uprawiać sporty wodne. Poza goczalkowickim mamy jeszcze inne zbiorniki, na których można uprawiać sporty wodne. Są bardzo popularne wśród mieszkańców gminy, szczególnie w upalne dni.

– Zwłaszcza w weekendy na ulicach Pszczyny słychać nie tylko język polski, ale także niemiecki i angielski. Czy Pszczyna dysponuje odpowiednią infrastrukturą dla licznych przyjezdnych osób i grup turystycznych?

– Rozbudowując produkt turystyczny dajemy sygnał ekonomiczny do tego, by powstawały okołobranżowe inwestycje, jak restauracje czy hotele. Pszczyna dysponuje bazą od hoteli czterogwiazdkowych po noclegi niskokosztowe, mamy bardzo dobre restauracje, a wśród nich takie perełki jak Warownia Pszczyńskich Rycerzy czy Wodna Wieża. Takich obiektów gastronomicznych, które albo przenoszą nas w czas średniowiecza albo do wiktoriańskiego okresu pary i stylu steampunk trudno szukać w kraju, a nawet w Europie. To jest nasza przestrzeń usługowa. Ale mamy wiele atrakcji turystycznych, na czele z Muzeum Zamkowym, wokół którego zbudowaliśmy również całą sferę usług w oparciu o otaczający je 55-hektarowy park.

– A co poza turystyką? Z czego żyje Pszczyna?

– Dla mnie, jako osoby zarządzającej gminą, bardzo istotne jest kojarzenie Pszczyny jako terenu rolniczego z 12 wsiami wokół miasta. W gminie nie mamy przemysłu ciężkiego, i go nie chcemy mieć, dlatego cała gmina ciąży ku rolnictwu i rozwija się w tym kierunku. Ale żyjemy przede wszystkim z małej i średniej przedsiębiorczości. Dziś rolników już nie jest zbyt wielu. Kiedyś gospodarstwo miało kilka czy kilkanaście hektarów, dzisiaj, żeby było opłacalne ekonomicznie musi mieć kilkadziesiąt hektarów. Właściciele też zatrudniają po kilkadziesiąt osób i działają w sferze gospodarki. Rolnictwo pszczyńskie związane jest z uprawą, trzodą chlewną i z... pieczarkami! Nazywani jesteśmy często zagłębiem pieczarkowym. Z tą produkcją związane są dwie duże firmy produkujące podłoże pod pieczarki oraz firma produkująca grzybnie – zakład bardzo specjalistyczny, jeden z najnowocześniejszych w Europie. Mogę powiedzieć, że to jest wielki biznes, który mamy u siebie.

– Pszczyna jest także znana z rzemiosła artystycznego.

– Też, ale w mniejszym stopniu. Natomiast w Pszczynie mamy dobry klimat dla rozwoju działalności organizacji pozarządowych. Na wsiach są to koła gospodyń wiejskich, które wspólnie pielęgnują nasz folklor, prowadzą ludowe zespoły dziecięce i dla dorosłych, dbają o strój, są to także kółka rolnicze. Ciągłe mamy bardzo dużo rdzennej ludności, Ślązoków u nas jest wielu, mimo, że wykupywane są działki przez ludność z regionu.

– **Wspomniał pan, że nie tęsknicie za wielkim przemysłem, czy turystyka i mały biznes wystarczają, by pokrywać wszelkie potrzeby gminy?**

– Nigdy nie mieliśmy na swoim terenie kopalni, ale odczuwamy skutki ich istnienia wokół nas. W graniczących z nami gminach – w Rudolowicach i Studzionce Jastrzębska Spółka Węglowa i kopalnia „Silesia” podkopały się pod naszą część gminy. Czerpaliśmy z tego podatek, ale pozostałości po tych szkodach mamy do dzisiaj – to są pozapadane drogi, obniżony teren wokół Wisły i zniszczone wały przeciwpowodziowe. Podatek z tytułu wyrobisk jest po prostu złudny. Wokół nas działają kopalnie i spółki okولوجórnicze, które dają zatrudnienie także mieszkańcom naszej gminy. I to jest dobrze.

– **Czy słynna pszczyńska hodowla żubrów przynosi dzisiaj wymierne korzyści ekonomiczne, czy jest elementem eksportowym gminy?**

– Owszem, jest, ale nie traktujemy hodowli żubrów jako biznesu. To jest jeden z istotnych elementów napędzających sektor turystyki. Dane wskazują na to, że jedno miejsce wygenerowane w sektorze turystycznym daje do dwóch miejsc pracy w sektorach pobocznych. I tak zagroda żubrów daje miejsca pracy w sektorach związanych z jej obsługą – od dostarczania różnego rodzaju produktów, poprzez remonty, dodatkowe inwestycje, aż po wydzierżawienie części gastronomicznej dla odwiedzających, bądź usługi transportowe. Ponieważ to wszystko działa, dlatego staramy się ciągle powiększać skalę naszego produktu turystycznego. Poza zamkiem, który jest w jurysdykcji marszałka województwa śląskiego, wszystkie pozostałe są w naszej kompetencji: mamy skansen, zagrodę żubrów, Muzeum Prasy Śląskiej – jedyne w Polsce a także od niedawna – ewenement na skalę Śląska – malutkie, ale bardzo cenne, Muzeum Militarnych Dziejów Śląska.

– **Rozumiem, że to jest nowe „oczko w głowie” burmistrza Pszczyny?**

– W mojej i dr. hab. Mariana Małeckiego, który jednocześnie jest i kustoszem i opiekunem Fundacji Stowarzyszenia Pro Memoria, które zdecydowało się wziąć na własne barki przygotowanie i utrzymanie tego muzeum. Chylę czoła, bo w pracę zaangażowało się wiele osób. W tym roku wstęp do tego muzeum jest jeszcze bezpłatny. Docełowo to także potencjalne miejsca pracy.

– **Można powiedzieć, że z Pszczyny nie wyjeżdża się?**

– Wyjeżdża się, ale do pracy, bo nie jesteśmy w stanie zatrudnić wszystkich mieszkańców. Lokalizacja Pszczy-

ny – zarówno w kierunku Bielska jak i Katowic daje możliwość codziennego dojazdu.

– **Dojeżdżają, ale nie wyprowadzają się.**

– Przyjeżdżają do nas i osiedlają się. Muszę powiedzieć, że jestem szczęśliwym burmistrzem, ponieważ Pszczyna ma dodatni przyrost naturalny, co się dziś rzadko zdarza. Sukcesywnie też zwiększa się ilość mieszkańców.

– **To właściwie czemu służy „Strategia promocji miasta”, czy Pszczynę trzeba jeszcze promować?**

– Bo to jest tak, jak z dobrze działającym przedsiębiorstwem, które w pewnym momencie zrezygnowałoby z promocji swoich atutów. Żyjemy w bardzo dynamicznych czasach. Żeby zachować miejsca pracy ale i generować je, musimy ciągle wychodzić z nowymi ofertami, być ciągle atrakcyjni dla przyjezdnych ale przede wszystkim dla mieszkańców, którzy chcą tu mieszkać i pracować. Strategia pokazuje co trzeba zrobić w ciągu najbliższych 10 lat, by nieustannie być miejscem atrakcyjnym. Efekty istnienia tej strategii mamy już dzisiaj, chociażby pod postacią inwestora austriackiego, który w Pszczynie chce wybudować duże medyczne spa. Zdecydowało o tej inwestycji m.in. to, że Pszczyna jako jedno z nielicznych miast ma przygotowaną strategię wizerunkową.

– **Czyli marka „Pszczyna”?**

– Tak, właśnie. Przeanalizowałem strategię województwa śląskiego, która ma dwa założenia: po pierwsze żebyśmy byli dumni, że tu mieszkamy, a dopiero potem drugi element – promocja na zewnątrz. My, jako Ślązacy jesteśmy bardzo skromni i nie potrafimy się chwalić tym, co mamy. To przekłada się na miejsca pracy i przychody gminy, które w dużym stopniu są uzależnione od podatku od osób fizycznych, ponieważ nie mamy wielkich przedsiębiorstw.

– **W strategii dużo miejsca poświęca się ochronie zabytków. Śląski Wawel czyli nagrobki Promnitzów, niedysyjszych właścicieli Pszczyny, to jeden z elementów tej promocyjnej układanki.**

– Będąc od lat we władzach gminy założyłem sobie, że co jakiś czas będę się starał robić remonty drobnych obiektów zabytkowych. Zaczęliśmy od grobu powstańca styczniowego, później były krzyże przydrożne i kapliczki, regularnie pomagamy najstarszej i najcenniejszej świątyni – drewnianemu kościołowi w Cwiklicach. Staramy się zachować nasze dziedzictwo kulturowe zarówno związane z wiarą katolicką jak i ewangelicką, z czasów ksiąząt niemieckich, potem powstań śląskich – Pszczyna jest przecież ich kolebką, aż po czasy najnow-

sze – jedno z rond nosi imię działacza opozycyjnego z czasów Solidarności lat 80. Pszczyna to swoisty tygiel kulturowy, w którym ścierają się i historie i narodowości – trzeba wszystko uszanować, choć czasem budzi to emocje.

– **Można odnieść wrażenie, że burmistrzowi Pszczyny na wszystko starcza pieniędzy...**

– ... nie na wszystko!...

– **... ale czy jest coś, co przeszkadza panu w realizacji planów, strategii i w normalnym codziennym działaniu?**

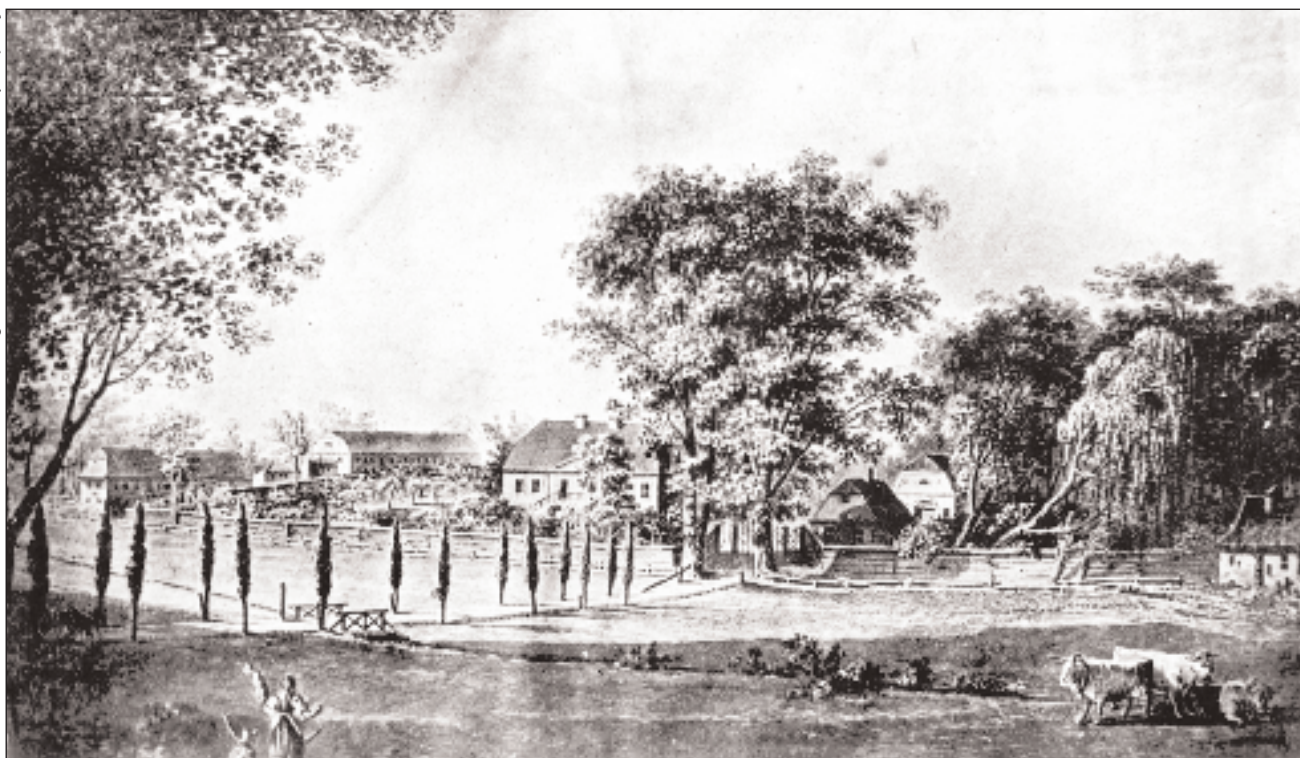
– Polityka, która schodzi do samorządów, a jej tam nie powinno być. Nie jestem członkiem żadnej partii, dobrze mi z tym, bo dzięki temu mam otwarte pole do działania w różnych kierunkach. Bo gmina, to przede wszystkim działalność dla wspólnoty, a nie w imię jednostkowych interesów. Tak to widzę i tak staram się myśleć o gminie. Ważne jest myślenie na przyszłość, a nie tylko na jutro i wokół siebie. To często są trudne rozmowy. Wychodzę z założenia, że jeśli Warszawa nam nie będzie przeszkadzać, to my sobie damy radę.

– **Za mało samorządu w samorządności?**

– Jest jej bardzo dużo, tylko za kolejnymi zadaniami nie idą środki. Na przykład dziś oświata pochłania już prawie połowę naszego budżetu – subwencja nie sięga 50 procent. Bolączką jest też pomoc społeczna, na którą dotacja wynosi tylko 75 procent. Resztę musimy dołożyć.

– **Na kulturę wystarcza pieniędzy?**

– Zależy mi bardzo, żeby środki przy skromnym budżecie były stabilne. Mamy dom kultury, staramy się o nowy obiekt dla kultury – w ramach programu unijnego podejmiemy się modernizacji jednej zabytkowych kamienic na terenie starówki. Dzięki temu zwolni się miejsce w Centrum Kultury, które prowadzi szeroką działalność. Ma się bardzo dobrze nasz Uniwersytet Trzeciego Wieku – prawie 500 słuchaczy. W lipcu był festiwal ceramiki, który jest nie tylko eventem, ale działaniem dla dzieciaków. Od dwóch lat mamy budżet obywatelski – przeznaczaliśmy na ten cel dwa miliony złotych, żeby mieszkańcy sami decydowali o tym, co powstanie w gminie. To jest konkurencja wśród mieszkańców, a aktywność jest duża. Uważam, że nasze społeczeństwo jest coraz bardziej obywatelskie i chce uczestniczyć w podejmowaniu decyzji na obszarze gminy – podczas ostatnich wyborów frekwencja wynosiła 62 procent. Po prostu jesteśmy u siebie.



Folwark księżęcy Luisenhof (Szelonowice) na rycinie z 1830 r.



Od Turzonów do Hochbergów

JERZY
POLAK

Gospodarka pszczyńskiego wolnego państwa stanowego (1517 – 1848)

W czasach nowożytnych środkowo-wschodnią część Górnego Śląska stanowiła historyczna Ziemia Pszczyńska ujęta od 1517 roku w administracyjne ramy tzw. pszczyńskiego wolnego państwa stanowego, istniejącego formalnie do 1848 roku (z przerwą na lata 1825 – 1846, gdy zostało przemianowane na księstwo pszczyńskie). Na terytorium tym o powierzchni około 1100 km², którego stolicą było miasto Pszczyzna, kolejne dynastie jego feudalnych właścicieli: Turzonowie (1517 – 1548), Promnitzowie (1548 – 1765) i Anhaltowie (1765 – 1846) prowadziły urozmaiconą działalność gospodarczą. Z punktu widzenia rozwoju całego Śląska, nie mówiąc już o monarchii habsburskiej a później Prus, których był on częścią, miała ona oczywiście peryferyjne znaczenie. Stanowiła jednak interesujący i co ważne, dobrze udokumentowany w naszych czasach, przykład funkcjonowania dużego, magnackiego latyfundium na pograniczu śląsko-polskim.

Karpie, sól i węgiel kamienny

Pszczyńskie wolne państwo stanowe (Freie Standesherrschaft Pless) było pierwszą tego rodzaju jednostką administracyjno-polityczną na Górnym Śląsku w czasach, gdy należał on do Królestwa Czeskiego. Był to majątek feudalny o statusie zbliżonym do samodzielnego śląskiego księstwa, którego właściciel

zwany wolnym panem (baronem) nie pochodził z rodu książęcego i podlegał bezpośrednio królowi czeskiemu (z dynastii Habsburgów 1526 – 1742, następnie królom pruskim). Rządził na prawach księżęcych i dysponował własnym sądownictwem nad poddaną sobie ludnością wolnego państwa oraz wolnością prowadzenia działalności gospodarczej, w tym także górniczej. W skład tego organizmu terytorialnego wchodziły początkowo 4 miasta (Pszczyzna, Mikołów,

Bieruń i Mysłowice), 49 wsi kameralnych oraz 23 wsie rycerskie i klasztorne. Te ostatnie zajmowały ¼ jego powierzchni. Rolę gospodarczego centrum odgrywała zawsze Pszczyzna.

Terytorium państwa pszczyńskiego charakteryzowało słabe zaludnienie i znaczne zalesienie w postaci dawnej Puszczy Pszczyńskiej (około 1/3 jego powierzchni). Na początku XVI wieku było już ono dobrze zagospodarowane pod względem rolniczym (pierwsze fol-

warki), posiadało spławne rzeki, liczne młyny wodne, a nawet kuźnice żelaza nad rzeką Kłodnicą. Przebiegały przez niego dwa ważne, międzynarodowe szlaki handlowe: z Krakowa przez Pszczynę i Cieszyn do Pragi i Wiednia oraz z Krakowa przez Bieruń i Mikołów do Wrocławia, Opawy i Pragi. Odgrywały one wielką rolę w życiu gospodarczym tutejszych miast, stymulując rozwój ich handlowej i rzemieślniczej funkcji.

Cechą odróżniającą państwo pszczyńskie od reszty Górnego Śląska (poza księstwem cieszyńskim) pod względem gospodarczym była dominacja gospodarki rybnej (stawowej), której twórcą był książę cieszyński Kazimierz II, władający Ziemią Pszczyńską w latach 1480 – 1517. Ten sektor gospodarczy po jego rozbudowie przez Jana VI Turzona (1525 – 1548) tworzyło blisko tysiąc wielkich i małych stawów dworskich, szlacheckich, mieszczańskich i chłopskich, w których hodowano ryby śródlądowe, głównie karpie, sprzedawane przede wszystkim w Polsce, w Krakowie, a nawet dostarczane na dwór polski na Wawelu. W czasach Turzona, z uwagi na duży popyt i niskie koszty kapitałowe (darmowa praca chłopów przy sypaniu i odnawianiu grobli), był źródłem aż 2/3 wszystkich jego dochodów z państwa pszczyńskiego. Jego wizytówką był usypany po 1534 roku słynny staw bieruński, największy ze stawów górnośląskich (625 ha).

Innym wyróżnikiem gospodarki państwa pszczyńskiego był intratny handel solą wielicką, rozprowadzaną na całym Górnym Śląsku dzięki założeniu przez Kazimierza II w osadzie Wieża składu

solnego oraz portu rzecznoego na Wiśle, do którego minerał ten przywożono galarami. W drodze powrotnej służyły one do transportowania ryb, a rzeką spławiano także drewno z lasów pszczyńskich, sprzedawane na rynku krakowskim. W I połowie XVI wieku uruchomiono jeszcze własną warzelnię soli w Śmiłowicach.

Oba opisywane sektory gospodarki pszczyńskiego wolnego państwa stanowiło świadczą dobitnie, że była ona nastawiona w znacznym stopniu na obsługę sąsiedniego chłonnego rynku polskiego, a w dużo mniejszym rynku górnośląskiego, na którym jej produkty miały do czynienia z niezwykle silną konkurencją wrocławską i czeską.

Turzonowie (Aleksy i Jan VI), współwłaściciele wielkiej europejskiej spółki górniczej Fugger-Turzo, handlujący także z Polską miedzią i ołowiem poprzez Pszczynę, prowadzili ponadto w swoim pszczyńskim majątku intensywne poszukiwania rud metali i soli, które nie przyniosły powodzenia. Nie udało się to również ich następcom, natomiast niejako przy okazji znaleziono złoża węgla kamiennego, prawdziwe bogactwo tej ziemi.

Drewno z pszczyńskich lasów dla Gdańska i Europy Zachodniej

Jan VI Turzo zapoczątkował rozwój typowej dla środkowej Europy i całego Śląska dworskiej gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, która już w II połowie XVI wieku stała się podstawową formą rolnictwa w majątkach

szlacheckich. Powodem był m.in. rosnący popyt na zboże i wzrost jego ceny, a tym samym powiększająca się opłacalność produkcji zbożowej, jak również istniejące jeszcze możliwości zagospodarowania nieużytków i lasów. W czasach pierwszych Promnitzów: biskupa Balthazara (1548-1562), Stanisława (1562-1566) i Karola (1566-1585), nastąpił gwałtowny przyrost liczby ich folwarków w państwie pszczyńskim, z 6 w 1536 roku do 14 w 1572 roku. Niektóre z nich powstawały także kosztem zagarniania ziemi chłopskiej. Paralelnie następował wzrost rozmiarów pańszczyzny obejmującej niektóre kategorie chłopów. Na części folwarków rozwijana była na dużą skalę hodowla owiec. Pozyskiwana dzięki niej wełna była korzystnie sprzedawana na rynku śląskim, odnotowującym eksplozję sukienictwa.

W przeciwieństwie jednak do polskiego modelu gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, mało wydajną zresztą produkcją zbożową folwarków w państwie pszczyńskim nie była przeznaczona na eksport, ale niemal w całości podlegała wewnętrznej konsumpcji. Była m.in. podstawą deputatowo-pięniężnego systemu wynagradzania pracowników i dworzan wolnych panów. Zdarzały się nawet lata, że trzeba było zboże sprowadzać z Polski. Podobnie miała się sprawa z częścią produkcji rzemieślniczej w miastach, popieranej przez właścicieli przez udzielanie przywilejów cechowych. Zbliżało to stopniowo gospodarkę Promnitzów do modelu autarkicznego organizmu regionalnego, którym stała się w istocie po wojnie 30-letniej (1618-1648).



Pałac myśliwski Promnice (po przebudowie z 1861 r.)

Bardziej eksportowy charakter miała gospodarka leśna, z uwagi na widoczne od lat 70. XVI wieku duże zapotrzebowanie na drewno na rynku krakowskim. Spław drewna pszczyńskiego nie ograniczył się tylko do Krakowa, ale docierało ono nawet do Gdańska i dalej do Europy zachodniej. Szczyt tego wywozu nastąpił po 1610 roku. Eksploatacja wielkich lasów pszczyńskich aż do połowy XVIII wieku miała jednak charakter rabunkowy, często dyktowana była potrzebami osadniczymi, jak również koniecznością produkcji węgla drzewnego dla kuźnic i warsztatów rzemieślniczych.

Browary i gorzelnie Promnitzów

Większość rządzących w państwie pszczyńskim przedstawiciele rodu Promnitz wykazywała się przedsiębiorczością i mądrym gospodarzeniem. Takim był Abraham von Promnitz (1591-1612), który po bankructwie swojego ojca Karola, zintensyfikował całą gospodarkę. Między innymi założył drugi skład soli polskiej w Bijasowicach oraz kilka browarów i gorzeln, w tym słynny później browar w Tychach, wprowadzając zarazem swój monopol propinacyjny i obowiązek konsumpcji jego alkoholu przez poddanych. Propinacja już w 1613 roku wypracowywała 14% wszystkich dochodów wolnych panów, lokując się na trzecim miejscu w ich strukturze, po rolnictwie i gospodarce stawowej. Abraham zainicjował także tzw. osadnictwo chałupnicze związane z folwarkami, m.in. w oparciu o osadników z Polski. Odegrało ono później, na przełomie XVII/XVIII wieku dużą rolę w odrobieniu strat demograficznych i materialnych poniesionych w trakcie wojny 30-letniej. Jednak narastająca eksploatacja chłopów i zwiększanie ich obowiązków pańszczyźnianych oraz innych świadczeń na 16 działających folwarkach doprowadziły w 1611 roku do wybuchu pierwszego buntu chłopskiego w państwie pszczyńskim. Z tych samych powodów następne bunty wybuchły w II połowie XVII wieku.

Jak dalece gospodarka wolnych panów była uzależniona od rynku polskiego świadczył kryzys gospodarki stawowej, który powstał po przeniesieniu w 1596 roku stolicy Rzeczypospolitej Obojga Narodów z Krakowa do Warszawy. Wyjazd dworu polskiego i wielu magnatów do nowej stolicy zmniejszył bowiem zapotrzebowanie na pszczyńskie ryby.

Największych szkód i strat doznała gospodarka latyfundiów Promnitzów, podobnie jak całego Śląska, w czasie wspomianej wojny trzydziestoletniej. Zostały one spowodowane zarówno rabunkami i kontrybucjami wojsk najezdniczych (Duńczyków, Sasów i Szwedów), jak i „własnych” wojsk cesarskich, śląskich oraz ich sojuszników, szczególnie polskich lisowczyków. Powiększył



Jan Henryk X von Hochberg

je bezwzględny drenaż fiskalny monarchii habsburskiej. Straty te wyceniono na ogromną kwotę 1,3 miliona talarów, kilkakrotnie przerastającą wartość państwa stanowego. Największe odnotowano w gospodarce rolnej, w dodatku splądrowane folwarki Promnitzów utraciły sporo rąk do pracy (ludność państwa pszczyńskiego zmalała o 30%). Rządzący wówczas Zygfryd II Młodszy (1623 – 1650) rekompensował sobie straty przez wydatne zwiększenie obowiązków pańszczyźnianych pozostałych chłopów, jak również ich obciążeń propinacyjnych. Postępowanie takie było typowe dla jego warstwy społecznej, zarówno na Śląsku, jak i w zniszczonej wojnami Polsce.

Kuźnice żelaza i przywileje cechowe

Winnych dziedzinach wykazał się dużą przedsiębiorczością. Zadał o zwiększenie liczby kuźnic żelaza (miał ich siedem), m.in. około 1630 roku założona została najsłynniejsza z nich kuźnica w Jaroszwicach, która bazując na rudzie z Bytomia, swymi wyrobami zaspokajała potrzeby wielu miast górnośląskich. Wykorzystując wojenne migracje rzemieślników, wielu z nich przyciągnął do swych miast, obdarzając licznymi przywilejami cechowymi i czyniąc z Pszczyny ważny w skali całej prowincji ośrodek rzemieślniczy (128 mistrzów w 1640 roku). Miasto stało się znane zwłaszcza z sukiennictwa i rusznikarstwa; wyroby tych rzemiosł sprzedawano głównie w Polsce. Zygfryd II von Promnitz uruchomił również dworski system nakładczy w miejscowym płóciennictwie.

Odbudowa zniszczonego przez wojnę państwa pszczyńskiego trwała około piętnastu lat. Działania te skupiły się przede wszystkim na sprowadzaniu nowych chłopskich osadników, rekonstrukcji folwarków (zorganizowanych w klucze gospodarcze), rozwoju handlu (tranzyt wołów polskich) i dalszym

wspieraniu rzemiosła przez wydawane przywileje. Pod tym względem hojnym gospodarzem był Erdmann I von Promnitz (1654-1664), z którego czasów pochodzi pierwsza źródłowa wiadomość (1657) o wydobywaniu węgla kamiennego – w odkrywkach pod Murckami. Wprowadził on także sposób użytkowania niektórych kluczy gospodarczych i zakładów przez ich wydzierżawianie różnym „przedsiębiorcom”, często kupcom żydowskim (browar w Tychach), licząc na większe zyski. Sposób ten, stosowany często przez kolejnych wolnych panów aż do XIX wieku zwykle się nie sprawdzał, narażając ich na straty i spory sądowe.

Już jednak około 1670 roku, w czasach regencji Ulryka von Promnitsa (1664 – 1678), rozpoczął się nowy kryzys gospodarki państwa pszczyńskiego, spowodowany tak czynnikami ekonomicznymi (spadek znaczenia szlaków handlowych, konkurencja innych miast) i wyznaniowymi (odpływ rzemieślników z miast), jak i antymiejską polityką wolnych panów, forsujących zgodnie z środkowoeuropejskim trendem gospodarkę folwarczno-pańszczyźnianą. Powstawały nowe folwarki (na początku XVIII wieku było ich już 22) i niestannie zwiększano powinności już całej ludności chłopskiej, wydając w tym celu szczegółowe konstytucje i regulaminy gospodarce.

Politykę taką realizował w szczególności Baltazar Erdmann von Promnitz (1678 – 1703), tworząc z państwa pszczyńskiego zamknięty, samowystarczalny organizm gospodarczy. Pomimo wydawania przez niego kolejnych przywilejów dla cechów miejskich, nastąpił upadek pszczyńskiego ośrodka sukienicznego i zmarginalizowanie handlowej roli jego miast, do czego przyczynił się także cesarski zakaz importu soli polskiej (1700). Poza rolnictwem, w tym również hodowlą koni, interesowała go jeszcze branża hutnicza. Założył drugą kuźnicę w Jaroszwicach (1697) i nabył kuźnicę w Bogucicach. Przedsiębiorstwa te nabierały coraz większego znaczenia w gospodarce latyfundiów, w 1700 roku wypracowały już 10% płynących z niego dochodów. Znaczną część ich wyrobów wywożono do Polski.

Erdmann II von Promnitz (1703-1745) kontynuował inwestycje przedprzemysłowe ojca, zakładając około 1710 roku kuźnicę w Paprocanych pod Tychami, a następnie sprowadzając około 1730 roku hutników z Saksonii, którzy zainstalowali w niej w miejsce dymarek wysoki piec typu saskiego (wraz z fryszerką). Był to wielki przełom w ówczesnej technologii hutniczej stosowanej na Górnym Śląsku, a tak unowocześniona huta żelaza stała się pierwszą manufakturą w państwie pszczyńskim. Jednocześnie arystokrata zainwestował w hutnictwo szkła, zakładając małe huty w Gostyni (1711) i Łaziskach Górnych (1723). Inną manufakturę w postaci bielnika płótna założył około 1740 roku w Lędzinach. W tym sa-

mym czasie w rejonie Murcek podjęto systematyczną eksplorację złóż węgla kamiennego (metodą odkrywkową). Wszystkie te inwestycje dały początek pierwszej rewolucji techniczno-przemysłowej w państwie pszczyńskim.

Jednak władający nim hrabiowie Erdmann II i jego syn Jan Erdmann (1745 – 1765), a nawet pierwszy z dynastii książąt Anhalt-Köthen, Fryderyk Erdmann (1765 – 1797), nie uważali siebie bynajmniej za kapitalistycznych przedsiębiorców. Wiodącymi sektorami gospodarki ich dóbr pszczyńskich pozostawały rolnictwo oraz propinacja. Ta ostatnia już po 1720 roku stała się najbardziej dochodowym interesem, zapewniając 30% ich dochodów. W związku z tym arystokraci inwestowali w nowe karczmy, browary i gorzelnie. Proceder ten stosowany był powszechnie przez szlachtę środkowoeuropejską w XVIII i w I połowie XIX wieku.

Pierwsza na Górnym Śląsku uprawa ziemniaków

Ponadto Erdmann II miał na swym koncie założenie pięciu następnych folwarków pańszczyźnianych, kilka chałupniczych wsi i osad oraz intensyfikację hodowli zwierzęcej, zwłaszcza bydła i owiec (13 owczarni), w tym założenie dużej stadniny koni w Niemieckiej Wiśle. Doprowadzając metodami ekstensywnymi swoją gospodarkę folwarczno-pańszczyźnianą do krańcowych niemal możliwości, zaśląnął z wprowadzenia około 1735 roku pio-

nierskiej na Górnym Śląsku uprawy ziemniaków. Miała się ona stać antidotum na powtarzające się klęski głodu.

Na gospodarkę państwa pszczyńskiego w II połowie XVIII wieku duży wpływ wywarła wielka europejska koniunktura na zboże, dzięki czemu poważnie wzrosła opłacalność całej produkcji rolniczej. Stało się to widoczne już w czasach panowania Jana Erdmanna von Promnitz, gdy dostarczała do 50% wszystkich dochodów z dóbr. Natomiast na pozostałe sektory gospodarcze (poza propinacją) negatywny wpływ wywarły takie czynniki, jak ograniczenie w 1753 roku handlu z Polską, wojna celna z Austrią i Saksonią oraz wojna siedmioletnia (1756 – 1763). Na celnych restrykcjach pruskich najbardziej ucierpiała wówczas gospodarka leśna oraz stawowa, które utraciły główny, krakowski rynek zbytu. Ostatnia z wymienionych gałęzi gospodarki weszła w stadium stagnacji, nigdy już nie odzyskując dawnej świetności. Wiele stawów osuszono i zamieniono na łąki i pola uprawne.

Kolejnymi doniosłymi inwestycjami pierwszej rewolucji przemysłowej stało się pionierskie zastosowanie (na polecenie Jana Erdmanna) węgla kamiennego do opalania wszystkich przedsiębiorstw (poza hutami i kuźnicami), założenie w 1764 roku manufaktury – huty szkła w Wesolej, w której zatrudniono czeskich mistrzów oraz uruchomienie przez Fryderyka Erdmanna księcia Anhalt-Köthen w 1768 roku przy pomocy 3 górników z Wernigerode pierwszej na Górnym Śląsku głębinowej kopalni węgla kamiennego w Murckach („Emanuelsegen” – „Błogosławieństwo Ema-

nuela”). Wkrótce powstały kopalnie odkrywkowe w Wyrach, Wesolej, Mikołowie i Dolnych Łaziskach. Były to prymitywne przedsiębiorstwa oparte głównie na pracy kilkunastu chłopów pańszczyźnianych. Z braku odpowiednich dróg wywóz węgla z ukrytych w lasach kopalń był możliwy tylko przez kilka miesięcy w roku. Obiekty te nie stanowiły konkurencji dla innych kopalń górnośląskich. Jeszcze w 1780 roku kopalnie Anhalta dostarczały 80% ich wydobycia, ale już w 1790 roku tylko 16,2% (wydobycie sięgnęło 2 000 t węgla).

Huta żelaza w Paprocanych, huta cynku w Wesolej

Wspomniany książę uruchomił także w rejonie Tychów wielkie wapienniki i cegielnię, a w latach 1775-1776 rozbudował hutę żelaza w Paprocanych, tworząc z niej jeden z największych zakładów tego typu na Górnym Śląsku. Jednak w późniejszym czasie zaniedbał dalszych inwestycji w hutnictwo żelaza, w rezultacie pozostało ono technicznie zapóźnione w stosunku do dynamicznie rozwijającej się tej gałęzi przemysłu w centrum dzielnicy. Większą uwagę poświęcił hucie szkła w Wesolej, która pod kierownictwem Johana Christiana Ruhberga z Wernigerode osiągnęła wysoki poziom produkcji i stała się jedną z najlepszych hut pruskich. Ruhberg dokonał w niej w 1792 roku eksperymentalnego w skali światowej wytopu cynku. Był to wielki wy-



Fasada zachodnia Zamku w Pszczynie po przebudowie 1870-76

nalazek przemysłowy, dzięki któremu powstała w 1799 roku w Wesołej pierwsza na Górnym Śląsku i jedna z pierwszych na świecie fabryka cynku. Fryderyk Erdmann był także założycielem kilku manufaktur z branży włókienniczej, inwestował również w młyny wiatrakowe.

Wielki arystokrata nie widział jednak potrzeby ekspansji przemysłowej. Jego przedsiębiorstwa miały charakter dworskich manufaktur, a nie przedsiębiorstw kapitalistycznych, stanowiąc jedynie uzupełnienie głównych gałęzi gospodarki latyfundiów, czyli rolnictwa i leśnictwa. Niemniej przez swoje inwestycje odegrał pionierską rolę w dziejach górnictwa węglowego i hutnictwa na Górnym Śląsku, niestety później zapomnianą i przesłoniętą przez postacie innych arystokratów pruskich (Reden, Colonna).

Nowoczesne rolnictwo i gospodarka leśna

Fryderyk Erdmann, przywiązany do tradycyjnych form gospodarowania, doprowadził do nowego rozkwitu gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej, nie tylko przez założenie dalszych trzech folwarków, nowych kolonii i zagród chałupniczych, ale przede wszystkim dzięki zastosowaniu elementów tzw. nowego rolnictwa według wzorca saskiego: melioracji, ulepszonej trójpolówki i plodozmianu, nawożenia łąk oraz nowych narzędzi rolniczych. Pomimo, że nie wszystkie nowe metody i techniki przyjęły się, osiągnął znaczący wzrost plonów zbóż i wyników hodowli zwierząt. Nadal też propinacja pozostawała ważnym źródłem dochodów w gospodarce państwa pszczyńskiego.

Anhalt położył także wielkie zasługi w zaprowadzeniu nowoczesnej gospodarki leśnej opartej na systemie leśnictw i gajówek oraz metodzie planowej wycinki drzew. Od lat 80. XVIII wieku sektor ten zaczął nabierać dużego znaczenia gospodarczego z uwagi na rosnące potrzeby przemysłu górnośląskiego i ponownie otwartego rynku krakowskiego. W 1787 roku bezpośrednią własnością księcia w państwie pszczyńskim było 73 839 ha gruntów, 52 wsie i 6 części wsi, 25 folwarków i 10 owczarni.

Realizowany przez niego, a następnie przez synów: Fryderyka Ferdynanda, Henryka oraz Ludwika, model gospodarowania, oparty w głównej mierze na dużych folwarkach i bezwzględnej eksploatacji pańszczyźnianych chłopów, chociaż dosyć skuteczny pod względem finansowym, doprowadził jednak do wielu ich buntów, stłumionych przy pomocy wojska pruskiego. Model ten w warunkach społeczno-gospodarczych panujących w Europie w I połowie XIX wieku był już anachroniczny. Jednak Anhaltowie stosowali go i bronili do końca swych rządów, sprzeciwiając się nie tylko koncepcjom oczyszczania chłopów, ale także reali-

zacji pruskich ustaw uwłaszczeniowych z lat 1811 – 1821. W konsekwencji państwo pszczyńskie w momencie rewolucyjnych zmian w 1848 roku było pod względem likwidacji gospodarki folwarczno-pańszczyźnianej najbardziej zapóźnionym terytorium Górnego Śląska.

Gospodarka rolna była przez drugie pokolenie Anhaltów stopniowo modernizowana zgodnie z zasadami nowego rolnictwa. Fryderyk Ferdynand książę Anhalt-Köthen-Pless (1797- 1818) zwrócił szczególną uwagę na folwarczną hodowlę bydła, owiec i koni, których rasy uszlachetniano, sprowadzając na przykład szwajcarskie i tyrolskie buhaje. Dla celów paszowych zastosowano uprawę nieznaną dotąd koniczyny. Z kolei jego brat Ludwik (1830 – 1841) ponownie rozwinął zaniedbaną, dużą hodowlę owiec, których wełnę skupywali kupcy żydowscy dla ówczesnego przemysłu włókienniczego. Wprowadził także uprawę rzepaku i założył przerabiającą go olejarnię w Pszczynie.

Książę Fryderyk Ferdynand zapoczątkował także działalność przemysłową o charakterze kapitalistycznym. Był on nie tylko jednym z pierwszych na świecie przedsiębiorców cynkowych, ale rozwinął także huty szkła w Wesołej i Paprocianach, tamtejszą hutę żelaza oraz uruchomił w 1808 roku drugą głębiniową kopalnię węgla kamiennego „Louis Ehre” w Wesołej, pracującą w oparciu o robotników najemnych. Powstała przy niej fabryka alunu i witriolu (kwasu siarkowego).

Kryzys w państwie pszczyńskim

Naczej jego gospodarce niekorzystnie odbiły się jednak wojny napoleońskie i blokada kontynentalna. W konsekwencji przedsiębiorstwa przemysłowe przeżyły po 1810 roku poważny kryzys i były nawet na pewien czas zamykane. Sytuację pogorszyło bankructwo Prus w 1811 roku, zmuszając księcia do zastosowania znacznych oszczędności. Kryzys na długie lata zastopował rozwój rolnictwa i przemysłu w państwie pszczyńskim. Spowodował również definitywny upadek niektórych branż rzemieślniczych w miastach, uwolnionych w 1808 roku spod władzy wolnych panów, zwłaszcza sukienictwa i płóciennictwa w Pszczynie.

Okres stagnacji gospodarczej przedłużyło pierwsze panowanie księcia Henryka Anhalt-Köthen-Pless (1818 – 1830), który zajął się głównie rozwijaniem wysoce dochodowego przemysłu gorzelnianego (wódka pszczyńska była wówczas eksportowana do Wiednia i Nowego Jorku). W 1828 roku otrzymał nawet królewski przywilej na monopol propinacyjny w państwie pszczyńskim. W niewielkim natomiast stopniu interesował się pozostałymi zakładami przemysłowymi, z których część została zamknięta (huta cynku w Wesołej 1828). Udało się mu

jednak uzyskać w 1824 roku od króla pruskiego niezwykle cenny przywilej regale górniczego i hutniczego na obszarze 68 034 ha wchodzącym w skład pszczyńskiego wolnego państwa stanowego. Przywilej ten, wyjątkowy w Prusach, stał się w XIX wieku podstawą późniejszego bogactwa książąt pszczyńskich.

Przemysł propinacyjny rozwijał dalej książę Ludwik Anhalt-Köthen-Pless. Jednak po 1835 roku zdobył się na modernizację swoich hut żelaza, przeprowadzoną przez słynnego angielskiego inżyniera Johna Baildona, a następnie, pod wpływem powstałej koniunktury na węgiel górnośląski, na budowę w 1839 roku kopalni węgla „Augustensfreude” w Łaziskach Górnych. Dwa lata później reaktywował hutę cynku w Wesołej, a w tamtejszej kopalni węgla zainstalował pierwszą w państwie pszczyńskim maszynę parową. Inwestycje te wzmocnił książę Henryk w trakcie swego drugiego panowania w państwie pszczyńskim (1841 – 1846), uruchamiając kopalnię węgla „Heinrichsfreude” pod Łędzinami (1842) i „Schadok” w Panewnikach (1846). Zbudował także drugą hutę cynku w Wesołej, a w latach 1845-46 kompleks hutniczy „Ida” w Panewnikach-Kokocińcu.

Jednakże z powodu konserwatywnej postawy obu ostatnich Anhaltów i wprowadzonych oszczędności, były to wciąż ograniczone przedsięwzięcia kapitalistyczne, nie przystające do śmiałych inwestycji realizowanych przez innych magnatów górnośląskich. W rezultacie w połowie XIX wieku państwo pszczyńskie znajdowało się ciągle na etapie wczesnego uprzemysłowienia, daleko za jego stanem w górnośląskim okręgu przemysłowym. Pod względem osiągnięć swego przemysłu nie liczyło się w całości kształcie jego produkcji.

Ostatnim wolnym panem i właścicielem pszczyńskiego wolnego państwa stanowego był krewny Anhaltów, Jan Henryk X hrabia von Hochberg. W sferze gospodarczej zajmował się głównie uwłaszczeniem chłopów, które w momencie rozwiązania państwa pszczyńskiego na podstawie konstytucji pruskiej z 5 grudnia 1848 roku objęło dotąd niespełna 50% jego poddanych. Terytorium to nosiło jeszcze charakter półfeudalnego świata.

(Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji)

Jerzy Polak (1954), dr nauk humanistycznych, absolwent US i UJ, historyk, muzealnik, mieszkaniec Bielska-Białej, b. dyrektor Muzeum Okręgowego w Bielsku-Białej, specjalizuje się w tematyce śląskiej, zwłaszcza historią Bielska-Białej, Pszczyny i Śląska Cieszyńskiego, współautor monografii historycznych Bielska-Białej (2010) i Pszczyny (2014), autor dwutomowego „Pocztu panów i książąt pszczyńskich” (2007), wielu monografii i artykułów.



Stajnie Książęce po renowacji



Galeria w końskich boksach

Kompleks pałacowy w Pszczynie to jeden z najpiękniejszych (dla mnie najpiękniejszy) zakątków naszego regionu. Park przyciąga o każdej porze roku i zaspokaja najbardziej wyszukane kaprysy zwiedzających. Spacer alejami okalającymi stawy i kanały relaksuje najbardziej stargane nerwy i nieodmiennie zachwyca. Dla miłośników dendrologii niezwykła to gratka. Bo czegoż tu nie ma? Podziwiać można potężne dęby, wielobarwne kasztanowce, rozłożyste cisy, długowieczne lipy, wyniosłe jesiony, strzeliste graby, szumiące modrzewie, ozdobne płatany... a nieco niżej wzrok kocha i zachwycają urzekające rododendrony i azalie.

Jeszcze do niedawna rysą na nieskazitelnym obrazie pszczyńskiego imperium były ponure budowle po wschodniej stronie pałacu, pozostałości po książęcych stajniach, pamiętające wiek XIX, dzieło architekta Oliviera Pavelta. Pierwszy obiekt – wozownię rodzina Hochbergów wybudowała w 1864 roku, w latach 1866–1867 powstały stajnie wraz z siodlarnią a dwa lata później zespół wzbogacił się o ujeżdżalnię. Początek XX wieku zawojsowały konie mechaniczne, nic więc dziwnego, że w latach 1904–1910 pojawiły się tu murowane garaże dla książęcych samochodów. Z kompleksu Hochbergowie korzystali do wybuchu II wojny światowej. Po jej zakończeniu wprowadzały się tu kolejno różne instytucje, pomieszczenia nad stajniami zaadaptowano do potrzeb mieszkalnych, ujeżdżalnię przebudowano i urządzono w niej halę sportową a w stojącym nieopodal młynie umieszczono skład materiałów opałowych. Wiele cennych elementów za-

równo zewnętrznych jak i wystroju wnętrza i wyposażenia poległo podczas kolejnych etapów modernizacji.

Na szczęście znaleźli się zwolennicy przywrócenia obiektu kompleksowi pałacowemu, choć wykorzystanie tych pomieszczeń znacznie się odmieniło.

W 2013 roku, po pieczołowitych pracach rekonstrukcyjnych i renowacyjnych, w wyremontowanych obiektach pojawiła się imponująca powierzchnia ekspozycyjna, poszerzająca ofertę wystawienniczą Muzeum Zamkowego. Hala główna byłej stajni, zachowując pierwotną konstrukcję, stanowi dzisiaj oryginalną galerię. W końskich boksach gościły, znakomicie zaaranżowane we wnętrzu dzieła Leona Dołżyckiego, fotografie Haralda Renbjøra, obrazy Wiesława Ochmana. W drugiej części znalazło się miejsce dla eksponatów związanych z łowiectwem, myślistwem, obecnie gości tam wystawa „Na łów, na łów, towarzyszu mój!” poświęcona lasom pszczyńskim, żyjącej w nich zwierzynie, polowaniom oraz personelowi łowieckiemu a także broń myśliwska, trofea, archiwalne fotografie i dokumenty. Prezentowane są także zabytkowe pojazdy konne ze zbiorów Muzeum – Zamku w Łańcucie, Karetą Clarence z pocz. XX wieku, wyprodukowana przez niemiecką fabrykę Jos. Neuss z Berlina oraz Powóz typu „MYLORD” z pocz. XX wieku wyprodukowany w Czechach (Karel Wálouch v Litovli).

W wozowni od maja tego roku, na wystawie czasowej, goszczą karety paradne króla Jana III Sobieskiego (o wystawie czyt. na s. 48–49). Wcześniej na ekspozycji „Od Kleopatry do Nelsona. Jubileuszowy bal kostiumowy królowej Wiktorii” można było oglą-

dać fotografie pochodzące z Archiwum Lafayette’a w Victoria & Albert Museum w Londynie, stanowiącego jedną z najbardziej znaczących brytyjskich kolekcji szklanych negatywów z okresu późnowiktoriańskiego i edwardiańskiego a także zdjęcia ze zbiorów Archiwum Królewskiego w Windsorze.

Dawny skład paszy (na piętrze) przeobraził się w obszerną salę konferencyjną, w której odbywają się także lekcje muzealne, multimedialne pokazy, sympozja, spotkania. W dawnej siodlarni zaaranżowano elementy niezbędne dla funkcjonowania galerii, znajdują się tam m.in. kasa, toalety, muzealny sklepik.

W starym młynie zgotowano raj dla artystów, w kameralną przestrzeń znakomicie wkomponowują się prace twórców. Pierwszą wystawą, jaką mieliśmy okazję oglądać w tym wnętrzu była prezentacja dzieł artystki pochodzącej z Finlandii Eliny Marjaany Hämeen-Anttila. *Fascynacja surrealizmem, kubizmem, ekspresjonizmem i starymi holenderskimi mistrzami daje mieszankę piorunującą* – pisał o wystawie na łamach „Słaska” Witold Kociński. Trzeba przyznać, że to specyficzne miejsce niezwykle rzutuje na ocenę i odbiór eksponowanych tam prac.

Wprawdzie w Książęcych Stajniach nie słychać już rżenia koni, o które tak dbali pszczyńscy włodarze, ale po 150 latach od pojawienia się w kompleksie pałacowym wozowni zatętniło tu życie i powróciła atmosfera XIX-wiecznych wnętrz, po których z gracją i wdziękiem przechadzała się niegdyś księżna Daisy, Maria Teresa Oliwia Hochberg von Pless.

Georga Filipa Telemanna



związki z Pszczyną

JULIAN GEMBALSKI



Georg Filip Telemann (1681 – 1767)

Choć Ziemię Pszczyńską od Saksonii dzielią setki kilometrów, to w dzieje obydwu tych historycznych regionów wpisuje się postać jednego z najbardziej sławnych w okresie baroku kompozytorów europejskich – po-

chodzącego z Magdeburga i wykształconego w Saksonii Georga Filipa Telemanna (1681–1767). A wszystko za sprawą możnego, a zarazem znaczącego na arenie politycznej ówczesnej Europy rodu magnackiego Promnit-

zów, posiadających wspaniałe rezydencje nie tylko w Saksonii ale także w śląsko-łużyckich Żarach i w górnośląskiej Pszczynie. Pierwszy właściciel i pan na pszczyńskich włościach – Baltazar von Promnitz, zakupił w 1548 roku Pszczyńskie Wolne Państwo Stanowe, które następnie przechodziło na kolejnych członków rodu, by w 1765 roku przejść w posiadanie innej saksońskiej rodziny arystokratycznej – dynastii Anhalt – Köthen, spokrewnionej zresztą z Promnitzami poprzez małżeństwa.

Jak to w ówczesnych zwyczajach europejskich było, arystokratyczne rody nie ograniczały swojej działalności do jednego tylko terytorium czy miasta. Posiadały zwykle kilka rezydencji, magnackich dworów i pałaców, na ziemiach, które zasiedlały od pokoleń lub też nabywały w drodze małżeństw, spadków czy zakupów. Każdy taki dwór utrzymywał licznych domowników, członków rodziny i służbę, dworskich urzędników, prowadził też tryb życia wpisujący się w kanony ówczesnej etykiety i zwyczajów stanowych. Splendor książęcego dworu budowały nie tylko funkcje publiczne i polityczna władza „wolnego pana na włościach” ale i przepych jego rezydencji, życie towarzyskie, kontakty z „możnymi tego świata”. W rzeczywistość tę wpisywało się także niezwykle przywiązanie do sztuki, w tym do muzyki, która towarzyszyła codziennemu życiu dworu i nadzwyczajnym wydarzeniom, których w tamtych czasach nie brakowało (rocznice, odwiedziny monarchy, uroczystości rodzinne, polowania itp.).

W 1704 roku kolejny członek rodu Promnitzów, Edward II von Promnitz, powołał na stanowisko nadwornego muzyka i kapelmistrza swego nowo urządzonego dworu w Żarach Georga Filipa Telemanna. Ambitny książę, wykształcony i rozmiłowany w sztuce, pozyskał sławnego już w Europie kompozytora, który – podobnie jak jego chlebodawca, był człowiekiem o wielu talentach, gruntownie wykształconym i obytym w świecie. Książę Erdmann II von Promnitz, należący do najwybitniejszych przedstawicieli rodu, z pewnością poszukiwał kogoś godnego siebie. W młodości przebywał w Wersalu, gdzie poznał sztukę, w tym muzykę francuską i we francuskim stylu urządził pałac w Żarach. Nie mogło braknąć w nim zawodowej kapeli instrumentalnej, na której czele stać musiał muzyk o nieprzeciętnych i wszechstronnych zdolnościach.

Warunki te spełniał Telemann. Jego sława już wówczas przyćmiewała sławę wielkiego Jana Sebastiana Bacha, a przyjaźń z drugim geniuszem niemieckiego baroku – Georgiem Friedrichem Haendlem, potwierdzała wysoką pozycję kompozytora. Droga do sławy i spełnienie artystycznych aspiracji Telemanna nie były jednak proste. Młodzieńcze fascynacje muzyką, wsparte



Fot. Jacek Jarczok

Fragment ekspozycji w Izbie u Telemanna

samodzielną nauką na kilku instrumentach i pierwszymi próbami kompozytorskimi utrudniane były przez rodzinę, zwłaszcza przez matkę, która zabroniła mu studiowania muzyki i wysłała na naukę różnych przydatnych umiejętności (m.in. miernictwa) do szkoły w Zellerfeld. Telemann wykorzystywał jednak wszelkie okazje, by zgłębiać tajniki komponowania i gry na instrumentach. Realizował to stopniowo podczas nauki w *Gymnasium Andreamum* w Hildesheim, a potem, już jako uznany w środowisku muzyk, na uniwersytecie w Lipsku, gdzie studiował prawo. Nie dane mu jednak było zostać tajnym radcą, jak obiecywał sobie, pozostając wiernym zaleceniom matki. Nieustannie pisał muzykę, na użytek Kościoła oraz opery i dworów magnackich. W Lipsku założył słynne później *Collegium Musicum*, a wspierany przez ówczesne autorytety muzyczne, mógł się wreszcie poświęcić swojej pasji twórczej.

Jego droga do pierwszego rzędu największych muzyków doby baroku stanowi znakomity materiał do fascynującej biografii, wróćmy jednak do jego przygody z Pszczyną, gdyż jest ona nie mniej interesująca.

Po powołaniu na stanowisko kapelmistrza dworskiego w Żarach, Telemann ochoczo zabrał się do tworzenia muzyki, jakiej w środowisku księcia Erdmanna von Promnitz oczekiwano. W swej autobiografii kompozytor tak opisuje atmosferę dworu:

„Świetność tego dworu od nowa postawionego na książęcej stopie zachęcała mnie do entuzjastycznych przedsięwzięć zwłaszcza w dziedzinie muzyki instrumentalnej, przy czym faworyzowałem tu przede wszystkim uwertury wraz z ich suitami, ponieważ Pan Hrabia krótko przedtem powrócił był z Francji i szczególnie je lubił. Otrzymałem tam dzieła Lully’ego, Campry i innych mistrzów, i oddałem się niemal całkowicie ich stylowi, tak że w ciągu dwóch lat skomponowałem 200 uwertur.”

Atmosfera dworu Promnitzów sprzyjała więc twórczości i praktyce koncertowej. Muzyka była ważna, więc kiedy dwór przeniósł się po pół roku do letniej rezydencji, za jaką uważano pałac w Pszczynie, nadworny kompozytor towarzyszył księciu i całemu dworowi w tej podróży. W skład dworskiej służby wchodzili także muzycy kapeli, gdyż w dobrach pszczyńskich takiej kapeli nie utrzymywano (założył ją dopiero w 1767 roku kolejny właściciel Pszczyny – książę Fryderyk Adam Anhalt). Z analizy autobiografii kompozytora wynika, że obok stałych obowiązków, do jakich z pewnością należało komponowanie, próby z kapelą czy uświetnianie uroczystości dworskich i kościelnych, miał czas na zapoznawanie się z nieznaną dotąd krainą, zamieszkałą przez wieśniaków i mieszczan mówiących innym językiem, do tego rozmiłowanych w śpiewie

i grze na instrumentach. Telemann, zapewne z innymi dworzanami, odwiedzał okoliczne karczmy, gdzie zwykle spotkaniom biesiadników towarzyszyła kapela ludowa. Dla muzyka wychowanego na francuskich i niemieckich wzorach, znającego świetnie europejski styl profesjonalnej twórczości kamestralnej i operowej, poznanie polskiej muzyki ludowej było przeżyciem niezwykłym. Daje temu wyraz w *Autobiografii*, pisząc:

„Kiedy wspomniany dwór po pół roku przeniósł się do Pszczyny (...) poznałem zarówno tam, jak i w Krakowie muzykę polską i hanacką (chodzi zapewne o muzykę morawską, *przyp. J.G.*) w jej prawdziwie barbarzyńskim pięknie. W pospolitych karczmach grywały ją kapele złożone ze skrzypiec strojonych o tercję wyżej niż zwykle, które potrafią zagłuszyć pół tuzina innych, z polskich dud, puzonu kwintowego i regału. W znaczniejszych miejscowościach jednak regału się nie spotyka, natomiast oba pierwsze instrumenty ulegają wzmocnieniu: pewnego razu w jednej kapeli widziałem na raz 36 dud i 8 skrzypiec. Trudno wprost uwierzyć, jak cudowne pomysły mają tacy dudziarze czy skrzypkowie, kiedy podczas przerwy w tańcach zaczynają fantazjować. Człowiek uważny zaopatrzyłby się w ciągu tygodnia w zapas pomysłów na całe życie.

Krótko mówiąc, w muzyce tej tkwi nadzwyczaj dużo dobrego, jeśli tylko po-



Z kolekcji instrumentów ludowych w Izbie u Telemanna

trafi się ją należycie wykorzystać. W tym stylu pisałem później różne wielkie koncerty i tria, które przybrałem we włoską szatę ze zmiennymi adagiami i allegrami”.

Przytoczony fragment zdradza nie tylko wielkie otwarcie Telemanna na nowe zjawiska w muzyce, jakich dotąd nie znał ale i na świetny zmysł obserwacyjny. Opis ten daje także badaczom polskim ważną informację na temat uprawiania muzyki ludowej na osiemnastowiecznym Górnym Śląsku. Istniała wprawdzie w Europie dość dobra znajomość tzw. stylu polskiego w muzyce, dotyczył on jednak głównie muzyki dworskiej, a więc tańców, z których najbardziej charakterystycznym był polonez. Określenie „alla polacca” odnajdziemy w twórczości największych ówczesnych kompozytorów, z Bachem i Haendlem na czele, zaś zaliczenie stylu polskiego do czterech wiodących stylów muzycznych osiemnastowiecznej Europy (obok stylu niemieckiego włoskiego i francuskiego) świadczy o wysokiej profesjonalnej kulturze muzycznej dawnej Polski. Choć nie odnoszono tego stylu do muzyki ludowej, można przypuszczać, że była ona zauważana przez podróżujących po Polsce muzyków. Niemiecki leksykograf barokowy, Johann Scheibe nazwał styl polski „wesołym, satyrycznym i skocznym”, a sam Telemann, zapewne po usłyszeniu pieśni ludowych, jakie śpiewano w pszczyńskich wioskach, napisał na jej cześć piękny panegiryk:

*Wychwała człowiek właśnie to,
co może go ucieścić,
a polska pieśń uczyni tak,
że każdy skakać spieszy.
Bez trudu tedy przyjdzie mi
konkluzja całkiem pewna:
muzyka polska, wierzcie mi
bynajmniej nie jest z drewna.*

Pobyt na ziemi pszczyńskiej i kontakt z muzyką ludową, jako synonimu stylu polskiego, wykorzystał Telemann w kilku kompozycjach, które powstały po zakończeniu pobytu na Śląsku. W bogatym dorobku kompozytora odnaleźć można siedem kompozycji, napisanych pod wpływem muzyki polskiej, zarówno ludowej jak i dworskiej. Należą tu w pierwszym rzędzie dwie *Sonaty Polskie (Sonate Polonoise)*, *Suita Polska* i *Concerto Polonoise*. Utwory te przeznaczone są na dwoje skrzypiec, altówkę i basso continuo. W obu sonatach pobrzmiewają rytmy taneczne, w tym polonezowe i mazurowe. Nie jest wykluczone, że utworów tego typu było więcej. Część powstała być może w Pszczynie i do tej nieznanej części należy z pewnością muzyka kościelna. W inwentarzach muzykaliów pszczyńskich i notatkach opisujących wykonywaną w Pszczynie muzykę odnotowano np., że podczas jednego z nabożeństw w 1774 roku, sprawowanego podczas Bożego Narodzenia, wykonywano *muzykę kościelną według kompozycji Telemanna*. Telemann był wytrawnym znawcą stylu kantatowego i twórcą wielkiej ilości muzyki na użytek liturgii. Miał też doświadczenie jako organista, choć nie zachowało się wiele jego kompozycji organowych. Trudno jednak wyobrazić sobie, by tak wielki muzyk – zarazem dworski i kościelny, nie wykorzystał okazji, by zapoznać się z organami znajdującymi się w pszczyńskich kościołach. Pochodzący z czasów baroku prospekt organów kościoła Wszystkich Świętych wskazuje, że był tam kiedyś duży, barokowy instrument, kuszący swym bogactwem dźwiękowym i zachęcający do gry. Może w niejeden wieczór mistrz Telemann zasiadał za jego klawiaturami, by snuć improwizowane fantazje i poszukiwać natchnienia w ich brzmieniu. Z pewnością też miał okazję dotknąć siedemnastowiecznego pozytywu kościoła św. Jadwigi.

Choć nie ma na to dowodów, można snuć takie przypuszczenia, obserwując „poznawczy pęd” organistów każdej epoki, żywy także w czasach nam współczesnych.

Pamięć o pobycie w Pszczynie jednego z największych kompozytorów baroku jest dziś bardzo żywa. Wyrazem tej pamięci i chęci dotarcia do zapomnianych kart historii pszczyńskiej kultury muzycznej było stworzenie cyklu koncertów, zatytułowanych „Wieczory u Telemanna”, które odbywają się od wielu lat w Sali Lustrzanej pałacu w Pszczynie. To niezwykle przeżycie – łączące muzykę w wykonaniu najlepszych artystów polskich i zagranicznych ze zwiedzaniem wspaniałych komnat pszczyńskiego pałacu. „Wieczory u Telemanna” pozwalają na przeżywanie muzyki dawnej w niezwykłym otoczeniu. Sala Lustrzana, choć będąca efektem modyfikacji wykonanych w pałacu już w czasach Hochbergów, pomaga wczuć się w atmosferę czasów, w których po zamkowych komnatach przechadzał się wielki Telemann.

W1975 roku powstała w Pszczynie „Izba u Telemanna”. Mieściła się ona początkowo w mieszczańskim kamieniczce, w sąsiedztwie kościoła Wszystkich Świętych. Do niej trafił odnaleziony przez Aleksandra Spyrę zabytkowy pozytyw ze Studzienic, przed wojną znajdujący się w kościele św. Jadwigi w Pszczynie. Po kilku latach pozytyw przeniesiono do sali muzycznej Muzeum Prasy Śląskiej, w której zgromadzono bogatą kolekcję instrumentów muzycznych. Salka ta również nazwana została „Izbą u Telemanna” i stała się miejscem koncertów kameralnych, w tym również muzyki wielkiego kapelmistrza dworskiego. Tam występował wielokrotnie pszczyński „Zespół barokowy im. G.Ph. Telemanna”, złożony ze skrzypiec, fletu, wiolonczeli i klawesynu, który prezentował muzykę kameralną kompozytorów barokowych oraz inne zespoły i soliści. Odbywały się tu również koncerty pieśni i arii z towarzyszeniem pozytywu, który przed dwoma laty odzyskał swój pierwotny, barokowy blask, dzięki przeprowadzonym pracom konserwatorskim.

Georg Filip Telemann przypomina o swym pobycie w Pszczynie nie tylko poprzez swą muzykę. Nie możemy się wprawdzie wybrać dziś w jego towarzystwie do podpszczyńskich zajazdów i karczm, by posłuchać ludowych muzyków grających na skrzypcach „strojonych o tercję wyżej niż zwykle”, ale możemy przysiąść w przytulnej zamkowej kawiarence „u Telemanna”, by pomedytować o europejskim wymiarze Pszczyny, łączącej daleką Saksonię z Górnym Śląskiem, dzięki postaci jednego z największych europejskich muzyków barokowych.

Gdyby zapytać kogokolwiek, jaka postać kojarzy mu się z Pszczyną, większość zapytanych odpowiedziałaby, że Daisy Cornwallis-West. Mniej osób zapewne wymieniloby Georga Philippa Telemanna, a księżęta pszczyńscy wystąpiliby raczej grupowo. Taka sytuacja jest w dużej mierze wyrazem mody, a także dostępnej wiedzy. Daisy od pewnego czasu jest modna, ponieważ interesują się nią kobiety, widząc w niej pewien symbol. Niewątpliwie swą obecną popularność księżna zawdzięcza w dużej mierze innej angielskiej damie, tragicznie zmarłej w rozkwicie swej urody Lady D. Czy jest to prawdziwe podobieństwo losów, czy też wytwór zbiorowej imaginacji, trudno ponad wszelką wątpliwość ocenić.



Foto. z arch. Muzeum Prasy Śląskiej

Księżna Daisy (Stokrotka) z synami Henrykiem i Bolkiem

W saloniku damy

Niewątpliwie owe damy pochodziły z bardzo arystokratycznych rodów, były niezwykle urodziwe, obie zostały przez swych małżonków stłamszone, by nie powiedzieć, sponiewierane. Obu jednak udało się nieco śmietanki z kruchego kubka życia wypić. Obie zostały po śmierci wyniesione na ołtarze, które tzw. lud, cokolwiek rozumiemy pod tym pojęciem, wznosi, by uprawomocnić i uwiarygodnić swoje myślenie życzeniowe i wiarę w różne mało realne, ale niekoniecznie zbędne zjawiska, jak królowe ludzkich serc i temu podobne. Jednak aby kanonizacja była pełna, musi nastąpić etap męczeństwa. Tego ani jednej, ani drugiej damie nie brakowało. Nie tylko ze strony nieczułych małżonków czy ich rodzin. Powiem więcej,



Miasto niezwykłych postaci

WITOLD
TURANT

ten etap przeciągnął się nawet poza sferę ich życia. Lady D. była za życia, a także po śmierci kamienowana przez część mediów i opinię publiczną. Jej wyrazicielem był pewien właściciel londyńskiego pubu, którego w kilka miesięcy po jej śmierci zapytałem, czy może dołożył kwiat do ogromnej sterty, uprzążanej i odradzającej się codziennie przed bramą pałacu Kensington. – *What!?* – Wrzasnął tamten oburzony. – *Flowers for the Arab slut? Never!*⁽¹⁾

Księżna Daisy, została za życia upokorzona przez męża i nazistów, a po śmierci, jak głosi jedna z wersji jej losów, jej zwłoki zostały zbezczeszczone przez sowieckich żołnierzy. Co prawda wydarzenie to miało miejsce nie w Pszczynie, a w Książu, natomiast tu, w pięknym parku miały miejsce także czyny niepiękne, o czym słyszałem od naocznych świadków, gdy zapłonęły ogniska, w których znikwały cenne pozycje z księżęcej biblioteki.

Księżna niewątpliwie była pod wrażeniem Jana Henryka XV von Hochberg. Sportowiec, myśliwy, zaprzyjaźniony z cesarzem Wilhelmem, nieprzyswoicie bogaty – to się w jej świecie jednak liczyło. Natomiast czy była w nim zakochana? Wielu jej biografów w to wątpi. Dla niej i dla jej rodziny nie najlepiej stojącej finansowo, dla której powoli jedynym kapitałem stawał się tytuł i nazwisko, była to wielka wygrana na loterii. Była wedle dzisiejszych standardów celebrytką – ozdobą łamów „Illustrated London News” i innych tego rodzaju magazynów. Po przybyciu do posiadłości męża starała się jednak wypełniać obowiązki żony i księżnej – tak brytyjskie arystokratki były wychowywane. Jeśli ktoś doszukiwałby się u niej brytyjskiej sztywności, to szybko musiałby stwierdzić, że w porównaniu z tym, co panowało w niemieckim beau monde, Daisy była wulkanem serdeczności. Za co zresztą była nieustannie krytykowana przez środowisko i besztana przez męża. W Pszczynie pamięć o niej jest bardzo żywa, o czym może świadczyć jej ławeczka w rynku przed pałacem. Kim była dla swoich współczesnych, kobiet na Śląsku? Ja widzę to tak: „Anna była mieszkanką Królewskiej Huty, znanej w tamtych czasach raczej jako Königshütte. Wiodła swoje użyteczne i pracowite życie w oficynie eleganckiej kamienicy przy jednej z głównych ulic. Nie była jednak osobą, która dałaby się tak łatwo wtłoczyć w schematy życia w oficynie. Była gruntownie wykształcona, znała języki... Mówiła piękną niemiecką, czytała francuskie poezje w oryginale, a także swobodnie wypowiadałaby się, gdyby miała do kogo, w języku angielskim. Kiedyś widziała księżnę Daisy von Pless przejeżdżającą jedną z katowickich ulic odkrytym pociągiem, ale trwało to zbyt krótko i stała zbyt daleko, żeby choć pozdrowić wielką damę okrzykiem *Hello, how are*

you? Nie usłyszałyby. Powiedziała więc w duchu, wyobrażając sobie, że jest gościem w damskim saloniku siedziby von Plessów i że odstawia filiżankę z herbatą zaledwie umoczywszy w niej usta: *Oh, dear. You look gorgeous. It's so nice to be here, indeed.*”⁽²⁾

Czy to mogłoby się wydarzyć? Raczej nie. To tylko marzenia wyemancypowanej, jak na tamte czasy, dziewczyny. Ale żeby marzyć, trzeba mieć o czym. Daisy wyjątkowo nadawała się na obiekt takich marzeń, jak widzimy, nie tylko w swojej epoce. Arystokratka, z którą można się zaprzyjaźnić. Dziś jest do pewnego stopnia możliwe, choć nie jest to wynikiem ani demokratyzacji życia w naszym kraju, ani procesu deklasacji międzynarodowej arystokracji. Tę możliwość stwarzają liczne akcenty związane z księżną, na jakie natrafiamy w ekspozycji muzealnej pszczyńskiego Zamku.

Gdyby wstać z ławeczki, podziękowawszy księżnej za towarzystwo (choć etykieta wymagała, by ona pierwsza to uczyniła; jednak w sytuacji gdy jest tylko odlewem, musimy naruszyć te zasady) i wejść w uliczkę obok ratusza, to niebawem znaleźlibyśmy się przed skromnie wyglądającym domem. Człowiek, który go w XVIII wieku zamieszkiwał także był skromny i pracowity. Miał możnych protektorów, bo w jego czasach bez tego ani rusz (a w jakich można było się bez tego obejść?). Pozostawił po sobie ogromny dorobek i wdzięczną pamięć mieszkańców miasta.

Pod batutą mistrza

Rodzinie nie podobało się, że chciał zostać muzykiem. Jego ojciec, niekoniecznie z chęci pozbawienia Pszczy-



Piano de table z pocz. XIX w., wykonane w pracowni A. Jeremiasa w Bautzen (Budżiszyn) w Niemczech w Izbie u Telemanna.

ny możliwości goszczenia tak wybitnej postaci muzycznego baroku, posłał go do szkoły, w której nie kształcono muzyków, a matka zabrała mu wszystkie instrumenty, na jakich grywał. Pewnie się biedaczka solidnie namęczyła, bo prawdziwy był z niego multiinstrumentalista – flety, szalამaje, obój, puzon, organy, klawesyn, skrzypce, wiola da gamba, kontrabas, to tylko niektóre z nich. Podobnie jak jego wielki kolega, J.S. Bach, bywał kantorem i organistą w kościołach, a także kapelmistrzem na dworach i w pałacach. W latach 1704- 1709 był kapelmistrzem na dworze Promnitzów w Żarach, a w sezonie letnim był w Pszczynie.

Muzyka barokowa współgra z aurą pszczyńskiego rynku i jego okolic. Sam rynek, choć uroczy, jest mocno eklektyczny pod względem architektury. Natomiast w otoczeniu pałacu, który trochę przypomina francuskie budowle pałacowe z XVIII w. (może za sprawą mansard), a trochę kojarzy mi się georgińska Anglia, pojawiają się akcenty barokowe, choćby w architekturze obu kościołów czy przylegających budynków. No i park. Nie trudno wyobrazić sobie mistrza dyrygującego wykonaniem któregoś ze swych dzieł w Sali Lustrzanej czy w słoneczne, ciepłe popołudnie na pałacowym tarasie, ze śpiewem ptaków w tle. Dziś koncerty związane z twórczością i osobą mistrza odbywają się w domu, w którym pomieszkiwał. Pamiętam pierwszy z tych koncertów, którego zdarzyło mi się wysłuchać, znanych pod nazwą „Wieczory u Telemanna”, jeszcze pod koniec lat siedemdziesiątych. Jesienne popołudnie, w parku nitki babiego lata, a w wypełnionej po brzegi Izbie grupa szczęśliwców (o bilety nie było łatwo) słuchająca wokalnych popisów przedwcześnie zmarłej Urszuli Mitreği i organisty, Zygmunta Antonika.

Koncerty w Sali Lustrzanej to osobny rozdział życia muzycznego Zamku w Pszczynie. Ich początki sięgają 1946 roku. Cykle koncertów „Poranki muzyczne na Zamku w Pszczynie” czy „Muzyka o zmroku na Zamku w Pszczynie” cieszyły się ogromną popularnością, a wśród wykonawców znalazły się wybitne zespoły i znakomici soliści. Dość powiedzieć, iż światowej sławy pianista Światosław Richter występował na Zamku trzykrotnie. Dzięki tym imprezom życie muzyczne na Śląsku zyskuje interesujący akcent, Zamek odżywa, a samo miasto staje się także bardziej atrakcyjnym dla odwiedzających.

Pamiętki sztuki drukarskiej

Ale książęca siedziba czy atrakcyjne koncerty to nie wszystko, co Pszczyna ma do zaoferowania swoim gościom. Nie zapominajmy, iż to miasto było kiedyś, podobnie jak Mi-



W pomieszczeniu zeczerni.

kołów, prężnym ośrodkiem drukarstwa i piśmiennictwa polskiego. Dziś najprawdopodobniej pozostałoby z tamtych czasów niewiele, poza wzmiankami w naukowych publikacjach, gdyby nie pasja dwojga ludzi. Pasja, która doprowadziła do powstania Muzeum Prasy Śląskiej. Muzeum powstało z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, ale jego twórcami są Aleksander Spyra i jego żona Krystyna. Patronem muzeum jest Wojciech Korfanty, jedna z najwybitniejszych postaci w dziejach Śląska – patriota, przywódca polityczny, a także inicjator powstania i redaktor kilku gazet istotnych dla krzewienia i wspierania polskiego ducha na tym terenie. Zbiory Muzeum są trojakiemu rodzaju: po pierwsze imponująca kolekcja publikacji, głównie prasowych, związanych z walką o polskość Śląska, w tym z okresu plebiscytu i powstań śląskich; znajduje się tu także interesująca ekspozycja maszyn i urządzeń drukarskich oraz introligatorskich, ukazująca dzieje i rozwój tej sztuki w naszym regionie; a trzecią, odrębną część ekspozycji stanowi kolekcja dawnych instrumentów muzycznych, takich jak np. siedemnastowieczny pozytyw, zrekonstruowany pod okiem wybitnego specjalisty, prof. Juliana Gembalskiego i przez niego opisany. W „Izbie u Telemanna” możemy także podziwiać pięknie odrestaurowane zabytkowe instrumenty strunowe i dęte. Rzec jednak nie tylko w podziwianiu, albowiem „Izba”, podobnie jak inne działy Muzeum, to ekspozycje żywe. W Izbie organizowane są koncerty i warsztaty muzyczne, natomiast w części prasowej odbywają się warsztaty dziennikarskie i introligatorskie. Muzeum uczestniczyło także w Industriadzie 2015, czyli w cyklu imprez będącym swego rodzaju świętem celebrowanym na Szlaku Zabytków Techniki. Tu podają sobie ręce myśl techniczna i humanistyczna,

a takie współbrzmienie wciąż nie dla wszystkich jest oczywiste.

Pamiętam początki Muzeum, które w tym roku obchodzi trzydzieste urodziny. Było skromnie, ale ambitnie i konsekwentnie. No i rezultaty są godne podziwu. Mamy dziś placówkę ważną nie tylko dla miasta, w którym jest oczywiście atrakcją. Mamy nie tylko ekspozycję ważną dla historii myśli technicznej na Śląsku, ale miejsce zajmujące istotną pozycję w życiu kulturalnym regionu. Gratulacje.

Kim pan jest, mości książę?

Do tej pory jakoś omijaliśmy sam Zamek i jego dawnych mieszkańców, poza księżną Daisy. Interesujący to był ród, Hochbergowie. Nie zawsze budzący sympatię. Rzec inna, że chętniej sięgamy po wiedzę o nich do fikcji literackiej czy filmowej, a poza tym przez dziesięciolecia arystokracja krajowa i międzynarodowa, a szczególnie niemiecka, nie miała u nas dobrej prasy. Niech historycy zasądzą, do jakiego stopnia słusznie. Mnie zainteresowało wydarzenie, które choć dotyczy Hochbergów, miało miejsce nie w Pszczynie, a w Katowicach, latem 1939 roku. Rozegrało się w konsulacie brytyjskim, a jego świadkiem była dziennikarka brytyjska Clare Hollingworth. Pewnego dnia pojawił się tam nie kto inny, tylko jak pisze dziennikarka w swoich wspomnieniach „Jan Henryk (książę Hochberg), syn słynnej piękności, Daisy księżnej von Pless, próbując uzyskać brytyjską wizę... Thwaites powiedział mu, iż wizy Polakom mogą być wydawane tylko na podstawie specjalnego polecenia Foreign Office w Londynie. Jan Henryk pomarudził trochę, a potem powiedział: Jaka szkoda. Przecież urodziłem się w Londynie przy Berkeley Square, a Ich Królewskie Moście to moi rodzice

chrześni. No cóż, powiedział Thwaites, nie mogę dać panu wizy, ale jeśli dostarczy pan świadectwo urodzenia, dam panu brytyjski paszport. Zorganizowałam przesłanie świadectwa do Katowic i książkę otrzymałam paszport. Kiedy Polska znalazła się pod okupacją niemiecką, Jan Henryk zamieszkał w Paryżu, w, jak to określał, nieco skromnych warunkach, ale udało mu się przedostać do Londynu po klęsce Francji i wstąpił do polskiego wojska w Szkocji.”⁽³⁾ Dziennikarka, niestety, pomieszała tu losy dwóch postaci. Starszego Aleksandra (Lexela) i Jana Henryka. W wojsku polskim służył Lexel, natomiast Jan Henryk, owszem, wyjechał prze wybuchem wojny do Wielkiej Brytanii, ale został tam internowany, a następnie był w służbach pomocniczych brytyjskiej armii. Lexel, znany jako Aleksander Pszczyński był podporucznikiem wojska polskiego i brał udział w wielu ważnych wydarzeniach – był przez pewien czas członkiem ochrony gen. Władysława Sikorskiego i walczył pod Monte Cassino.

Aktualny książę, Bolko VI mieszka w Monachium. Miałem okazję poznać go przed z górą dwudziestu laty podczas jednej z jego pierwszych wizyt w Pszczynie. Nagrywałem z nim rozmowę dla radia. Z uwagi na plotki dotyczące podjęcia starań o odzyskanie dóbr pszczyńskich⁽⁴⁾ zapytałem go o jego plany. Spojrzał na mnie zdziwiony: – Pan ma pojęcie, ile kosztuje utrzymanie czegoś takiego? Jestem tylko skromnym przedsiębiorcą. Poza tym wielu przyjaciół odsunęłoby się ode mnie. Czuliiby się oneśmieleni. – Zarówno książę, jak i wyznaczony przez niego spadkobierca tytułu książęcego, Peter von Hochberg wspomagają rozwój miasta, jak i działalność Muzeum na wiele sposobów.

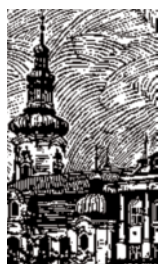
Na koniec można zastanowić się nad pochodzeniem nazwy miasta. Urzekająca jest koncepcja, jakoby za tą nazwą – jej pradawne brzmienie najprawdopodobniej „Plszczina” – miał stać niejaki Pleszko. Jednak bardziej przekonuje mnie teoria o miejscu bagijnym, podmokłym – źródłosłowem byłoby tu słowiańskie „pleso”. Ta hipoteza może mieć ręce i nogi. Wystarczy się trochę rozejrzeć. A jak jest naprawdę? Może prof. Miodek coś wie.

⁽¹⁾ „Co!? Kwiaty dla arabskiej dziwki? Nigdy!”

⁽²⁾ Fragment mojej niepublikowanej powieści „Metapolis”.

⁽³⁾ Clare Hollingworth „Front Line (Jonathan Cape, London), Tłum. W. Turant

⁽⁴⁾ W rzeczywistości to jego stryj Lexel podejmował starania o odzyskanie dóbr bądź ekwiwalentu. Sprawa upadła wraz z jego śmiercią w 1984 roku.



Skarby Muzeum Prasy Śląskiej

DARIUSZ ROTT

Trzydzieści lat temu, 5 lipca 1985 roku w Pszczynie, nieopodal rynku, przy ulicy Piastowskiej 44 otwarto ekspozycję Muzeum Prasy Śląskiej im. Wojciecha Korfantego. Zgodę na patronat wyraziły córki Wojciecha Korfantego – Halżka Kozłowska i Maria Ulmann mieszkające w Stanach Zjednoczonych, podczas swojego pobytu w Pszczynie w 1989 roku. Uroczystego nadania imienia dokonano 7 września 1990 roku. Z tej okazji na ścianie kamienicy będącej siedzibą muzeum odsłonięto tablicę pamiątkową z brązu ku czci Korfantego.

Założycielami muzeum byli działacze Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej. Trzeba jednak pamiętać, że od trzydziestu lat (słusznie) kojarzone jest ono z postacią Aleksandra Spyry, pszczyńskiego człowieka renesansu. Opiekę merytoryczną nad placówką u jej początków sprawował Uniwersytet Śląski w Katowicach i dr Józef Mądry, ówczesny kierownik Zakładu Dziennikarstwa UŚ. Była to i jest nadal jedyna w kraju stała ekspozycja dokumentująca początki i rozwój prasy regionu. Tworząc ekspozycję ukazującą dzieje drukarstwa śląskiego wzorowano się na Oficynie Roberta Jahody w Krakowie. Scenariusz ekspozycji opracował Józef Mądry według

projektu plastycznego Aleksandra Spyry. Rok otwarcia placówki muzealnej nie był przypadkowy. W Pszczynie obchodzono wówczas kilka ważnych rocznic: 180 lat wcześniej w 1805 roku Carl Benjamin Feistel, przybyły z Nysy, założył w Pszczynie pierwszą drukarnię i otrzymał tytuł „drukarza książęcego”; w tym samym 1805 roku Carl Benjamin Feistel wydał pierwszą pszczyńską gazetę „Der Beobachter an der Weichsel”; w 1845 roku ukazało się pierwsze polskie czasopismo na Śląsku. Był to wydawany w Pszczynie przez jej ówczesnego burmistrza Christiana Schemmla „Tygodnik Polski poświęcony włościanom”, który znajduje się dzisiaj w zbiorach placówki

muzealnej; w 1935 roku w Pszczynie wydawano czasopismo młodzieżowe „Głos Młodych”. Jego wydawcą była młodzież pszczyńskich szkół średnich, a redaktorem Wilhelm Wolny; w 1935 roku z Cieszyna do Pszczyny przeniesiono znane czasopismo kulturalno-historyczne „Zaranie Śląskie”.

Zadaniem pszczyńskiego muzeum było i jest „gromadzenie, dokumentacja, konserwacja, przechowywanie i udostępnianie zwiedzającym zabytków prasowych, drukarskich, introligatorskich oraz materiałów archiwalnych o szczególnej wartości, które dowodzą wielkich i oryginalnych wartości Śląska w tych dziedzinach kultury”. Ważnym celem placówki jest tak-

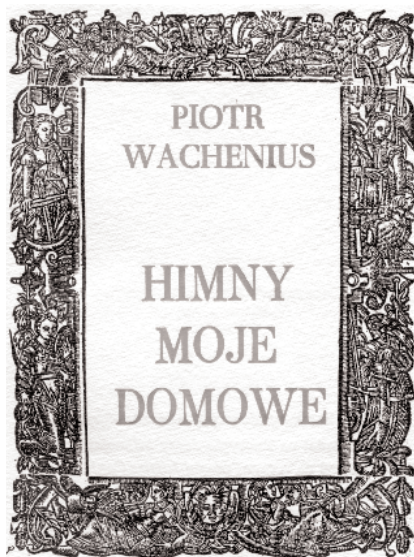
cą jest Towarzystwo Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, a które stało się niezwykle ważnym i niezależnym forum spraw i problemów kulturalnych regionu.

Wśród licznych wydawnictw oficyny wymienię, wydawaną w latach 2005 – 2013 unikatową serię Perły słowa polskiego na Ziemi Pszczyńskiej, w której opublikowano na przykład *Instrukcje rajców miejskich Pszczyzny z XVII wieku* czy poprzedzone wstępem prof. Jana Miodka *Kazanie przeciw pijaństwu pszczyńskiego pastora Zygmunta Bartelemusa*, *Kazanie na poświęcenie kościoła w Studzionce* wygłoszone przez księdza Antoniego Szyzkowitza.

Na szczególną uwagę zasługuje przypominanie życia i twórczych dokonań Jana Kupca, pochodzącego z Łąki poety i działacza oświatowego. Udało się opublikować jego poemat *Śejmik w Jasach*, pierwotnie drukowany w 1904 roku w „Górnoślazaku” Wojciecha Korfantego, a wcześniej w 2009 r. – w setną rocznicę śmierci poety *Historię baranów*, w opracowaniu Katarzyny Bizackiej, z dołączoną płytą CD, zawierającą kompletny tekst poematu i wszystkie jego warianty (za podstawę edycji przyjęto rękopisy Kupca przechowywane w Muzeum Prasy Śląskiej oraz w Bibliotece Śląskiej w Katowicach). Te dwie publikacje zostały jeszcze niedawno uzupełnione o tomik *Jan Kupiec jako folklorysta*.

I jeszcze jedna postać – przypomniana z niebytu, a której pamięć od kilkunastu lat jest żywa w Pszczynie. To Piotr Wachenius. Wiedza o jego życiu pozostaje szczątkowa. Nie dysponujemy bowiem żadnymi bezpośrednimi źródłami odnoszącymi się do biografii twórcy. Pozostają jedynie lakoniczne informacje pojawiające się w jego utworach oraz rękopiśmienne wzmianki odnoszące się doń u innych autorów. Dzięki nim wiemy, że w środowisku górnośląskiego protestantyzmu pojawił się on na progu drugiego dziesięciolecia XVII w. oraz, że pełniąc równocześnie obowiązki cesarskiego poborcy cła i podatku piwnego w Pszczynie oraz, że około roku 1612 był cesarskim poborcą („wybiercą” – jak sam stwierdzał) cła i podatku piwnego (*bieregeld*) w wolnym państwie pszczyńskim. Wspomina o tym w zakończeniu jednego ze swych utworów. Pobierał on cło należące do tak zwanych regaliów (*iura regalia*) oraz podatek od obywateli, którzy warzyli i sprzedawali piwo. Przywołując swą profesję, pisał „ja na ten czas niniejszy, dla urzędu mego, któremu też od siebie dosyć czynić jestem powinien”.

Teksty Wacheniusa – w tym opublikowane po kilku wiekach od pierwodruków w pszczyńskiej oficynie *Hymny moje domowe*, utwór napisany prawdopodobnie w Pszczynie (w opracowaniu Zbigniewa Kadłubka i Dariusza Rotta) oraz *Summa*



Muzeum Prasy Śląskiej specjalizuje się w bibliofilskich wydaniach dzieł.

(w opracowaniu Mariusza Pawelca) – reprezentują niezwykle interesujący przykład protestanckiego piśmiennictwa śląskiego. Pełniły one wszechstronną rolę, będąc jednocześnie elementarzem, katechizmem z wyjaśnieniami prawd wiary, modlitewnikiem, śpiewnikiem oraz traktatem polemicznym.

13 czerwca 2008 r. na ścianie kamienicy nr 9 przy pszczyńskim rynku, w której mieścił się urząd podatkowy, odsłonięto tablicę pamiątkową dla uczczenia Piotra Wacheniusa.

Meble z „Polonii” Korfantego i prasa Gutenberga

Wróćmy jednak do muzealnej ekspozycji, która znajduje się na parterze oraz na poddaszu obiektu. Auto-

rem pierwszego scenariusza stałej ekspozycji muzeum był dr Józef Mądry, ówczesny kierownik Zakładu Dziennikarstwa UŚ, od kilku lat trwa udane unowocześnianie koncepcji wystawienniczej. Zwiedzanie placówki trwa minimum jedną godzinę.

Przed wejściem do muzeum umieszczono dziewiętnastowieczną prasę drukarską, tzw. druciarkę. W sieni na ścianie znajduje się krata barokowa z kaplicy parkowej, a także zabytkowe tablice nagrobne Johanna Gottsmanna, założyciela fundacji dla biednych panien.

Na parterze prezentowane są także pamiątki po Wojciechu Korfantym (meble, pochodzące z jego drukarni „Polonia” w Katowicach), które tworzą salonik Korfantego oraz ekspozycja biograficzna poświęcona historykowi i regionaliście Ludwikowi Musiołowi, zwanego „śląskim Długoszem”, który był m.in. autorem monografii miejscowości ziemi pszczyńskiej i samej Pszczyny. Na podkreślenie zasługuje także kąciak dla najmłodszych, który pozwala ich rodzicom na spokojne zwiedzanie ekspozycji.

Na parterze także obok kilku starodruków zaprezentowano zbiór polskich kancjonałów i modlitewników śląskich, pierwsze śląskie gazety na tle najstarszych polskich czasopism oraz gazet wielkopolskich, które miały duży wpływ na rozwój czasopiśmiennictwa na Śląsku. Wśród eksponowanych czasopism znajdują się m.in.: „Katolik” Karola Miarki, „Gwiazdka Cieszyńska” Pawła Stalmacha, „Gazeta Opolska” Bronisława Koraszewskiego. Zaprezentowano także sylwetki najważniejszych twórców i autorów śląskich czasopism.

Oficyna drukarska z kasztami i linotypami

Pieczęlowicie odtworzono tutaj również małą drukarnię, w której zgromadzono kaszty z czcionkami, różne typy klisz ilustracyjnych, zamki klinujące, gliniane butelki na terpentynę i inne rozpuszczalniki, materiały do wypełniania form typograficznych.

Na poddaszu znajduje się sala poświęcona rozwojowi śląskiej prasy w okresie międzywojennym. Wśród eksponatów znajdują się m.in. gazety z okresu powstań śląskich i plebiscytu, prasa robotnicza, katolicka, chrześcijańsko-demokratyczna, czasopisma dla dzieci i młodzieży, prasa satyryczna, lokalna, branżowa i urzędowa, a także wybrane czasopisma z części Śląska będącej wówczas w granicach państwa niemieckiego. Niezwykle cen-



Czcionki do ręcznego składu zecerskiego.

ne są gazetki wydawane konspiracyjnie w okresie drugiej wojny światowej, a ciekawostką jest drukowana w polowej drukarni Armii Czerwonej gazетка z meldunkiem o zdobyciu przez Rosjan Opola i Wrocławia. Umieszczono tutaj także dwie mapy ukazujące najważniejsze ośrodki drukarstwa i redakcje czasopism na Śląsku. Ekspozycji na poddaszu towarzyszą także urządzenia introligatorskie (np. nożyce do cięcia papieru) i pomocnicze, m.in. duża kamera poligraficzna do reprodukcji.

Ekspozycja na piętrze została wykonana w formie przeszklonych gablot podświetlonych, w formie przeszklonych plansz oraz dwóch świetlnych map, obrazujących ośrodki drukarstwa i prasy na Śląsku w układzie terytorialno-chronologicznym. Ekspozycję tę uzupełnia drewniana urna wyborcza z plebiscytu w 1921 roku pochodząca ze wsi Brzeźce koło Pszczyny, swoisty symbol odrodzenia narodowego na Górnym Śląsku. Jako ciekawostkę należy dodać, że z zachowanego protokołu wyborczego wynika, iż „za Polską” oddano 320 głosów, a „za Niemcami” 25.

W muzeum eksponowane są ponadto dwie typograficzne maszyny arkuszowe z początku XX wieku, linotypy, odlewarki do tytułów i linii, a także powielacz z lat trzydziestych ubiegłego stulecia. Ciekawostką z zakresu dziejów typografii jest miniaturowy model prasy drukarskiej Gutenberga w skali 1:10, przekazanej w 1992 roku przez Rajmunda Schwietza, właściciela drukarni w Solinger (Niemcy).

Na początku 2006 roku muzeum wzbogaciło się o sześć unikatowych maszyn drukarskich i urządzeń pomocniczych z warsztatu Antoniego Kudelko (1911-1975), mistrza introligatorskiego z Bielska-Białej. Są to: prasa do klejenia okładek, prasa z gilotyną, gilotyna drukarska, zszywarka do zszywania książek i poszczególnych składek, rogówka do zaokrąglania brzegów oraz bi-gówka do zaginania stron.

Wirtualny spacer po muzeum

W maju 2009 r. wzbogacono bazę placówki o nowoczesny multimedialny system prezentacji, który umożliwia obejrzenie filmu o dziejach drukarstwa, muzeum i wybranych eksponatach. Działa także strona muzeum: <http://www.muzeumprasy.pl/>, na której można między innymi odbyć wirtualny spacer po salach ekspozycyjnych.

Ekspozycje muzealne udało się pozyskać drogą zakupu (m. in. na aukcjach) i darów od osób prywatnych i instytucji (np. Biblioteka Śląska w Katowicach przekazała do zbiorów dublety czasopism).



Fot. Arch. MPS

Halzka Kozłowska i Maria Ulmann – córki Wojciecha Korfantego mieszkające w Stanach Zjednoczonych podczas pobytu w Muzeum Prasy Śląskiej, 1990.

W budynku muzeum znajduje się również biblioteka muzealna, której zbiory obejmują zwłaszcza specjalistyczne publikacje z zakresu drukarstwa, prasoznawstwa, bibliotekoznawstwa oraz kultury i sztuki Górnego Śląska, ze szczególnym uwzględnieniem ziemi pszczyńskiej. Łącznie zgromadzono tutaj ponad 2500 pozycji, które zostały udokumentowane w elektronicznym katalogu. Na parterze można także zwiedzić małą, zabytkową oficynę typograficzną, gdzie można obejrzeć kompletne wyposażenie dawnej drukarni oraz jej druki wykonywane m.in. na czerpanych papierach, w tym dyplom doktora honoris causa Uniwersytetu Śląskiego przyznany Tadeuszowi Różewiczowi, który był tłoczony w pszczyńskiej oficynie drukarskiej.

Na piętrze budynku we wrześniu 1997 roku otwarto „Izbę u Telemanna”. W tej kameralnej sali co-

rocznie odbywa się od 1997 roku impreza artystyczna – Dialogi Poezji i Muzyki – Plesną Civitas.

Muzeum Prasy Śląskiej im. Wojciecha Korfantego zostało umieszczone wśród unikatowych obiektów na Szlaku Zabytków Techniki Województwa Śląskiego, a w styczniu 2010 r. włączone do Europejskiego Szlaku Dziedzictwa Przemysłowego (ERIH), dzięki czemu dołączyło do grona najbardziej elitarnych europejskich muzeów przemysłowych. Warto zapoznać się z jego zbiorami.

Autor odbył staż w Artystycznej Oficynie Drukarskiej w Pszczynie finansowany w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego. Jest członkiem Rady Programowej Muzeum.



Żubry w Pokazowej Zagrodzie Żubrów w Pszczynie

Tu niepodzielnie rządzi Plawiant, 17-letni byk. Dostojny, potężny, dobija wagą do jednej tony. Placka ma 7 lat. Plista II jest roczna. Miesięczne ciele nie ma jeszcze imienia. Z linii pszczyńskiej wywodzą się dwa dorastające byki: 4-letni Plesner i 3-letni Plisar. Stado uzupełnia Porcja II, krowa z linii białowieskiej. Lokatorzy Pokazowej Zagrody Żubrów w Pszczynie.



Pokaż swoją siłę, żubrzo

WIESŁAW
KOSTERSKI

To piękne, szlachetne zwierzęta, emanujące spokojem i powagą. Tak stworzyły je prawa natury. Ale młodość ma też swoje prawa. Nie dziwi więc, że największy kłopot sprawiają tu młode żubry. Rozpiera je energia, rozrabiają, próbują rywalizować z dominatorem.

Plawiant, bodaj najstarszy byk w Polsce, radzi sobie z nimi bez większego trudu. Ma wprawdzie bardzo spokojne usposobienie, lecz kiedy trzeba, pokazuje siłę swojej władzy. Młode są niebezpieczne

zwłaszcza w okresie rui. Wtedy dochodzi do walki. Ślady widać przez lata.

Hierarchiczny porządek nie został w zagrodzie zburzony. Plesner i Plisar nie dorastają jeszcze do przywódcy stada. Byki są za młode, nie wyszły z roli chłysta, kibica. Do reprodukcji dojrzeją w wieku 6, 7 lat. Wtedy staną się prawdziwymi konkurentami i – co zdarza się rzecz jasna w naturze – jak przywódca się zagaipi, dorwą się do krowy i dojdzie do rozrodu.

W zagrodzie i nieodległych Jankowicach, dokąd na 750-hektarowy teren przeniesiono podstawowe stado, żyje około 50 sztuk, w tym 20 z linii pszczyńskiej. Na świecie będzie ich około setki. Część przyszyła na świat w polskich i zagranicznych hodowlach, część dotarła tam ze Śląska.

Niedawno do zagrody w Sycowicach koło Zielonej Góry poszedł Plarip. Dostał trzy krowy. W zeszłym roku nie było jeszcze po nim młodych. Może będą teraz. Jak się urodzą, dostaną imiona, kolejne numery i zostaną wpisane do Księgi Rodowodowej Żubra. Tak rejestrowane jest każde ciele na świecie. W ostatnich latach przybywa w księdze około 200 numerów rocznie. Tyle młodych żubrów powiększa globalną populację tych zwierząt.

– Co jest najtrudniejsze w hodowli? – powtarza moje pytanie Grzegorz Czembor, dyrektor pszczyńskiej PZZ, leśnik z wykształcenia, myśliwy z zamiłowania. – Transport żubrów.

Ich fizjonomia nie pozwala na uspienie i przewożenie w stanie uspienia, bo może dojść do zadławienia treścią wydośćającą się z żołądka. Rozwiązanie jest inne, proste, skuteczne, wymagające jednak czasu i cierpliwości. Zwierzę trzeba bowiem nauczyć wchodzenia do skrzyni, zwabić tam smakołykiem – żołądziami albo burakami. W dużych hodowlach są specjalne odłownie, zwięzające się rękawy. W pszczyńskiej zagrodzie, ze względu na nieliczne stado, tego nie ma.

Plaripa łapano 2 tygodnie. Odizolowany od stada stał się nieufny, podejrzliwy, obserwował ludzi, czuł, że coś się święci i za cholerę nie chciał wejść do klatki. A należało go złapać i poddać badaniu weterynaryjnemu, bo żubry atakuje teraz gruźlica. Dopiero jak znalazł się w skrzyni załatwiono transport. Wcześniej kilka ra-

zy umawiano się z kierowcą ciężarówki. W końcu się udało.

Żubr, imperator puszczy, jak zwykle się mawiać eufemistycznie o tym wyjątkowym zwierzęciu, największy żyjący ssak Europy, stał się wizytówką, niemal symbolem Pszczyny. Częścią miasta. Historią samą w sobie, liczącą równo 150 lat. Jej początek jest nietypowy i przyniósł absolutnie nietypowe zdarzenia.

Kiedy bowiem w 1865 roku książę Jan Henryk XI von Pless, właściciel dóbr pszczyńskich i zamiłowany myśliwy, kupował od rosyjskiego cara Aleksandra II cztery żubry z hodowli w Białowieży, płacąc za nie dwudziestoma jeleniami złowionymi w pszczyńskich lasach, nie mógł przypuszczać, jak wielkie znaczenie dla utrzymania populacji żubrów mieć będzie w przyszłości dokonana transakcja. Że przyczyni się ona nieomal do uratowania gatunku.

Wówczas żubry żyły jedynie w dwóch miejscach na świecie: w Białowieży i na Kaukazie. Car miał do nich słabość. Hodowlę w Puszczy Białowiejskiej kazał objąć specjalną ochroną. Polowania były więc pod ścisłym nadzorem, a za nielegalne zabicie żubra groziły drakońskie kary, z karą śmierci włącznie.

Książę sprowadził do Pszczyny byka i trzy krowy, żubry czystej krwi wywodzące się w prostej linii z hodowli białowiejskiej, które trafiły na teren tzw. górnych lasów, położonych na obszarze dawnego nadleśnictwa Murcki. W 1891 lub 1892 roku zwierzęta przeniesiono bliżej miasta, do tzw. lasów dolnych, gdzie zajmowały większą powierzchnię, bo ponad 15 tys. hektarów. Żyły w stanie półwolnym – dokarmiane zimą, latem wypuszczane na wolność.

W Europie wysoko ceniono łowiectwo książąt pszczyńskich. Tereny łowieckie Hochbergów obejmowały ponad 62 tys. hektarów, sięgając od Goczałkowic po Katowice. Polowano głównie na jelenie i daniele. Zjeżdżali arystokraci, dostojnicy państwowi, politycy. Wielką atrakcją stały się oczywiście żubry. Prawo odstrzału mieli wyjątkowi goście, wśród których był m.in. cesarz Wilhelm II.

Kwitła przy tym hodowla, bo książę wziął się za nią ze skrupulatną starannością. Lasy ogrodzono, personel służby łowieckiej zwiększono do 20 osób. W 1914 roku stado liczyło 56 sztuk, by w 1918 roku, po zakończeniu I wojny światowej, zwiększyć liczebność do 74 sztuk. Nigdy później pszczyński ośrodek hodowli nie był tak liczny.

Cztery lata później zostały tylko trzy żubry. Stada nie przetrzebił jednak tak dramatycznie żaden kataklizm, ani epidemie chorób. Zwierzęta zwyczajnie wyбили kłusownicy, a nawet powstańcy śląscy i oficerowie wojsk francuskich i włoskich, które stacjonowały na Śląsku w czasie rozstrzygnięć plebiscytowych.

W obawie o swój majątek książę Jan Henryk XV, następcę Jana Henryka XI, chciał nawet wraz z innymi dobrami wywieźć żubry do Książa, posiadłości Hochbergów na Dolnym Śląsku, ale Polska Na-

czelna Rada Ludowa nie pozwoliła mu na ten krok twierdząc, że zwierzęta są częścią dziedzictwa śląskiego, należnego Polsce po podziale Górnego Śląska. Tyle że tym dziedzictwem nikt się specjalnie w tym czasie nie zajmował.

W II Rzeczypospolitej przystąpiono do hodowli. Od ocalałej trójki, ściślej pary Planty i Plebejera, odrodziła się linia pszczyńska. Robota przynosiła z wolna efekty – rocznie przybywała jedna, dwie sztuki. W 1930 roku stado żyjące w pszczyńskich lasach liczyło osiem zwierząt.

Kiedy w 1923 roku w Paryżu powstało Towarzystwo Ochrony Żubra, ktoś wpadł na pomysł, żeby rejestrować wszystkie żubry na świecie. Utworzono wtedy Księgę Rodowodową Żubra, pierwszą tego rodzaju ewidencję dla dzikiego gatunku.

Wcześniej swoje okazy dokumentował książę pszczyński. Ich imiona zaczynały się na sylaby Pl, przypuszczalnie od Plesów. Pierwszy pszczyński osobnik zapisany w księdze pochodził z około 1890 roku. Od tego czasu imiona linii pszczyńskiej oznaczone są literami Pl. Tradycja ta przetrwała do dzisiaj. Żubry linii białowiejskiej otrzymują nazwy rozpoczynające się od liter identyfikacyjnych PO.

W czasie okupacji władze hitlerowskie nie notowały przychowku. Niemcy jednak oszczędzali zwierzęta, po wojnie w 1946 roku żyło tutaj 20 sztuk. W 1953 roku spadła

W 1986 roku na plan filmowy do Pszczyny zjechała ekipa „Magnata” Filipa Bajona. Jedną z ról zagrał... żubr z Niepołomic, biegający po dziedzińcu pszczyńskiego zamku. Zwierzę padło, nie przeżywszy najazdu filmowców. Było przestraszone, niespokojne, wszystko mu się w tej jego wielkiej głowie pomieszało. Próbowano je przewozić w stanie uspienia, ale ludzie, których wyznaczono do tego zadania, obchodzili się z żubrem, jak z workiem kartofli, przerzucając go z boku na bok. I doszło do zadławienia. A wystarczyło byka zostawić w spokoju i byłoby po problemie.

G. Czembor mówi, że żubry są łatwe w hodowli. Byłe w korycie dużo pożywienia miały – około 10 kg siana i 10 kg paszy treściwej, podawane cztery razy dziennie. Przestrzeń w zagrodzie zapewnia im 2-hektarowy zalesiony teren z pastwiskiem. Jest cieleńnik dla przychowku i zagroda zapasowa. Ponieważ wiosną żubry zmieniają suknie (starą sierść) z zimowej na letnią, wycierają ją o drewniane elementy ogrodzenia.

Nieco dalej w oddzielnych zagrodach ulokowano jelenie, daniele, muflony i osła, który został tutaj po zeszlórcznej stajence betlejemskiej. Rocznie PZZ zwiedza około 100 tys. osób.

Przed recepcją i drewnianym wejściem grupa dzieci czeka na lekcje przyrody.



Repr. J. Kruczek

Po polowaniu cesarza Wilhelma II u Jana Henryka XV w lasach pszczyńskich w 1909 r.

wyniszczająca kłeska pryszczycy. Choroba rozprzestrzeniła się w całym powiecie. W ciągu kilkunastu dni padło całe stado.

Na szczęście zwierzęta z linii pszczyńskiej znajdowały się w innych hodowlach, bo rozprowadzano je w XIX i XX wieku. Część z nich w celach odbudowy stada trafiła do Białowieży, gdzie do 1919 roku wybito wszystkie żubry. Przez 10 lat nie było tam ani jednej sztuki. (W 1857 roku w Puszczy Białowiejskiej żyła rekordowa liczba 1898 żubrów). I właśnie z Białowieży sprowadzono po raz drugi zwierzęta na Śląsk, by odnowić i utrzymać linię pszczyńską.

– Nasze żubry przyczyniły się do odbudowania populacji w Białowieży, ale tak samo Białowieża uratowała po latach żubry w Pszczynie – mówi G. Czembor. – Dobrze więc, że ośrodki hodowli rozrzucone są po całym kraju.

Od wiosny do wakacji panuje tu wielki ruch, czasami są trzy podwójne grupy, około 200 uczniów dziennie. Te lekcje nazywano tropem żubra. Każde zwierze zostawia przecież swój trop.

– Edukacja to nasz największy sukces – pointuje rozmowę G. Czembor.

Oprócz Pszczyny, Jankowic i Białowieży, gdzie znajduje się także stado żyjące na wolności, żubry hodowane są m.in. w Niepołomicach, Smardzewicach, w Bieszczadach, w rejonie Drawska Pomorskiego, w Puszczy Boreckiej i Puszczy Knyszyńskiej. W Polsce jest ich ponad 1400, na świecie około 5 tys. m.in. w Rosji, na Białorusi, a nawet we Francji i Hiszpanii. Wszystkie obejmuje księga rodowodowa wydawana co roku nakładem Białowiejskiego Parku Narodowego.



Tak odprawiam pogrzeb w Teksasie – a w rzeczywistości na bojszowskim Dworzysku.



Jak zdobywałem Dziki Zachód

GRZEGORZ
SZTOLER

Posturę miałem księdza, więc pan Józef Kłyk, twórca amatorskich produkcji z Bojszów koło Pszczyny zaproponował mi rolę księdza. Był 2006 rok, po dwóch latach realizacji odbyła się premiera filmu „Bracia” o chłopcach z Bojszów, którzy szli do powstania. Miała ona – tradycyjnie – miejsce w Katowicach, bodaj w kinie „Światowid”. W skrócie – grałem duchownego, wykształconego w Polsce, który zachęca bojszowskich Ślązaków do bicia się o wyśnioną przez nich Polskę. Rzecz kończy się dramatycznie, bo podczas przeprawy powstańców przez Wisłę ginie jeden z moich filmowych braci. Scena ataku powstańców na grenzschutz realizowana w nieczynnej cegielni w Starej Wsi kończy się ich pogromem (zgodnie z prawdą). Film jest opowieścią o śląskich marzeniach (wolność), które ulatniają się jak senna mara, gdy nadchodzi brutalna rzeczywistość (giną ludzie – tylko po co? W imię jakiej sprawy?). „Braci” obejrzała z zaciekawieniem moja babka Jadwiga Lazar z rodzinnych Brzeźce koło Pszczyny, która zawsze „rzykałałotobychłostofa-

rorzem”. Nie ostolech, ale przynajmniej na ekranie zobaczyła mnie w roli duchownego – i to moją babkę, pamiętam, niezmiernie wzruszyło. Poczuję się tak, jak bym spełnił jej marzenia. Bo przez dłuższy moment zobaczyła mnie jako księdza. Zadziałała magia kina.

Ponoć zagrałem przyzwoicie. Pamiętam, że nachwalić się mnie nie mógł m.in. znany śląski filmoznawca Jan F. Lewandowski. Siła Kłykowych filmów polegała na autentyczności aktorów. Pan Józef zatrudniał w swych filmach naturuszczyków. Człowiek grał tego, kogo przypominał „z geby” – mówiąc krótko i dosadnie. Bandyty z wiadomych względów zagrać nie mogłem, choć rola odwiecznego anioła też mi się nie uśmiechała.

Kolejnego filmu nie wspominam dobrze. Ruscy weszli do wsi i wezwano mnie do gwałcącego bojszowsiankę soldata. Przyłapałem go na niecznym czynie, ale co z tego, mimo że pogroziłem gniewem Bożym, Rus przejechał mnie pepeszą i na tym skończyła się moja króciutka rolka w filmie „Nie wszystko mi wojna zabrała” (2009), wojennym, tra-

gicznym dramacie, który jednak kończy się jakimś happy endem, bo główny bohater, śląski żołnierz grany przez Józefa Kłyka, ocaleje i odnajdzie miłość swego życia. Tak w skrócie.

Byłem jednak dalej niespełniony (aktorsko). Poza tym miałem dość wojny i dramatów. A takie filmy realizował przez kilka lat bojszowski filmowiec. Tylko wojna i wojna. Zaczęłem się modlić o western. Dużo by gadać przecież od tego pan Józef zaczynał, tym zastąpił (by wspomnieć trylogię „Szlakiem bezprawia”, o przygodach Wawrzyna Złotko spod Pszczyny w Ameryce) i spopularyzował tematykę śląskiej emigracji w Teksasie na długo jeszcze przed panią Marią Pańczyk z Radia Katowice. Był pionierem.

Okazją stał się wyjazd pana Józefa do Stanów właśnie na obchody 150-lecia śląskiej emigracji w Teksasie w 2004 roku. Pierwotnie powstańczy film „Bracia” miał być pozbawiony wątku westernowego. Wizyta w Stanach wszystko zmieniła. Bojszowski filmowiec wymyślił, że jeden brat, ten ze Śląska, miał drugiego (grał go Alojzy Lysko) w Teksa-

sie i pisywali do siebie listy opowiadając, jak to walczą z Niemcami. Bo przy okazji wyszło, że śląscy Teksańczycy rzeczywiście walczyli z niemieckimi sąsiadami, no tak było – o grunty, pieniądze... Polityka też w tym była. Analogicznie jak na pruskim Górnym Śląsku po pierwszej wojnie, śląscy Teksańczycy też czuli się wykorzystywani...

Pamiętam, że to na premierze wojennego filmu „Nie wszystko mi wojna zabrała” (2009) w Bojszowach właśnie padła uroczysta, oficjalna deklaracja pana Józefa, że chce do westernu wrócić. Wywołał nawet na scenę Olę Kubeczko, której babka pochodzi z Włoch, a która zagrała w westernie „Dwaj z Teksasu” (2000). Padła zapowiedź, że będzie jedną z czołowych postaci. Ucieszyłem się, bo moje modły zostały wysłuchane. Też miałem zagrać rolę – a jakżeby inaczej – fararza, który w czasie wojny secesyjnej chroni swe śląskie owieczki przed napadami Indian, czy Ku-Klux-Klanu. Fararza z koltem, bo w Ameryce prawo do noszenia broni jest święte, zwłaszcza w niespokojnych czasach. Zdjęcia ruszyły jesienią 2010 roku. Poniważ brakowało operatora kamery, zaproponowałem, by został nim Sławek Dąbrowski, mój znajomy z Sosnowca, z redakcji „Dziennika Zachodniego”, były informatyk, filozof z wykształcenia, miłośnik filmu. Sławek ofiarnie przez najbliższe dwa lata przyjeżdżał ze sprzętem filmowym do Bojszów razem ze swoją żoną, Asią, dokumentalistką, która również stawała za kamerą. Wspierał ich początkowo Arek Wroniecki z Dąbrowy Górniczej, ale po pół roku kręcenia zapał mu ostygł i zrezygnował. Szkoda. Niemniej jego żona zdążyła zagrać rolę pięknej śląskiej osadniczki z Teksasu. I przez najbliższe dwa lata, każdy wiosenny weekend – letni już nie, bo się ludzie rozjeżdżali na wakacje – a także jesienny [bo najlepszy Teksas wychodzi w październiku] umawialiśmy się na kręcenie poszczególnych scen. Dzwoniłem najpierw do pana Józefa, potem do Sławka, po potwierdzeniu terminu pan Józef obdzwaniał aktorów. Zwoływał ich na niedzielnie popołudnie. Wcześniej przygotowywał dekorację. Jeśli graliśmy w drewnianym domku Czarnynogów na bojszowskim Dworzysku nie było problemu – wystrój z filmu na film był niezmienny, chałupka grała w niemal wszystkich Kłykowych produkcjach ostatniej dekady [a stroje leżały w sąsiedniej izdebce]. Gorzej było, gdy trzeba było wnieść dekorację, jak „u Wiechola”, w Dworku Grof przy drodze na Jedlinę przed nasybem kolejowym. Tam trzeba było zbudować fragment miasteczka westernowego i prowizoryczny kościół. Dokonał tego pan Józef i chyba pomagał mu jedynie aktor Augustyn Rogalski, chłop koło 80., jeden z najwierniejszych aktorów. Żeby zaoszczędzić czasu ubierałem sutannę od razu, w domu, i ruszałem po Sławka do Bierunia. Nie chcąc, by się synek stracił na tych krę-



Reżyser to musi pomyśleć o wszystkim – synku, czy masz nabitą broń?

tych bojszowskich drózkach, umawialiśmy się z tyłu kościoła pw. św. Bartłomieja przy bierunińskim rynku. Pamiętam zdumienie bieruniaków, jak wylewnie witałem się z Asią albo i Sławkiem. Zawsze były jakieś pytające spojrzenia – co ja tu robię, jak nieszpór leci w kościele („Księżo, a wy nie idziecie łodprawić?” – zagadnyła nieroz jakoś oma). A ja cierpliwie czekałem na Sławka. Raz nawet spotkałem zdumione kuzynostwo żony, które przyzwyczajone było do mojego stanu cywilnego, mężowskiego, a nie kapłańskiego – filmowego. Uśmiali się trochę... Za to nie, zapomnę tej chwili, kiedy tak pędziłem przez Bieruń, nagle na skrzyżowaniu pojawia się policyjny radiowóz. I cóż robią owi szlachetni funkcjonariusze? Otóż ustępują mi miejsca, mimo że to

ja byłem na podporządkowanej. Ustępują, kłaniają się. Reflektuję się dlatego – bo widzą moją filmową koloratkę i sutannę. Grzecznie ich błogosławię, bo pewno powinienem dostać mandat – za prędkość. Ale czego nie robi się dla sztuki. Przecież aktorzy czekają, są już ubrani. Rozstawiamy kamery i kręcimy – godzina, dwie z krótkimi przerwami. A potem wszyscy rozjeżdżają się do domów. Zostaje tylko pan Józef i my – ja, Sławek i Asia. Zanim spakujemy kamery, złożymy stroje chwila, dobra chwila upłynie nam na rozmowie o westernie i Teksasie – jego historii i ludziach tam żyjących. Niektóre z tych wypowiedzi pana Józefa utrwałam i wrzucam do internetu. I tak rodzi się wirtualny Saloon Śląskiego Westernu, gdzie zamieszczałem w miarę regular-



Tu jestem indiańskim wodzem. W filmie można – i trzeba – być wszechstronnym. Mimo wszystko w sutannie lepiej się prezentuję...

ne relacje zdjęciowe i filmowe z planu naszego westernu – z planu „Śląskiego szeryfa” – bo taki tytuł miała nosić ta produkcja (i nosi). I tak przez dwa lata. Niektóre z tych materiałów pokazuje telewizja Katowice. Robi się głośno, że w Bojszowach zaś coś kręcą. Zapraszają nas do radia. Piszą coś gazety. A miejscowi... O mało się ponoć w knajpie nie pobili, bo jeden twierdził, że widział na Dworzysku Indian, drugi – że to był tabor cygański. A myśmy kręcili scenę z indiańskiej wioski – najpierw że Ślązaczki zanoszą im jajka i mleko, by ich nie atakowali. A potem – żołnierze Unii pacyfikują wioskę...

Zresztą Sławek, który stał za kamerą, sam zagrał niewielką, ale znaczącą rolę łowcy głów, który szuka zbiegów z armii Południa. Towarzyszą mu ni mniej ni więcej dwie znajome postacie, w chustach na twarzach – to właśnie pan Józef, z tyłu wyższy, kołyszący się nieco – to ja. Ale śląskie dziolchy wyjmują strzelby i nawet bez pomocy farsza przeganiają head hunterów, łowców głów. Tata Sławka z kolei na planie zagrał Meksykanina, i choć galoty były za szerokie, najpiękniej ze wszystkich padł na piach, mówiąc kolokwialnie, po zaciętym pojedynku z szeryfem.

A teraz anegdota. Podczas dwuletniego pobytu na planie filmowych w Bojszowach Sławek, synek rodem z Sosnowca, na tyle liźnął śląskiego, że... sam się nim zaczął posługiwać. I to z powodzeniem, bo w trakcie dyskusji na jednym ze śląskich forów internetowych wzięto go za „swojego” i wyrażono powszechne współczucie, z tego, że „musi borokmyszkać w Sosnowcu”... Do tej pory wspominamy to ze śmiechem.

Zabawnych sytuacji było więcej. Oto dobiegająca 90. Maria Jasińska obserwuje z sąsiedniego placu, jak to przed chałupką u Czarnynogów kręca się filmowcy i aktorzy. Uśmiecha się do nas, macha serdecznie rękami. Pochodzi do płotu i prosi o chwilę rozmowy z księdzem. Nie jestem pewien, czy zająca starszka wie, że jestem tylko filmową personą... Działa magia kina. Bab-

cia, jak ją żartobliwie nazywamy, prosi o zdjęcie. Tylko ze mną i tylko przy pomniku św. Barbary. – Księżo, wy tu mocie ubaw i uciecha przy tym filmie – słyszę. – Jotyżgrałach w tyatrze, przed wojnom...

Ale te 25 dni zdjęciowych szybko przeszło. Ostatni dzień, a właściwie wieczór realizowaliśmy w legendarnym salonie westernowym pana Józefa, który mieści się u niego w piwnicy. Zagrał oczywiście w niejednej produkcji i reportaży telewizyjnym. Dziewczyny wysoko unoszą nogi – bo tańczą, jak prawdziwe damy do towarzystwa – a chłopcy nucają melodię. Sławek kręci z normalnej kamery, ja z mniejszej, bliżej ziemi, żeby te nogi lepiej ująć. – Dobrze wyszło? – pyta Sławek. – Powtórka – od pieram stanowczo. I tak jeszcze z dwa razy. Niech sobie dziolchy poskaczą, a chłopcy popatrzą...

Materiał zdjęciowy trzeba było obrobić. I tu zaczęły się dopiero schody. Bo film montował Sławek w studiu w Sosnowcu, u siebie. Ale żeby cokolwiek zrobić, musiał być z nim reżyser, pan Józef [a ze śląskich Bojszów, a właściwie to z Pszczyny, gdzie mieszka filmowiec do Sosnowca droga daleka]. Trzeba przecież przestawić sceny, poprawić dźwięk. Skrócić coś, wyrzucić inne. Pan Józef był średnio zadowolony z nakręconego materiału. Ale Sławek pokazał się jako dobry montażysta – i coś tam zaczęli razem sztrykować. Spotykali się kilkakrotnie w ciągu miesiąca i nawet się nie zorientowali, jak przeleciało półtora roku. Byłem w temacie na bieżąco, bo i Sławek i pan Józef regularnie spowiadali mi się z postępów w montażu. Czasami wpadałem do nich do studia. Ale starałem się nie przeszkadzać im w tej robocie. Niemniej podpowiedziałem – co się sprawdziło – by zrobić taki wstępniak, z obrazów, które pan Józef malował o tym, jak Ślązacy znaleźli się w Ameryce. Całość dopełniały znakomicie archiwalne fragmenty wcześniejszych filmów. I komentarz pana Józefa, który dopowiadał całość.

Film ma melodię ballady, znalazły się tu dwie piosenki, ma swój rytm. Każ-

da osobna sekwencja westernu kończy się „nieruchomym obrazem”, który zamienia się w archiwalną, czarno-białą fotografię, jakby wyjętą z albumu. Znalazło się fantastyczne zakończenie – dokument z wizyty Teksaszczyków w Bojszowach w 1999 roku. Pamiętam tą chwilę, byłem wtedy młodym i pięknym reporterem lokalnego tygodnika i co więcej – też pojawiając się w tym dokumencie. By sobie schlebic ostatecznie dodam, że gram w westernie aż cztery role: 1. siebie w kilkuminutowym dokumencie, jaki zamieściliśmy w filmie, ale to przez przypadek; 2. Księdza z koltem, o którym już obszerniej mówiłem wyżej; 3. Wodza Indian – ha! Kto mnie pozna? 4. Jednego z żołnierzy południa (ale nie powiem którego). Poza tym udzielałem się jako oświetleniowiec i kamerzysta. Innych swoich ról nie wymienię.

Film miał swą premierę w maju tego roku i został przyjęty owacyjnie. Katowickie środowisko filmowe, które przybyło do „Kosmosu” na pokaz „Śląskiego szeryfa” podkreślało, że film jest znakomitym podsumowaniem westernowej tematyki, którą pan Józef zajmuje się od czterech dekad z hakiem. A jego przyjaciel, publicysta, znawca i piewca Śląska, Alojzy Lysko, podczas bojszowskiej premiery zauważył, że film wygląda na pożegnanie (szczególnie jedna z ostatnich scen, kiedy szeryf po pojedynku z Meksykanami – ranny ale żywy – odchodzi z dal). Czy jest to ostatni western bojszowskiego filmowca? Nie wiem. Zachęcając pana Józefa, wspólnie ze Sławkiem i Asią, liczyliśmy się z tym, że tak może być. Ale tak być nie musi. Wszystkie zależy przecież od głównego dyrygenta, jak orkiestra zacznie grać. A jemu chyba nie przeszło, ostatnio, w rozmowie, wspominał, że można by skrócić drugą część „Śląskiego szeryfa”. I przemontować „Człowieka znikąd”, podobnie jak zrobił to Jerzy Hofman z „Potopem” – film zyskał, stał się dynamiczniejszy...

O, dzwoni pan Józef. – Zrobimy jeszcze lepszy western – słyszę.

O czym jest western „Śląski szeryf”?

Ślązacy w Teksasie, ich codzienność, trudy i dramaty, chwile małe i wielkie – to wszystko widziane oczami szeryfa. Taki właśnie jest ten film. Jest i wojna, i pokój. Jest i wesele, i pogrzeb. Są wreszcie pojedynki... Całość dzieje się w Ameryce 160 lat temu, kiedy po przybyciu grupy śląskich osadników do Teksasu (1854) rozgorzała bratobójcza wojna secesyjna. Ślązacy znów zmuszeni są dokonywać wyborów. Józef Kłyk dzięki magii filmu przenosi nas w te czasy. Na koniec jeszcze jeden cud – do maleńkich Bojszów przyjeżdżają w 1999 roku potomkowie

śląskich emigrantów. Co z tego spotkania wyniknie? Warto się przekonać samemu. Reżyser chętnie uczestniczy we wszelkich spotkaniach i projekcjach jego twórczości.

Filmoteka Józefa Kłyka on-line

Filmy pszczyńskiego filmowca były do niedawna prawie zupełnie niedostępne. Można je było zobaczyć albo na specjalnych pokazach, albo w tzw. „drugim obiegu”, zgrywając od znajomych. Powiat bieruńsko-lędziński wypuścił co prawda kolekcję filmów, ale są one nie do zdobycia. Część z jego filmów udało się zamieścić w Śląskiej Bibliotece Cyfrowej [www.sbc.org.pl].

Można tam bezpłatnie obejrzeć następujące tytuły: wojenne – „Nie wszystko mi zabrała” (2009), „Czterech synów ojciec miał” (2003), „Różaniec z kolczastego drutu” (1998), powstańczo „Bracia” (2006), western „Dwaj z Teksasu” z 2000 r. Być może przyjdzie czas i na starsze produkcje, realizowane na taśmie filmowej – jak choćby trylogia śląskiego westernu „Szlakiem bezprawia” z lat 80. o przygodach Ślązaka Wawrzyna Złotko, w skład której wchodzi cykl filmów: „Człowiek znikąd”, „Full śmierci”, „Wolny człowiek”. Na youtubie można zobaczyć migawki z planu „Śląskiego szeryfa”, jak też zwiastun tego westernu.



Wojciech Korfanty z rodziną na pszczyńskim rynku w czasie powrotu Pszczyny do Polski 29 czerwca 1922 roku

Pszczyzna na fotografiach z początku XX wieku



Kamienica Józefa Tomali przy obecnej ulicy Piastowskiej wraz z jego sklepem handlującym rowerami i maszynami do szycia. Fotografia wykonana po 1922 roku, przed podwyższeniem i przebudową kamienicy

IWONA ŻELAZOWSKA

Pamięci Piotra

Twoje ostatnie obrazy
To w dżungli teorii spiskowych
Zen ogrody
Tam najważniejsze są
Przestrzenie pomiędzy kamieniami
Czyli Pustka
A w pustce
Punkciki istot ludzkich
Małe wszechświaty
Zagubione w nieustannej wędrówce
Bezradne wobec dysonansu cierpienia
Bezbronne wobec siły niemocy
Nad nimi ciężkie niebo
Dominujące potęgą natury
Moc boskich decyzji
Absolut przeznaczenia
Ciemne linie pędzla
Splątane znakami Zen
Konieczność wyboru
Ból konsekwencji
I to czarne
Wiszące Niebo
Fatalistycznie nabrzmiałe
Przecuciem katastrofy
...runęło grozą błyskawic
Czarny piorun raził pustkę
Czarnej ciszy
I
Pękł kamień twojego Luwru...



Rys. Wojtek Łuka

* * *

Dawniej
Gdy człowiek się mył
To się oczyszczał
Dziś
Stojąc pod prysznicem
Ustala
Plan działania
Na cały nadchodzący dzień
Wkręcony
W spiralę pożądania i wyścigu szczurów
Szuka szczęścia na zewnątrz
Nie zgadzam się z takim rozwojem kosmosu

Chcę zatrzymać myśli
By nie przeminęły bez śladu
Szukam miejsca
Gdzie wszystko widać jak na dłoni
Gdzie całe niebo ziemi dotyka
A sprawom naszego świata
Można właściwe proporcje przywrócić
Pustynia
Bezkres nieskończoności
Pustka
Cisza Wielkiego Umysłu
Boga chrześcijan
Żydów
I Muzułmanów
A na niebie
Nocny spektakl trwa
Multimedialne widowisko
Z udziałem gwiazd
Wielki taniec
Misterium godowe
Przenikanie
Pochłanianie
Narodziny czarnych dziur
Barokowych bram
Przez które mkniemy
Do innych wymiarów
Do wszechświatów cudzych
I do własnego uniwersum
Pełni zachwyty
Pędzimy szeroką autostradą
W kierunku mgławic neonowych miast
My
Mikrocząsteczki
Wielkiego hologramu

* * *

Dziwka
Wyjęta spod prawa sprzeciwu
Powiedziała mi
Ze wszystko jest
TYLKO...
... KONWALIA

* * *

Wypuściłam motyla
Który we mnie spał
Ruch jego skrzydeł
W przestworzach
Pozostawi ślad...

* * *

A przecież cały wszechświat o tym wiedział
A przecież cały wszechświat o tym mówił
Jest mądrą duszą wszystkiego
Kodem Znaczeń Pierwotnych
Tylko my jego znaków nie czytamy...
Półanalfabeci
Próbujemy żyć cyfrowo
W analogowym wszechświecie
Nie słyszymy głosów intuicji
Nie wierzymy
Zagłuszamy
W cyberprzestrzeni
Pierwotną mądrość gubimy
Zdolności praprzodków
W cybersłowa ubieramy
A przecież
Instynkt jest nagi
A pewne rzeczy są
Chociaż ich nie widać...

A przecież cały wszechświat o tym wiedział
A przecież wszechświat o tym mówił
Jest prawdomówny
Uczciwy
Tak jak ten śnieżnobiały kot
Obok łóżka mojej mamy
Z innego wymiaru
Pokonując nieziemskie przeszkody
Na oddział
Sterylny
Surowo strzeżonej hematologii
Przyszedł trzy razy...
Następnego dnia
Mama
Razem z nim
Odeszła....

* * *

...leżymy w trawie...
w majestacie nieba
gonimy razem obłoki
pieszcząc stopami wilgotną ziemię
biegniemy ku szczęściu
aby na zawsze pozostało TO
czego mogło nie być wcale...

* * *

Wiesz,
Ja lubię świat bez makijażu

Wiesz,
Mam swoje królestwo
A w nim królowanie

Wiesz,
Ty nie jesteś w nim tylko przechodniem



Rys. Wojtek Luka

Lustro

Ucałuj moją gwiazdę kochanie
Zanim gwiazda gwiezdny pyłem się stanie
Póki jest
Póki trwa
Póki spełnia sny
Marzenia ma

Ucałuj moją gwiazdę kochanie
Póki w lustrze nie rozbitym gwiezdny promień drga
Póki w lustrze jesteś cały
Obok ciebie ja...

Zanim niebo stanie w płomieniach
Zanim serce ktoś przetnie żyłką
Zanim na drugą stronę lustra przejdziemy
Przez pęknięć sieć...

Póki lustro gwiazdy odbija
Póki gwiazdy nas mamią złudnie
Póki błyszczą brylantów odbiciem
Życiem...

Ucałuj moją gwiazdę kochanie

* * *

Gdy budzi się pełnia księżycy
I czas iść na polowanie
Twój wilk w tobie wyje i skowyczy...
Ja patrząc ci w oczy oddanie
Prowadzę go na smyczy...

Iwona Żelazowska – absolwentka Akademii Muzycznej we Wrocławiu. Dziennikarka radiowa i TV, później związana z prasą ogólnopolską: „Ruch Muzyczny”, „Res Publica Nova”, „Suplement”, miesięcznik „Śląsk”, „Opcje”, „Dysonanse”, „Arkadia”. Przez wiele lat (1992 – 1998) współpracowała z Kwartalnikiem Kulturalnym „Opcje”, prowadząc tam dział muzyczny. Wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Dysonanse” – pisma poświęconego muzyce XXI wieku oraz innym sztukom. Współorganizatorka wielu zdarzeń artystycznych: festiwalu, koncertów, spotkań interdyscyplinarnych. Przede wszystkim jednak pisze: recenzje muzyczne, wywiady, eseje, reportaże, wiersze. W 2011 roku wydała tomik poezji „Album z podróży”. Uwielbia podróże dalekie i bliskie. Mieszka w Katowicach.

**IWONA
ŻELAZOWSKA**

JOHN GUZLOWSKI

Suitcase Charlie (Charlie Walizka)

Przekład:
HENRYK CIERNIAK

PROLOG.

18 października 1955 roku – Associated Press Wire

Obnażone ciała trzech chłopców znaleziono porzucone w rowie w pobliżu Chicago dziś o godzinie 12.15.

Byli to Robert Peterson, lat 14, John Schuessler, lat 13 i jego brat Anton Schuessler, lat 11.

Wcześniej byli bici a ich oczy zaklejono taśmą.

Ostatnio widziano chłopców wracających do domu z kina w centrum miasta, gdzie udali się, żeby zobaczyć „Afrykańskiego lwa”.

ROZDZIAŁ 1.

W ogóle nie było po co się śpieszyć. Przedtem, zanim owej nocy Hank Purcel i jego partner przybyli na miejsce, nie było sposobu na to, żeby znaleźć się w pobliżu.

Z powodu blokady z każdego kierunku wszystko wyglądało jak nocny konwent glin. Nowiutkie czarno-białe samochody oddziału policji z ich czerwonymi światłami, wirującymi i oświetlającymi ciemności, rozrzucone były wzdłuż wszystkich ulic prowadzących do skrzyżowania i tłum detektywów i umundurowanych gliniarzy też tam był, niektórzy z nich stali beczynnie, pocąc się z upału, inni, tłocząc się, podążali jedni za drugimi, nigdzie nie dochodząc.

Hank nie potrafił sobie wyobrazić, co takiego mogło się wydarzyć, że potrzebne jest aż tyle glin. Musiał jednak gdzieś zaparkować samochód, więc pojechał Rockwell Street w kierunku Division i ostatecznie zaparkował, dostawiając auto do rzędu samochodów stojących wzdłuż ulicy, o kilka przecznic w kierunku południowym od tego miejsca, dokąd wkrótce potem obaj z Marvinem podreptali.

Kiedy nareszcie doszli do skrzyżowania, było ono już ogrodzone policyjną taśmą.

Hank wyciągnął chusteczkę z kieszeni, wytarł nią twarz i rozejrzał się wokoło. Żółte policyjne zapory grodziły dostęp ciągle jeszcze ożywionym ludziom zebrany w pobliżu skrzyżowania i na chodnikach. To był całkiem okazały tłum. W White Eagle Tap, pobliskim polskim barze, pijacy i późni bywalcy stali w proggu obserwując zamieszanie, niektórzy z nich z butelką piwa w ręku. Dzieciaki siedziały na zaporach wyciągając szyje, raz w dół, raz na górę, żeby zobaczyć, co się dzieje. W oknach budynków mieszkalnych, stojących z trzech stron zbiegowiska, także stali gapie, starzy faceci, którzy patrząc palili papierosy, młode dziewczyny i kobiety w szlafrokach i wałkami na głowie.

Przystające samochody i wyglądający z nich ciekawscy.

Hank nie był zdziwiony. Widział już wcześniej takie zbiegowiska. Podczas wypadków i pożarów, a nawet w czasie strzelanin. To, co tutaj zaskoczyło Hanka, to niemalże brak rozmów, czy okrzyków. Nawet kiedy wyciągano ciała z przewróconych taksówek albo płonących autobusów, dało się słyszeć jakąś paplaninę, krzy-

Rys. Wojtek Łuka



ki, płacz, a nawet zawrodoenie. Teraz wszystko, co Hank mógł usłyszeć to było jakieś buczenie, ten rodzaj gwaru, jaki zapamiętał z boiska, kiedy drużyna Cubsów¹ przegrywała mecz, a może tak samo gdy w kościele kaznodzieja próbował nakłonić wiernych do większych ofiar, żeby ich dusze nie musiały tak długo smażyć się w piekle. To był ten rodzaj dźwięku.

Hank otarł chusteczką pot z karku i starał się zrozumieć, co się dzieje. Niektórzy gliniarze przychodzili, inni wychodzili. Stojący w mroku ambulans, którego drzwi z tyłu samochodu, szeroko otwarte, huštały się, stał w odległości około dwudziestu metrów na Evergreen Street. Trzech medyków stało plecami do Hanka, ale było wystarczająco dużo światła od lampy ulicznej, żeby mógł zobaczyć, że palą. Ich głowy były blisko siebie; prawdopodobnie rozmawiali.

W północno-zachodnim zbiegu ulic, gdzie stał budynek należący do zgromadzenia sióstr zakonnych, Hank ujrzał z pół tuzina glin, głównie oficerów i detektywów. Skupieni byli wokół czegoś. Zauważył ich szefa, porucznika Franka O'Herlihy na brzegu tej grupki i pociągnął Marviną za ramię.

„Chodź”. Hank ruszył, żeby przejść przez ulicę, za nim podążył Marvin.

Kapitan Feltt z V Oddziału coś gadał. Hank przyglądał się gwałtownym ruchom jego głowy, kiedy mówił. Reszta mundurowych słuchała. Feltt był zdenerwowany i poruszony, jak gdyby go zdegradowano albo przesunięto do któregoś z okręgów w południowej części Chicago, dzielnicy Bronzeville, zamieszkiwanej przez kolorowych. Hank zatrzymał się przy nim i słuchał.

Feltt nawijał w taki sposób, jak robią to gliniarze, „Jezu Chryste, dostaniemy tego skurwysyna”. Potem kapitan Feltt przestał robić te swoje ruchy głową i spojrział w dół na chodnik.

Hank podążył za jego wzrokiem. Brązowa walizka leżała otwarta na chodniku u stóp kapitana. Było coś w niej, ale Hank nie umiał powiedzieć, co to jest. Cień padający od zgromadzonych wokół detektywów i policjantów mundurowych powodował, że trudno było rozwiązać tę zagadkę. Chciał zapytać, ale nie zapytał. Zamiast tego przysunął się nieco bliżej i trochę wychylił do przodu głowę.

Potem tego żałował.

Hank wykonał pełny obrót i zwymiotował do rynsztoka. Piwo, które pił z Marvinem w bocznej uliczce jakiś czas temu, miał zwrócić w pierwszej kolejności. Tradycyjny *Raw Beer*, bez gazu, parł w górę nieustępliwie. Kwas, który był na dzień jego żołądka, rozlewał się, szybki jak woda w spluczce toalety, gorący i palący, skręcający żołądek. Zamieniał w wirującą kipieli i wyrzucał prawie wszystko, co Hank miał w sobie, a nie było umocowane do wnętrzości. Pochylony, z rękami na kolanach, zaczął kaszleć, starając się wypluć ten kwas, który miał w gardle i w ustach.

Marvin był przy nim, trzymając go za ramię, aby nie stracił równowagi, bo z płuc Hanka zaczął się wydobywać głucho kaszel podczas gdy głowa podskakiwała mu konwulsyjnie.

Marvin wyszeptał, „Co jest, u diabła, Hank, co u diabła?”

Hank nic nie odpowiedział, nie potrafił. Próbował odchrząknąć, ale też nie umiał. Rzygnął resztkami, jakie zalegały mu w jelitach. Wreszcie stanął nieco bardziej wyprostowany i chusteczką wytarł nieczystość ze swoich ust i rąk.

„W tej walizce jest martwy dzieciak”, powiedział Hank.

„Martwy dzieciak? Jesteś szalony człowieku?”, powiedział Marvin i powoli się obrócił.

Hank poszedł za nim, znowu przybliżając się do walizki. Niektórzy gliniarze odsunęli się, kiedy puszczał pawia. Inni podeszli bliżej, żeby zająć ich miejsce. Każdy musiał mieć dobry, porządny widok, żeby niczego nie przeoczyć. Jakby w tym miejscu było coś, czego nikt dotąd nigdy nie widział, zło jedyne w swoim rodzaju, bezprzykładne w swojej dotąd nieobjawionej oryginalności.

Walizka była w kolorze jasnobrązowym, używana, ale nie stara, i nie była zbyt duża, dwie na trzy stopy. Akurat, by pomieścić w niej dziecko.

I teraz Hank mógł zobaczyć to, czego przedtem nie widział. Dziecko, które było we wnętrzu walizki było chłopcem, nie dziewczynką. Hank mógł to stwierdzić, ponieważ dzieciak był nagi: bez jednego strzępka ubrania na sobie, a jego ciało było powykęcane. Ramiona, stopy, obojczyki, ręce – wszystko powykęcane jak czyste sierki. Kości zostały wcześniej pogruchothane, bądź porąbane, zanim ciało zostało włożone do walizki. Hank spostrzegł, że lewą stopę podciągnięto aż pod podbródek. Głowa zwrócona była twarzą do góry, a prawy obojczyk wystawał wprost z głowy.

Hank spojrział znowu na twarz chłopca. Jego oczy patrzyły ostro wprost na Hanka. Otwarte usta zwisały w śmieszny sposób. Zabójca, zanim wsadził ciało do walizki, musiał złamać chłopcu szczękę i spuścił krew z biednego dzieciaka. Dziecko było całe żółte – twarz, stopy, jego ręce, wszystko żółte, taki kolor ma się wtedy, kiedy nie ma krwi, która trzyma cię przy życiu i sprawia, że się różowisz. Dzieciak wyglądał jak pisklą, które wypadło z gniazda na wysokim drzewie, pisklak bez piór.

Hank nie umiał się odwrócić.

„Jezu”, powiedział Marvin, gapiąc się na martwe dziecko.

Kapitan Feltt spojrział na niego „Taak, Jezu Chryste. Ty też puścisz pawia, jak twój ciotowaty koleś?”

Marvin nie potrafił powiedzieć niczego poza tym: „Jezu, Chryste”.

Hank ciągle wpatrywał się w dziecko w walizce i potrząsał głową. Chciał wiedzieć, dlaczego wszyscy ci gliniarze stoją wokół gapiąc się na dzieciaka. Czy ma to w ogóle jakiś sens? Powinni być gdzieś indziej, tropić zabójcę, dać mu lekcję, kiedy go odnajdą. Rozwalić cegłę na jego łbie, wpakować mu do dupy żelazną rurę. Spojrzął na porucznika O'Herlihy, swojego szefa,

„Co chcesz, żebyśmy zrobili?”

O'Herlihy popatrzył na niego i powiedział: „Pierdol się”, a potem przez długi czas nie nie mówił.

Hank wiedział jaki jest porucznik. To był dobry człowiek, czysty jak skaut, praktykujący katolik. Podobny do tych starych bab przy St. Fidelis, niedaleko stąd, siedzących w tylnych rzędach kościelnych ławek i mamroczących coś nad różańcem, facet który każdą oznakę jakiegokolwiek rozwiązłości traktował jako obrazę Boga, swojego osobistego Ojca, O'Herlihy miał negatywny stosunek do przekleństw.

Dlatego jego „pierdol się” zawisło w powietrzu pomiędzy trójką mężczyzn i odbiło się echem jak krzyk kobiety w ciemnościach, powtarzany wielokrotnie poprzez swój ból.

Potem porucznik potrząsnął głową i powiedział, „Ty znasz tę dzielnicę, Hank. Zaczynj rozmawiać z ludźmi. Zorientuj się, czy widzieli coś dziś wieczorem. Było gorąco, więc było dużo ludzi na ulicach. Dowiedz się, może ktoś widział faceta niosącego brązową walizkę.”

Hank skinął głową.

„A kiedy go znajdziesz, chcę żebyś mu przywalił.

Hank przytaknął znowu.

„Załatwimy go”.

ROZDZIAŁ 2.

Hank Purcell i Marvin Bondarowicz zrobili dokładnie tak, jak chciał porucznik O'Herlihy.

Jak to zwykle, gdy chodzi o policjantów, kiedy robią obchód terenu, a także śledczych ubranych po cywilu, zaczęli rozmawiać z ludźmi, zbierać informacje. Porucznik nakazał im rozeznaczyć sytuację w północnej części dzielnicy, pomiędzy zbiegiem ulic, gdzie znaleziono walizkę, a Parkiem Humboldta.

Hank znał ten rejon. Rzędy drzew – topoli i klonów, i kilkanaście budynków, głównie jednorodzinnych oraz wciśnięte pomiędzy nie kilka kamienic. Bliżej, z jednej strony ulicy był katolicki klasztor Zgromadzenia Sióstr, z drugiej – synagoga sąsiadująca z kompleksem California i parkiem ciągnącym się za ulicą.

Dwójka naszych policjantów wyruszyła w kierunku Zgromadzenia Sióstr. To było najbliższe miejsce, zbudowana wiele lat temu na połączonych dwóch działkach trzypiętrowa kamienica z cegły, przekształcona na klasztor, kiedy Siostry Zakonu św. Józefa powróciły do parafii St. Fidelis w latach dwudziestych dwudziestego stulecia.

Stojąc przy drzwiach frontowych budynku, Hank miał właśnie nacisnąć dzwonek, kiedy Marvin zapytał,

„Czujesz się okay?”

„Tak, jest w porządku.”

„Nie wyglądałeś dobrze, kiedy wczoraj puszczałeś pawia”

„Tak”, powiedział Hank, „ale teraz nie wymiotuję”.

„To na pewno, teraz nie wymiotujesz. Ale jeśli się zdecydujesz, daj mi znać, żebym mógł ci zejść z drogi.”

„To ten mały człowieczek, wiesz, że nie jesteś zabawny”.

„Dzięki bardzo, ty też nie jesteś.”

Hank nacisnął dzwonek. Wiedział co Marvin i inni faceci myśleli. Że jest ciamajdą, słabeuszem. Będą opowiadać o tym, jak wymiotował. Tygodniami, miesiącami. Pracował w policji prawie dziesięć lat, przedtem, podczas II Wojny Światowej, przez dwa lata był na froncie służąc w piechocie, a teraz tutaj puszczał pawia, jak ucniak z gimnazjum. Potrząsnął głową i popatrzył przez okienko w drzwiach.

Widział światło w dwóch pokojach na pierwszym piętrze. Był pewien, że zakonnice tam były. Setki gliniarzy chodzących tu i tam, tłum ciekawskich w trzech z czterech rogów utworzonego kordonu i martwe dziecko w czwartym – to wystarczało, żeby nie pozwolić komuś zasnąć na dłużej. Nie mówiąc już o upale, który od dłuższego czasu doskwierał całej okolicy jak piekący kciuk.

Hank odczekał minutę, a potem znów nacisnął dzwonek. Patrząc w górę na okna na pierwszym piętrze, nie zauważył, żeby ktoś się tam poruszał. Szyby były zakryte grubymi roletami, na które nachodziły jeszcze grubsze, ciemnoniebieskie zasłony. Hank nie był zdziwiony. Zakonnice były kobietami, które cały dni spędzały w swoich długich czarnych habitach, będących rodzajem ubioru, który skrywał wszystko z wyjątkiem twarzy i dłoni. Wszystko inne, co ich dotyczyło, stanowiło tajemnicę zastrzeżoną wyłącznie dla ich oblubieńca, Jezusa. Zakonnice to nie ten typ, co z zainteresowaniem zagląda przez okno, żeby dowiedzieć się, co dzieje się na ulicy ani nikt z tych, co bezinteresownie pozwalają innym mieć wgląd w swoje życie.

Marvin zwrócił się do Hanka, „Powiedz, czy kiedykolwiek przesłuchiwałeś zakonnice?”

Hank skinął głową, „Tak, w grudniu zeszłego roku, chodziło o włamanie do Naszej Pani od Aniołów. Twarde kobity. Oczy jak brzytwy.



„Pewnie ta ich samotność to robi, że są takie drańskie. Potrzebują chłopca, który by ich odpowiednio potraktował. To sposób, żeby stępić te ich ostre krawędzie.”

Hank nie wiedział, co myśleć o swoim partnerze. Zawsze był gotowy zaferować jakąś swoją mądrością życiową, niezależnie od sytuacji. Skąd się to u niego wzięło? Ze sposobu, w jaki był wychowywany? Może ojciec bił go po twarzy, wszędzie gdzie był, w różnych miejscach swojej dzielnicy?

Już miał dzwonić po raz trzeci, kiedy Marvin powiedział, „Hej, Hank, tutaj, spójrz, ona schodzi po schodach. Musisz być dobrym chłopcem, bo inaczej dostaniesz od niej po łapach albo natrze ci uszu.”

Hank udał, że nie słyszy, czekał aż drzwi się otworzą. Przez szybę zobaczył rąbek czarnej szaty, ocierającej się o schody, kiedy siostra z nich schodziła. Potem zobaczył jej dłonie i twarz. Była niska i dość tęga, i niemłoda. Miała pięćdziesiąt, a może sześćdziesiąt lat. Ciężko coś powiedzieć, jeżeli chodzi o zakonnicę, ale nie było w niej żadnego pośpiechu. Miała mnóstwo czasu. Schodziła po schodach wolno, ostrożnie. Pomyślał, że zakonnicę może w ogóle nie wiedziały o trupie chłopca.

Hank spodziewał się, że zakonnicę otworzy drzwi, kiedy zejdzie na dół ze schodów, ale tak się nie stało. Zamiast tego pstryknęła światło nad drzwiami i spojrzała na niego i Marvina.

Bez żadnego wyrazu na twarzy odezwała się przez zamknięte drzwi.

„Tak, mogę wam pomóc, panowie?”

„Przepraszamy siostrę, że przeszkadzamy”, powiedział Hank. „Jesteśmy z Oddziału Policji w Chicago. Wydarzyła się pewna sprawa, tutaj, na rogu ulic, i zadajemy pytania mieszkańcom tej okolicy”. Sięgnął do kieszonki na piersiach i wyciągnął swój portfel. Pokazał jej swoją odznakę przez szybę.

Otworzyła zamek w drzwiach, ale od razu ich nie pociągnęła, żeby otworzyć. Zobaczył, jak podnosi rękę, pewnie po jakiś rodzaj łańcucha i pociąga w dół rygiel. Był jeszcze inny rygiel, na poziomie podłogi. Schyliła się i długo majstrowała przy nim. Hank pomyślał sobie, że miała z tym niemały kłopot. Może nie używali często tego wejścia i rygiel się zablokował, zardzewiał w którymś miejscu. Może nie otwierali tych drzwi nigdy nikomu? Obrócił się w stronę Marvina, a Marvin odwzajemnił spojrzenie, jedno z tych z mrugnięciem brwiami.

Drzwi z wolna otworzyły się.

Hank ściągnął swój kapelusz, a Marvin dotknął ręką swojego i nasunął go niżej na oczy. Siostra była niższa niż się wydawało Hankowi, kiedy widział ją schodzącą po schodach. Miała może pięć stóp i ani cala więcej.

„Jestem detektyw Purcell, siostró”, powiedział. „To jest mój partner, detektyw Bondarowicz. Chcielibyśmy zadać kilka pytań.”

Nie powiedziała im, jak się nazywa, nie zapytała, jaki problem ich sprowadza ani też nie zemdlała, jak robią niektóre lalunie w filmach. Wszystko, co powiedziała, to było „Oczywiście”, a potem okręciła się i zaczęła wolno piąć się w górę po tych samych schodach. Marvin zamknął drzwi, przez które weszli i podążyli za nią.

Kiedy znaleźli się na podeście pierwszego piętra, zakonnicę zatrzymała się. Przed nimi było obszerne pomieszczenie, rodzaj recepcji, „foyer”, tak może nazywały to siostry. Był tam drewniany krzyż na ścianie, z figurą Jezusa odlaną z ołowiu i parę obrazów ze świętymi patrzącymi w sufit. Jedna ze świętych modliła się, a jej ciało przebite było strzałami. Miała aureolę.

Hank rozejrzał się wokół. Zrozumiał, że to chyba tutaj zakonnicę przyjmują swoich gości. Stara brązowa sofa z serwetkami na oparciach i trzy drewniane krzesła dopełniały wyposażenie tego pomieszczenia. Krzesła sprawiały wrażenie, że nie zostały wykonane dla czyjejś wygody, lecz wyłącznie do siedzenia.

Siostra usiadła na jednym z nich i zrobiła gest głową w ich kierunku, żeby wybrali któreś z nich dla siebie.

Hank położył swój kapelusz na sąsiednim krześle, a potem zwrócił się do zakonnicy. „Siostró, zastanawiamy się, czy siostra lub któraś z was widziałyście coś podejrzanego dzisiejszej nocy. Kogoś wędzającego tutaj, w pobliżu, dziś późnym wieczorem?”

Zakonnicę w ogóle nie zawałała się z odpowiedzią. Siedząc prosto, z rękami na w dole brzucha i stopami ledwie dotykającymi podłogi, powiedziała, „Nasze dni i noce poddane są określone porządkowi. Po obiedzie odpoczywamy w naszych pokojach i przygotowujemy się do lekcji na następny dzień. Ponieważ, jak pan pewnie wie, uczymy, niedaleko stąd, w St. Fidelis School, kawalek w górę tej ulicy. O dziesiątej, każdej nocy, zbieramy się wszystkie na wieczorny różaniec, gorąco prosząc Boga o sąd niebieski nad komunistami. O jedenastej wracamy do naszych pokojów i przygotowujemy się do snu. Dzisiejsza noc była, jak każda inna, zupełnie normalna. My, siostry, nie spędzamy wiele czasu zaglądając przez okna, nie zaprzęliśmy sobie głowy tym, co się dzieje w okolicy. Nie sądzę, żeby któraś z siostr dostrzegła coś niezwykłego na ulicy, aż do czasu, kiedy policyjny radiowóz pojawił się tu, w tym zaułku. To było około północy. Właśnie policyjne syreny zwróciły naszą uwagę.”

Marvin odchrząknął i spojrzał znad swojego notesu, „Zauważyłem, że wasze okna są szczelnie zamknięte. Był okropny gorąc przez ostatnie dwa dni. Trzymacie okna zamknięte i zasuwanie rolety nawet kiedy jest tak gorąco?”

„Tak, oczywiście. Próbujemy nie myśleć o upale.”

„Tak więc nie mogliście wiele widzieć, ani też słyszeć, z tego co działo się na ulicy?”

„Nie, niczego, aż do czasu kiedy usłyszałyśmy syreny, jak już mówiłam”. Miała małe, pulchne ręce i Hank wpatrywał się w nie. Oparte były nieruchomo na jej łonie. Wyglądały jak średniej wielkości ziemniaki, z tych czerwonych. Przegubów zaciśniętych palców były okami ziemniaka. Nie wydawała się być zdenerwowana czy przestraszona, nawet zmartwiona. Była kobietą przyzwyczajoną do mówienia całej prawdy, kobietą która nigdy nie widziała powodu, żeby mówić komuś tylko połowę prawdy. Pewnie w taki sam sposób rozmawiała z dziećmi w szkole jak z gliniarzami, księżmi i prezydentami.

„Siostró, w jakiej klasie siostra naucza?” zapytał Hank.

Przez chwilę milczała, a potem powiedziała, „Czemu pan pyta?”

„Bez powodu, z czystej ciekawości.”

„Klasę drugą.”

„Ile lat mają dzieci w drugiej klasie?”

Spojrzała na Hankę. W jej oczach pojawiło się pytanie, które Hank zauważył. Chciała wiedzieć, dlaczego pyta o jej pracę w szkole, o uczniów.

„Tylko pytam, siostró, nic więcej.” Powiedział to i wiedział, że ona wie, że on kłamie. Myślał o chłopcu w walizce, ile miał lat.

„Dzieci mają od sześciu do ośmiu lat. To zależy od tego, jak wiele lub jak mało wiedzy posiada dziecko przed przyściem do nas. Mamy dużo emigrantów, w tej chwili, od czasu wojny, głównie Polaków. Niektórzy z nich nie znają jednej litery alfabetu, podczas gdy inni czytają *Pieśń* Dantego.”

„Dzięki, siostró”, powiedział Hank wstając. „Nie będziemy już dłużej zawracać głowy tej nocy siostrze, ani nikomu tutaj, ale gdyby którakolwiek z was coś sobie przypomniała, będziemy bardzo wdzięczni, jeśli dacie nam znać. Nawet jeśli wydawać się będzie, że to coś błahego.”

Zakonnicę powstała i poszła za nimi po schodach.

„Przepraszam, siostró”, odezwał się Marvin odwracając się w jej stronę, kiedy już był na dole. „Ale nie usłyszałem, jak się siostra nazywa. Muszę to mieć w swoim raporcie.”

„Oczywiście”, odpowiedziała, „Jestem siostra Maria Filomena, od Św. Józefa.”

cdn.

Część druga „Suitcase Charlie” zostanie opublikowana w „Śląsku” nr 8.

(Opublikowane fragmenty to dwa pierwsze rozdziały wydanej właśnie w Ameryce nowej książki Johna Guzłowski pt. „Suitcase Charlie”).

¹ Cubs to drużyny młodszych skautów, odpowiednik polskich zuchów

Redaktor Wojciech Mszyca jest entuzjastą wszystkiego co opatrzone znakiem firmowym hamburskiej firmy Beiersdorf albo polskiego PEBECO, od 1925 roku funkcjonującego w Katowicach a po 6 latach przeniesionego do Poznania.

Unikatowe zbiory opakowań były prezentowane w salach krakowskiego Muzeum Farmacji i kilku innych galeriach. Obok eksponatów najstarszych, sprzed 1922 r. pochodzących z Hamburga, kolekcjoner pokazuje również wytwarzane w Katowicach i w Poznaniu. Dziś już ponad ćwierć tysiąca oryginalnych eksponatów stanowi swego rodzaju zakładowe minimum wyrobów BEIERSDORF-PEBECO a jednocześnie małą galerię pamiątek dnia powszedniego.

– Wiele spośród nich zanim do mnie trafiło, przez długie lata pełniło zupełnie inne funkcje użytkowe. Panie przechowywały w nich naparstki, igły i spinki do włosów a panowie śrubki i gwoźdźdiki.

Pretekstem do ich publicznej prezentacji stało się 90-lecie założenia katowickiej wytwórni hamburskich specyfików. Trafiły do gablot i na plansze ekspozycyjne Biblioteki Śląskiej.

Honorowe miejsce zajęła puszką po „Nivei” – Pudrze dla Dzieci – wyprodukowanym w Katowicach. Kolekcjoner wystawił opakowania po kremie Nivea metalowe, szklane, ebonitowe, pochodzące z Katowic, Poznania i Hamburga (one stanowią lwią część jego zbiorów, jest ich ponad 100) a także różnych fasonów i wielkości buteleczki: po oleju orzechowym NIVEA, po wodzie chinowej albo po Mundwasser z Beiersdorf AG Posen, 1939–1944.

Pojemniki po kremie i pudrze wyróżniają się niebiesko-białą kolorystyką a umieszczone na nich napisy charakterystycznym krojem czcionki zastrzeżonej dla marki „Nivea”. Takich ich wygląd, wraz z napisem: „Pilot” a potem „Lotnik” na rewersie, obowiązywał od 1925 r. O ich zawartości komunikuje karta pocztowa jaką firma przesyłała do potencjalnych nabywców.

– Na najstarszych opakowaniach – mówi red. Mszyca – logo Beiersdorfa, czyli podobna mężczyzny w marynarskim kapturze na głowie, z podpisem PILOT, nie pozwala wątpić, że jest to pilot-sterownik portowy manewrujący jednostkami pływającymi. W niemieckim „pilot” oznacza pilota samolotowego, ale też sternika wodnego. To logo obowiązywało także w polskiej linii Nivei – katowickiej i poznańskiej – do około 1933 roku. Później, na polskich opakowaniach Nivei zastąpił go mężczyzna w lotniczej pilotce i lotniczych okularach, a napis PILOT zmieniono na – nomen omen – LOTNIK.

Ten nowy, niebiesko-biały design Kremu Nivea po raz pierwszy ujrzał światło dzienne w katowickim zakładzie PEBECO.

– Od 1911 r. opakowania były żółte, z secesyjnymi zdobieniami, a w pionierskich reklamach kosmetyków (plakaty, reklamy na omnibusach, filmy reklamowe) wykorzystywano np. wizerunek kobiety delikatnej – femme fragile. Po zakończeniu I wojny, wraz ze zmianą ducha epoki i stylu życia, pojawił się też nowy ideał kobie-



Wojciech Mszyca i najważniejszy eksponat w jego kolekcji – pudełko po kremie Nivea z katowickiej fabryki.

NIVEA

z przedwojennej katowickiej fabryki

HENRYK SZCZEPAŃSKI

ty – wyemancypowanej, energicznej, trochę chłopięcej w stylu garçonne. – To dla niej m.in. stworzono to proste, nowoczesne w stylistyce, niebiesko-białe pudełeczko, które z czasem, stało się ikoną światowego dizajnu. – zauważa red. Mszyca.

O tym jak dawniej krem Nivea był stosowany przy okazji morskich i słonecznych kąpiel, a przede wszystkim w codziennej pielęgnacji ciała, twarzy, rąk – zaświadcza staroświeckie ogłoszenia reklamowe. Na jednej z katowickich reklam sprzed 30. roku widnieje pudełko z napisem KREM NIVEA, a pod spodem: DO PIELEGNOWANIA TWARZY IRAK. To unikat katowickiego PEBECO! Reklamy przypominają, że nasi ojcowie i dziadkowie golili się dziś prawie zupełnie zapomnianą „brzytwką”, wcierając nieco kremu Nivea „na minutę lub dwie przed namydleniem”.

Anonse reklamowe, albumy, foldery, wycinki prasowe, afisze, pocztówki (wśród nich wyjątkowej urody „Śląskie Niveanki”), ulotki, oryginalna zabawka Kino Nivea „Przygoda w lesie” na papierowej taśmie i inne akcydensy zgromadzo-

ne przez red. Mszycę składają się na bibliotekę archiwaliów opowiadających o sekretach toaletki naszych prababek i o życiu codziennym kilku ostatnich pokoleń.

Do wyposażenia każdej domowej i lekarskiej apteczki należały plastry medyczne: Leukoplast, Poloniaplast lub Hansaplast. Ich wynalazcą i promotorem był Oskar Troplowitz. Dzięki ekspozycji katowickiego kolekcjonera możemy się przekonać jak wyglądały kilkadziesiąt lat temu i jak je prezentowano. Pudełko po wygodnych w użyciu materiałach opatrunkowych trafiły do zgrabnej szklanej gabloty przystosowanej do przenoszenia i handlu obwoźnego. Oczywiście, jest opatrzona firmowym znakiem PEBECO. Takie podręczne „walizeczki” można było kiedyś oglądać w drogeriach i aptekach promujących wyroby katowickiego i poznańskiego BEIERSDORFA. Red. Mszyca odnalazł ją na jakiejś giełdzie staroci. Dzisiaj w Polsce nie produkuje się kremu „Nivea”. Fabrykują go tylko w Hamburgu.

• Snajper i udręczone miasta

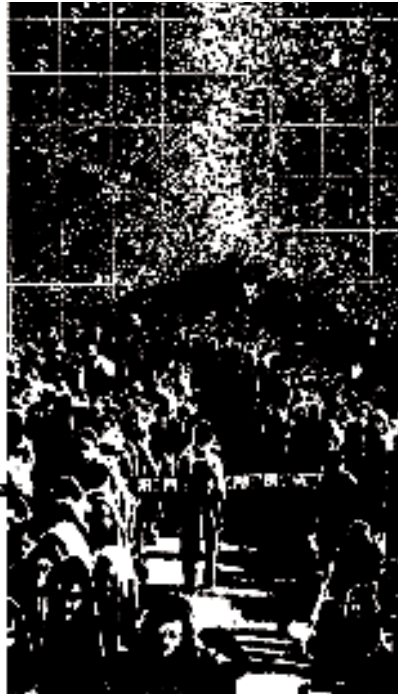
„W Al-Falludży było strasznie. W Ar-Ramadi było jeszcze gorzej. A w Mieście As-Sadra – najgorzej” – w ten sposób amerykański snajper, Chris Kyle, opisywał istotę prowadzenia działań wojennych w Iraku. Znaczną częścią wspomnień Kyle’a są właśnie opisy zabezpieczania, zdobywania, „oczyszczania” i utrzymywania w sferze kontroli irackich miast. Wspomnieniowa, pełna anegdota i niecenzuralnego języka oraz absolutnie nie naukowa książka żołnierza z Teksasu opisuje w gruncie rzeczy te same zjawiska, które analizowane są przez sztaby specjalistów z zakresu wojskowości, bezpieczeństwa, strategii i planowania. „Wiek XX jest wiekiem miast” – pisze Artur Jasiński. Jakkolwiek, jest to zdanie rozpoczynające rozdział pt. „Współczesne miasta jako cele ataków terrorystycznych”. Dane potwierdzają zasadność użycia tego stwierdzenia, w ciągu ostatnich 20 lat uderzono w następujące metropolie: Nowy Jork (1993, 2001), Tokio (1995), Moskwa (1999, 2000, 2001, 2002, 2003, 2004, 2010), Madryt (2004), Londyn (2005), Bombaj (2005, 2006, 2008) oraz Oslo (2011). Ze wspomnień żołnierza oraz ze współczesnych analiz jasno wynika, że współcześnie znaczna część walki zbrojnej prowadzona jest na terenach zurbanizowanych, a miasta, zwłaszcza metropolie, stały się celami działań terrorystycznych.

• Śmierć bezbronych

Na początku XX wieku scena teatru wojennego przeniosła się z pola bitwy do przestrzeni miasta. Śmierć na wojnie przestała być domeną zawodu żołnierza, ale stała się codziennością cywilów. Choć podręczniki z dziedziny wojskowości cały czas stosują rozróżnienie na osoby cywilne i żołnierzy, to statystyki w sposób nieubłagany pokazują, że 74% ofiar konfliktów zbrojnych to cywile, innym wskaźnikiem przytaczanym nader często jest liczba zburzonych, zniszczonych, zbombardowanych miast. W pracach naukowych poświęconych konfliktom zbrojnym, wojnom i wojnom domowym w sposób jednoznaczny podkreśla się, iż we współczesnych wojnach giną przede wszystkim cywile, walki przenoszą się do największych skupisk ludzkich – czyli miast, a wobec braku jasno wytyczonych linii frontu to właśnie o kontrole nad poszczególnymi miastami toczą się najbardziej zacięte walki.

• Clausewitz i wojna

Niewiele jest zjawisk, które tak bardzo jak wojna naruszają nie tylko integralność terytorialną, poczucie bezpieczeństwa, ale przede wszystkim struktury społeczne – normatywne, struktury władzy, tożsamość. Konflikty zbrojne zaburzają procesy socjalizacji, identyfikacji, uderzają w podstawy społecznego ładu. Wojna to zjawisko, które wzburza społeczeństwo



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Metropolie rządzą światem, a strach rządzi metropoliami (I)

i całkowicie je przeistacza, odcinając się straszliwym kontrastem od spokojnego toku czasu pokoju. Twórca pierwszego, „nowoczesnego” podręcznika sztuki wojennej, Carl von Clausewitz, zaznaczył wyraźnie, iż wojna jest aktem stosunków pomiędzy ludźmi. Będąc zjawiskiem społecznym staje się wojna domeną socjologów. Wojna, czy atak terrorystyczny naruszają tkankę społeczeństwa tak dotkliwie, jak narusza tkankę miasta – budynki, gmachy, zabytki, tym samym może stać się przedmiotem refleksji socjologii miasta i architektury.

• Mistrz niemieckiej socjologii i miasto

Analizy fenomenu miasta i miejskości przeprowadzone przez niemieckiego socjologa Maxa Webera dały podstawy nowoczesnej socjologii miasta. Weber dokonał porównawczej analizy historycznych formacji miejskich, co doprowadziło do m.in. stworzenia tzw. typów idealnych europejskiego miasta średniowiecznego i miasta formacji azjatyckiej. Analizując niezbędne determinanty miej-

skości Weber zaznaczył dobitnie, iż [...] Aby stanowić wspólnotę, ludność aglomeracji miejskiej musi trudnić się w przewadze zajęciami pozarolniczymi i posiadać, co następuje: 1) fortyfikacje; 2) rynek; 3) własny sąd z przynajmniej częściowo odrębnym prawem; 4) stowarzyszenia oraz 5) przynajmniej częściową autonomię i władzę wybierane z udziałem obywateli”. Co istotne, na pierwszym miejscu Weber wymienił fortyfikacje, podkreślając tym samym wagę obronnych i ochronnych funkcji miasta. Przez setki lat fortyfikacje, zamykane na noc bramy i mury miejskie były gwarancją bezpieczeństwa mieszczan i ich codzienności oraz interesów. Umacniane, modernizowane stanowiły względną gwarancję spokojnego bytu mieszkańców. Rzemiosło wojenne jednak ewoluowało, rozwój możliwości artylerii spowodował konieczność budowy bardziej niż mury miejskie zaawansowanych przeszkód – szanców ziemnych, twierdz, fortyfikacji.

• Miasto i terror

Obronna funkcja miasta straci na znaczeniu dopiero w erze nowożytnej. Gdy na przełomie XIX i XX w., na skutek rozwoju techniki uzbrojenia, zostaje rozerwany trwający od tysięcy lat ciągły obwód umocnień wokół miasta. Miejsce twierdzy zajmuje szkieletowy pierścień luźno rozrzuconych bunkrów. Gdy nie ma ograniczających murów i fortyfikacji, procesy urbanizacyjne nabierają tempa i mocy. Dalszy rozwój technik wojennych – wprowadzenie lotnictwa, dalekosiężnych dział, broni rakietowej spowodował przesunięcie linii obrony na linie granic kraju. Porządku w miastach strzegły wyspecjalizowane służby, a zadania armii koncentrowały się na militarnej obronie terytorium państwa, jakkolwiek realizowanej z dala od terenów zurbanizowanych. W czasie II wojny światowej miasta znowu stały się strategicznymi celami militarnymi, walczące siły posługiwały się terrorem i brutalną siłą, by zstraszać, kontrolować, wyniszczać ludność cywilną, bądź też bombardować i metodycznie niszczyć miasta, a ciągle bombardowania centrów przemysłowych i osiedli robotniczych doprowadziły do tego, że zanikło rozróżnienie na walczących i cywili, a przemoc militarna została świadomie skierowana przeciw ludności cywilnej. Powojenny optymizm, i szybki wzrost gospodarczy przyniósł ze sobą rozbudowę przedmieść. I choć zimna wojna przyniosła ze sobą udoskonalenie broni atomowej i środków jej przenoszenia, nie zatrzymało to procesu rozrastania się miast i migracji ludności ze wsi do miast. Rozległe, gęsto zaludnione, zatłoczone miasta są dziś idealnym celem dla terrorystów, ale także areną potyczek walczących stron.

Felieton napisany we współpracy
z dr Karoliną Wojtasik
z Instytutu Socjologii
Uniwersytetu Śląskiego



Nieistniejąca już wieża Bismarcka w parku miejskim (Brynów, park Kościuszki). Od 1923 do 1933 r. wieża widokowa.

Katowice za Pohlmanną (I)

HENRYK
SZCZEPAŃSKI

Prusko-kaiserowskie Katowice miały tylko dwu szefów magistratu z tytułem nadburmistrza. Chronologicznie pierwszym był dr August Schneider, a drugim i ostatnim – dr Alexander Pohlmann.

Na fotelu ojca miasta zasiadł w 1903. Jego gabinet mieścił się w ratuszu, na rogu Rynku i Pocztovej. Miał 37 lat gdy przybył do Katowic i wraz z żoną Marią zamieszkał w nowej, niecałe trzy lata wcześniej wybudowanej willi Damego przy Sokolskiej 8. Nosił modny, krótko przystrzyżony wąs. Był mężczyzną

zdecydowanym i pewnym siebie. Został tu przeniesiony z rządzonego przez Niemców Poznania, gdzie przewodniczył Radzie Miasta. Poprzednio urzędnicze szlify zdobywał we Frankfurcie nad Menem. To jedyny wśród katowickich prominentów, urodzony nad Wisłą (w Grudziądzu). Po studiach prawniczych rozpoczętych we Fryburgu Bry-

zgowijskim (opodal francuskiej granicy), potem kontynuowanych we Wrocławiu i Lipsku, a ukończonych w Berlinie pracował w administracji państwowej. Politycznie związał się z liberałami; najpierw z Wolnomyślną Partią Ludową, a od 1918., z popularną wśród burżuazji i drobnomieszczaństwa – Niemiecką Partią Demokratyczną. Karierę parlamentarną rozpoczął w roku 1912 jako poseł prowincjonalnego Landtagu. W latach wojny o Śląsk do 1921 zasiadał w ławach weimarskiego zgromadzenia narodowego. Potem, wraz z osławionym Otto Hörsingiem, krwawym katem polskich Ślązaków, jako mandatariusz katowickich Niemców, od 1920 do 1922, był posłem do berlińskiego Reichstagu.

Pierwszą uroczystością celebrowaną w Katowicach przez Pohlmanną było oddanie do użytku wieży Bismarcka na Kamionce Katowskiej przez Niemców nazywanej Beateberg. Odbyła się pod koniec sierpnia 1903. Ojciec miasta wygłosił patriotyczne przemówienie, duchowni trzech Kościołów odmówili pacierze, a zgodny chór rekinów miejscowej finansjery i magnaterii odśpiewał gromkie „Deutschland, Deutschland über alles”. Burmistrz nacisnął guzik iskrownika. Na szczycie monumentalnej, kamiennej pochodni eksplodował potężny, benzolowy słup ognia. Płonął w hołdzie żelaznemu kanclerzowi i ku czci krzyżackiego wodza mistrza Ulricha von Jungingen, w 1410. pod Grunwaldem, podstępnie zamordowanego przez polsko-litewskich barbarzyńców. Tych samych, których w Krakowie, w 7 lat potem, wraz z posągiem Jagiełły, „Pracjom na chwałę – braćiom na otuchę”, Polacy uwiecznili na pomniku opodal Barbakanu. Po okolicy rozniosła się woń etyliny. Damy sięgały po chusteczki. Ocierały nosy i oczy mokre od łez...

Pohlmann był wojującym nacionalistą, zwolennikiem twardego kursu w polityce narodowościowej, prowincjonalną marionetką bezkrytycznie naśladowującą Wilhelma II, co bez ogródek wypominali mu niemieccy socjaliści. W 1907 podczas inauguracji pierwszego sezonu artystycznego w nowym gmachu teatru z tromtadracką arogancją zapewniał, że będzie to: „Bollwerk gegen das feindliche Polentum” „bastion przeciw polszczyźnie”. Od 1912. gdy urbanisci i radni miejscy ze względów praktycznych domagali się włączenia w obręb miasta peryferyjnego Brynowa, Załęża Zawodzia, Bogucic, Dębu – torpedował ten postulat strasząc Polakami, którzy po wejściu do miejskiego samorządu natychmiast zdominują Niemców. Chwytny slogan „spartakistische und polnische Elemente” (komunistyczny i polski element) kolportowany przez pruską prasę i tajnych agentów wzbudzał postrach wśród mieszkańców nadgranicznego Śląska.

W grudniu 1919, w konsekwencji krwawych zamieszek pierwszego powstania Ślązaków, na posiedzeniu nowej rady miejskiej złożył rezygnację ze stanowiska nadburmistrza. W styczniu 1920., gdy zanosilo się na kolejną insurekcję, tak jak większość niemieckich notabli z katowickiego świecznika władzy opuścił Ratusz. Przeniósł się nad Łabę. Tam, w osławionym Magdeburgu czekało na niego stanowisko szefa rejencji Saksonii.

Nie było go w Katowicach, ani w dniach wycofywania Reichswehry ze Śląska, ani podczas przejmowania miasta pod kontrolę Międzysojusznicy Komisji Rządzącej i Plebiscytowej ani też podczas oficjalnego przekazania polskiej administracji państwowej.

Jego zastępcą z tytułem drugiego burmistrza był Paul Neugebauer a po jego śmierci w 1915. – w latach I wojny światowej, powstań śląskich i Plebiscytu – zastępował ich Edmund Leu.

Z Caruso, muzyką Wschodu w tle

Magistrat rozaczał protektorat nad działalnością dwu niemieckich czytelni ludowych założonych w 1897 i 1910. Większe zgromadzenia hakatystów oraz niemieckiego towarzystwa gimnastycznego założonego przez Grundmanna i Holtzego celebrowano w teatrze miejskim. Zebrania partyjne i towarzyskie, tradycyjnie jak w poprzednim stuleciu odbywały się w salach restauracyjnych. Na ogół nie brakowało tam prasy i innych rozrywek kulturalnych. Najczęściej grywano w karty, szachy i bilard. Mniej lub bardziej ekskluzywnie knajpki, cukiernie, kawiarnie i piwiarnie oferowały dodatkowe niespodzianki.

Hotel „Deutscher Kaiser”, znajdujący się przy wjeździe do miasta w narożnym domu przy Warszawskiej 69, należącym do Flory i Brunona Wendrinerów, na parkiecie swojej restauracji organizował zajęcia Kółka Tanecznego „Terpsychora”. Jego członkowie gustowali w tańcu artystycznym, baletowym i towarzyskim. Stamtąd rekrutowali się fordanserzy i fordanserki obsługujący bale i dancingi w ekskluzywnych lokalach Katowic.

W 1913 na rogu dzisiejszej Mieleckiego i Mariackiej, w eleganckiej kawiarni „Kaiser-Cafe”, której właścicielem był Adolf Steinhart odbywały się niezwykle koncerty i recitale. Przed majestatyczną tubą patefonu odtworzonego pieśni w wykonaniu sławnego tenora Enrico Caruso oraz innych gwiazd ówczesnej szelakowo-ebonitowej płytoteki, zasiadali amatorzy czarnej, świeżo palonej kawy, ciastek i dobrej muzyki.

Z restauracji Ryszarda Matterny, przy 3 Maja 29, vis a vis gimnazjum dla



Alexander Pohlmann. Zdjęcie pochodzi z: „100 Jahre Stadt Kattowitz 1865-1965. Ein Jubiläums – und Gedenkbuch von W. Majowski”, Salzgeber-Verlag 1965.

dziewcząt, dobiegały dźwięki muzyki Dalekiego Wschodu. Tutaj spotykali się cytrzyści. Przewodniczył im Richard Frieseur. Grali na egzotycznych instrumentach podobnych do lutni wyposażonych w kilkadziesiąt strun poskręcanych z jedwabnych nitki. Klękali na podłodze i pochylając się nad instrumentem, palcem lub plektronem delikatnie potracali struny wydobywając z niego melodie skłaniające do zadumy. Do ulubionych należała *Kao shan liu shui* czyli „Wysoka góra i nieustający wiatr”.

Pierwsze kinematografy

Niestychaną sensacją w Katowicach i na całym Śląsku wzbudzały pokazy mutoskopowe czyli prezentacje ruchomych obrazów. Najstarsze zorganizowano w 1904. pod wysokimi, wojskowymi namiotami na placu Andrzeja. Były zapowiedzią prawdziwego kina. Patronowała im Liga Morska a osobiście tajny radca górniczy inż. Gustaw Williger. To on jako pierwszy na terenie cesarstwa wilhelmińskiego zorganizował serię pokazów mutoskopowych ukazujących pracę i męstwo niemieckich marynarzy. W Katowicach magiczne obrazy z gestykulującymi i uśmiechającymi się ludźmi płynącymi na wielkich okrętach obejrzało 24 tysiące osób. Później podobne imprezy odbyły się w Gdańsku i Poznaniu. W sumie zgromadziły 32 tysiące widzów. W mieście wtedy jeszcze nie było kina z projektorem, widownią i wielkim ekranem.

Dwa pierwsze kinematografy zainstalowano wiosną 1907.; w oficynie domu przy Warszawskiej 10 „Kinomatograph”

Juliusza Edericha, nazywany też „Welt Theater” i przy 3 Maja 11 „Grand Kinomatograph”. Dopiero one zostały wyposażone w aparaty umożliwiające ekranową projekcję ruchomych obrazów. Działo się to w 14 lat po tym jak bracia Lumière, w podziemiach paryskiej Grand Café pokazali pierwsze nowoczesnie zmontowane i wyświetlane: „Wyjście robotników z fabryki”, „Wjazd pociągu na dworzec” no i humorystycznego „Polewacza oblanego”. Przypadły do gustu również katowickiej publiczności; zaśmiewała się do łez oklaskując aktorów, reżysera i tapera muzykującego podczas projekcji.

Najstarsze śląskie kino z prawdziwego zdarzenia powstało w pięć lat po inauguracji pokazów mutoskopowych. Było nim „Colosseum” przy 3 Maja 7 otwarte przed Bożym Narodzeniem 1909. Przed jego magicznym ale wciąż jeszcze niemym ekranem zasiadało 400 widzów. Było to medium o największej sile oddziaływania chętnie wykorzystywane dla celów wielkomocarstwowej propagandy Hohenzollernów. Gloryfikowało cesarza, jego dwór, ministrów, potęgę Rzeszy, jej armię i flotę.

Największą widownią, aż dla 1000 entuzjastów filmowych opowieści dysponował „Kammerlichtspiele” Martina Tichauera i Bertolda Kochmanna, wybudowany na parceli przyległej do dworca kolejowego. Doskonale widoczny z okien pociągów przejeżdżających pobliskim wiaduktem stał się wizytówką miasta. Premierowe seanse zaprezentował w styczniu 1913. Do naszych czasów przetrwał jako kino „Rialto”. Prócz amfiteatru publiczność miała do wyboru także miejsca na balkonach a ponadto restaurację z obsługą mówiącą po polsku, winiarnię i piwiarnię. W sąsiedztwie budynku odbywały się seanse plenerowe.

Przy Staromiejskiej 17, od 1909. na seanse X Muzy zapraszało „Apollo”. Jako atrakcja wzbogacała ofertę restauracji i kabaretu. W dwa lata później, na sąsiedniej ulicy Mieleckiego filmy grało też kino „Palast”. Miało 350 miejsc i 3 teatry świetlne, a od dworca kolei górnośląskiej dzieliło je tylko kilkadziesiąt metrów. W długich kolejkach przed kasami biletowymi stawali przybysze z odległych zakątków Śląska a nawet z Zagłębia Dąbrowskiego.

Teatr Miejski – tubą propagandową Pohlmannna

W 1907 nastąpiło uroczyste otwarcie Teatru Miejskiego – najważniejszej i jednej z nielicznych inwestycji zakończonych za magistratury Pohlmannna. Zatwierdzenie projektu i stosowne uchwały rady miejskiej zostały podjęte jeszcze w czasach nadburmistrza Schneidera. Pohlmann traktował budowę po ojcowsku – jak oczko w głowie. No-

wy przybytek kultury, ze swoją 800-osobową widownią nie zdystansował jednak czynnego od 1900 chorzowskiego teatru hrabiego Redena, dysponującego zapleczem hotelowo-restauracyjnym i audytorium na ponad 1000 miejsc. Nie uczynił z Katowic kulturalnej stolicy Górnego Śląska. Katowiczanie woleli pojechać do „Redena” albo pójść do miejscowego kina.

W tym wyścigu Katowice pozostały w tyle za Bytomiem i Gliwicami. Scena miejska musiała się zadowolić pierwszeństwem tuż przed salami teatralnymi dawnego hotelu „De Prusse” oraz Hali Rzeszy. O roli największej niemieckiej ambony propagandowej, jaką świątyni Melpomeny Pohlmann wyznaczył w życiu kulturalnym Katowic, pisałem na wstępie.

Od początku XX wieku przy obecnej ulicy Wojewódzkiej 21 przyjmował gości hotel „Germania”. Należał do katowickich kupców i przemysłowców – Czwiklitzerów. Jego szyld przypominał winietę berlińskiego tygodnika, naczelnego organu „Zentrumspartei”. Wcześniej nosił nazwę „Holtay Hotel”. W okresie międzywojennym w dawnej „Germanii” mieszkali redaktorzy tygodnika „Das Freie Wort”, konspiracyjnie drukowanego naprzeciwko pod 20 u Maksymiliana Chmurkowskiego, gdzie powielano też nielegalne wydawnictwa niemieckich komunistów.

Pod numerem 1 tej ulicy od początku stulecia funkcjonował Deutsches Haus, z restauracją i dancinami, podczas których tancerze wirowali w rytmie wciąż modnego walca. W programie rozrywkowym płaśły striptiserki albo, tak jak w 1911., swoje gabaryty prezentował rosyjski wielkolud liczący 268 cm wzrostu. Wraz z przybytkami innych niekoniecznie apollińskich Muz przy sąsiednich ulicach, okolica uchodziła wtedy za strefę nocnych i towarzyskich uciech. Przy św. Jana spotykali się bracia szlafrafowie, wyszydający i ośmieszający wszystko co w tamtych czasach pachnia-

ło sztaampą, rytuałem i formalizmem, a szczególnie konwencjonalne i napuszone ceremonie farmazonów, którym wtedy w ich świątyni przy Teatralnej 2, przewodniczył nowy mistrz – dr Georg Hoffmann, dyrektor tutejszego gimnazjum. Kpili sobie także z ideowej gorliwości polskich patriotów, przez jakiś czas swoje stowarzyszenie aluzyjnie nazywając „Porta Polonia”.

Rubasznym i niewybrednym zabawom na pełnym luzie oddawali się członkowie klubu Charivari. Parodowali salonowe i koncertowe popisy muzyczne. Najchętniej trawestowali smętne sonaty, serenady i nokturny. Liryiczne „Eine kleine Nachtmusik”, do znudzenia wygrywane podczas kanapowych przyjęć burżujów i filistrów, improwizowali na garnkach i patelniach pomagając sobie blaszaną łyżką albo w miarę możliwości największymi pokrywkami. Publiczność akompaniowała porykując, kwiląc bądź tupiąc nogami. Nie trzeba było wychylać kilku dużych kufli piwa aby poczuć jak „kocidrawelbie”. Niemcy ten rodzaj samopoczucia nazywali katzenjammer.

Natomiast w dwu dostojnych towarzystwach śpiewaczych skupiało się łącznie ponad 140 niemieckich wokalistów. Środowiskowe organizacje mieli strażacy, konstruktorzy maszyn, producenci wyrobów metalowych, związkowcy różnych branż i wyznań, a filie ogólnokrajowych: Liga Morska i Liga Kolonialna.

Jak w kalejdoskopie

W kilka lat później rada miejska składała się z 42 radnych, wśród których – jak podkreślały oficjalne niemieckie informatory – nie było żadnego Polaka. Od 1913. przewodniczył jej Hugo Grünfeld, żydowski przedsiębiorca i mistrz budowlany. Reprezentowa-

ła Katowice liczące już około 42 tysiące mieszkańców. Ponad 6 tysięcy spośród nich za swój język ojczysty uznawało polski, półtora tysiąca polski i niemiecki a wyłącznie niemiecki prawie 37 tysięcy. Około 150 osób deklarowało inne języki. Mieszkańców posługujących się językiem niemieckim było sześciokrotnie więcej.

Inaczej układały się proporcje ze względu na wyznanie. Było to miasto zdecydowanie katolickie. Do Kościoła rzymskiego należało blisko 33 tysiące wyznawców, do ewangelickiego zaledwie dziewięć tysięcy. W synagodze modliło się około trzy tysiące wiernych, a we wspólnotach starokatolickiej i baptyistycznej – niespełna 200 osób.

Jeszcze inaczej katowiczanie podzieliли się podczas wyborów do Reichstagu w 1912. O ich sympatiach politycznych wiele mówią wyniki głosowania. Faworytem okazał się 36-letni Józef Biniszkievicz, polski szewc i restaurator, wydawca i publicysta „Gazety Robotniczej” a także długoletni aktywista Polskiej Partii Socjalistycznej Zaboru Pruskiego (PPS ZP). Ich główny przeciwnik adwokat Hugo Sachs, którego dzieci były wnucami dr. Richarda Holtzego i prawnukami Wilhelma Grundmanna, mistrz filocesarskiej loży masonskiej „zum Licht im Osten”, reprezentujący szowinistyczny Ostmarkverein i kilka innych hakatystycznie zorientowanych organizacji, otrzymał poparcie zaledwie dwu tysięcy wyborców. Półtora tysiąca elektorów oddało głosy na umiarkowaną, katolicką partię „Centrum” reprezentowaną przez sędziego, Hermana Göbela a nieco więcej ponad tysiąc na inż. Gustawa Willigera, pupila przemysłowców górniczo-hutniczych, magnaterii wielkoprzemysłowej i Liberalnej Partii Rzeszy.

Wtedy, nie po raz pierwszy, katowiczanie jednoznacznie wyrazili nieufność wobec konserwatywno-nacjonalistycznego establishmentu szermującego hasłami dyskryminacji narodowościowej. Po raz drugi, imponujące, bardziej masowe lobby wyborcze, tym razem okręgu zabrzańsko-katowickiego jeszcze raz i dobitniej opowiedziało się za polskimi posłami w trakcie wyborów ścisłych. W „dogrywce” – wyłącznie pomiędzy polskimi kandydatami – Sosiński uzyskując poparcie prawie 19 tysięcy wyborców zdystansował Biniszkievicza z niecałymi 13 tysiącami. Runęła zmurszała polityczna koncepcja Grundmanna, Holtzego, Sachsa i Pohlmana – separująca Polaków i eliminująca ich na obrzeża życia publicznego.

U progu wielkiej wojny światowej nazywanej też europejską wojną o wolność narodów 40-tysięczną społeczność Katowic w Reichstagu reprezentował Polak Wojciech Sosiński, w pruskim Landtagu w imieniu katowiczian przemawiał inspektor górniczy Muschalik, radny miejski.



Kinoteatr przy ulicy Wojewódzkiej, 1923.



Teatr Miejski, zbudowany w 1907 r. wg projektu kolońskiego architekta K. Moritza. Od 1922 Teatr Polski. W 1936 r. otrzymał nazwę: Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego.

Słowiańskie korzenie

Miasto przyciągało polskich kupców, drobnych wytwórców, lekarzy, adwokatów i artystów. W 1904. po studiach w Paryżu, Rzymie, Wiedniu i Monachium w Katowicach, przy Mariackiej 4 zamieszkał malarz, rzeźbiarz i medalier Jan Wysocki, z urodzenia myśłowiczanie. Założył tutaj prywatną szkołę sztuk pięknych. Kursy rysunków prowadził w polskich gimnazjach w Sosnowcu i Bytomiu. Na wystawach w Monachium i Paryżu jego wystawowe numizmaty wysoko oceniali Europejczycy krytycy sztuki, koneserzy i hobbisi.

Wysoką ocenę mieszkańców zyskały usługi polskich medyków. Leczyli tu wystarczająco długo aby zyskać zaufanie, wdzięczność i popularność wśród pacjentów; stażem i doświadczeniem wyróżniali się: pediatra dr Śmierchalński i dentysta dr Okulicz. Do najbardziej znanych należały gabinety: laryngologiczny dr. Ildefonsa Miecznikowicza – 3 Maja 5, chorób kobiecych dr. Andrzeja Mieleckiego – Warszawska 8, okulisty dr. Kazimierza Trzebiatowskiego – Staromiejska 8; dentystyczny dr. Stanisława Rożanowicza – Warszawska 5.

Liczną klientelę miała Kancelaria adwokacka dr. Zygmunta Seydy otwarta w 1903. Najpierw mieściła się przy Słowackiego 16, a potem przy Matejki 5. Zasłynął z płomiennych przemówień na wiecach politycznych, podczas któ-

rych występował w obronie praw obywatelskich Polaków i ostro krytykował dyskryminacyjną politykę kajzerowskich Niemiec. Był solą w oku Pohlmana, pruskich sędziów i prokuratorów, którzy na kilka tygodni zamknęli go w więzieniu.

Prócz polskojęzycznych robotników i włościan, w Katowicach mieszkających od pokoleń, do pracy garnęło się setki polskich gąstarbeiterów emigrujących z terenów zabrzanych Polsce przez Austrię i Rosję.

Przy głównych ulicach Śródmieścia ulokowały się sklepy, warsztaty rzemieślnicze, banki i kancelarie adwokackie prowadzone przez Polaków. Niemcy chętnie korzystali z ich tańszych usług ale strofowali gdy mistrz, lekarz lub adwokat odezwał się po polsku.

Spośród rzemieślniczych salonów do najbardziej znanych należały: krawiecki Antoniego Szymkowiaka, przy Andrzeja 2 oraz Wojciecha Słowinskiego, przy Dyrekcyjnej 4; pracownia i salon zegarmistrzowski Stanisława Beszczyńskiego, przy Staromiejskiej 15. Każdy z nich aktywnie uczestniczył w życiu towarzyskim i społecznym katowickiej polonii. Beszczyński był też bibliofilem i kolporterem polskiej literatury.

Na krawędzi stuleci przy Staromiejskiej 5 Wojciech Biela prowadził restaurację „Ledderbrau”. To u niego, w niedzielę 1 czerwca 1902. po powrocie Wojtka Korfantego z za więziennych krat we Wronkach, redakcyjni koledzy z „Górno-

ślązaka” zamówili powitalną kolację. Po kilku latach Biela przeniósł swój lokal do nowej kamienicy przy Mickiewicza 8. Nad wejściem do jego dawnej restauracji przy Staromiejskiej, kolejny właściciel zawiesił szyld „Varsovia”. Nazwa, wbrew przypuszczeniom nie miała nic wspólnego ze stolicą Królestwa Polskiego. Rekomendowała stolicę „Kraju Prywislanskiego”. Oferowała petersburskie i moskiewskie smakołyki a szczególnie czekoladę po rosyjsku. W mentalności przeciętnego Prusaka utrwałała stereotyp Polaków – narodu bezdomnego, który swoje państwo roztrwonil, przepił bądź przegrał w karty. W latach Polski Ludowej mieściła się tam księgarnia z literaturą radziecką.

Do często odwiedzanych należał sklep delikatesowy Stefana Nowickiego przy Warszawskiej 28 (Kolonialwaren-, Delikatessen-, Wein und Zigarretten-Handlung). Klienci twierdzili, że tutaj towar jest lepszy i tańszy niż u Borinskiego. Dobrą markę miała pachnąca tytoniem i cygarami trafika Ignacego Malczewskiego, przy Dyrekcyjnej 6. Polacy starszej daty pamiętali, że to tutaj, w czasach powstania styczniowego mieszkał i zajmował się konspiracją Stanisław Maciejewski, legendarny agent z Katowic.

Zdjęcia obiektów pochodzą z publikacji Lecha Szarańca „Katowice w dawnej i współczesnej fotografii”. Wyd. Muzeum Śląskie Katowice 2003.



Skarby ukryte w kazalnicy

Po raz pierwszy z burzliwymi dziejami karet paradnych króla Jana III Sobieskiego spotkałem się w 1983 roku w 300. rocznicę Wiktorii Wiedeńskiej. O ambonie w Radaczu obudowanej malowidłami i rzeźbami z owych legendarnych powozów, nie mniej fascynującej historii obecnego kościoła pw. św. Maksymiliana Kolbego i dalszych losach olśniewającego dzieła sztuki pisali reporterzy popularnego wówczas tygodnika „Katolik”.

Jak to się stało, że z fragmentów królewskich powozów zbudowano ambonę w kościółku na pomorskiej wsi? Po śmierci króla Jana III Sobieskiego karety trafiły z Wilanowa do Oławy, wraz ze spadkiem dla królewicza Jakuba Ludwika. Potem znalazły się w rękach pruskiego generała Henninga Aleksandra von Kleista (czy je dostał czy skradł – o to niechaj dalej spierają się historycy) i on je wykorzystał do konstrukcji ambony w protestanckiej kaplicy w Radaczu (w połowie XVIII w.). Niektóre elementy zostały przemalowane, np. symbole i napisy, by głosić sławę i chwałę generała, a nie polskiego króla. **Świeckim malowidłem, bez najmniejszych problemów, przypisano treść sakralną.** Karoce „ukryte” w kazalnicy przetrwały w małym kościółku aż do końca II wojny światowej, czyli ponad 200 lat. Działania wojsk radzieckich uszkodziły dach świątyni. Zabytkowa ambona została przewieziona do Szczecinka, stamtąd trafiła do Słupska, nazywana była „Wozem triumfalnym Jana III Sobieskiego”, którym wjechał po zwycięstwie nad Turkami do Wiednia. Dzisiaj wiemy, że królewska kareta powstała nieco później.

Na niezwykle zabytek zwróciła uwagę znawczyni pojazdów konnych dr Teresa Żurawska z Muzeum Zamku w Łańcutcie. Odkryła w ambonie części karet z inicjałami króla i królowej. Dzięki temu mogły powrócić do Wilanowa. Po raz pierwszy zrekonstruowane powozy zostały zaprezentowane w Muzeum Pałacu w Wilanowie dopiero w 2003 roku stając się artystycznym wydarzeniem na europejską skalę.

Po latach starań udało się dyrektorowi Muzeum Zamkowego w Pszczynie Maciejowi Klussowi sprowadzić karety Sobieskich (króla Jana i oczywiście królowej Marysieńki) do Pszczyny i możemy zachwycać się ich bezdyskusyjnym pięknem w miejscu idealnie pasującym na tego typu ekspozycję – w powozowni słynnych już Stajni Książęcych. W piątek, 8 maja 2015 r. odbyło się uroczyste otwarcie wystawy czasowej „W purpurze i złocie. Karety paradne króla Jana III Sobieskiego” prezentującej zachowane w zbiorach Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie fragmenty karety triumfalnej Jana III oraz dwóch karet paradnych Jana III i Marii Kazimiery. Pozostałości karet umieszczono w ich pierwotnych miejscach na specjalnie przygotowanych stelażach zbudowanych w formie pudel XVII-wiecznych pojazdów typu francuskiego. Jak opowiadał kurator pszczyńskiej wystawy Jan Gałaszek, karety przyjechały do Pszczyny zdemontowane – bezpieczniej jest je tak właśnie przewozić. W Pszczynie poskładali je pracownicy Muzeum w Wilanowie. Zarejestrowano to na filmie, który można obejrzeć na wystawie.

Czym były w swojej epoce karety paradne? Wcale nie musiały być wygodne, gdyż raczej nie służyły do dalekich podróży. Świadczyły za to o wielkości i bogactwie władcy. Jak piszą twórcy wystawy barok rozmiłowany był w teatralnych gestach i wszelkiej pompie. Uroczystości dworu królewskiego były najlepszą drogą do prezentacji przepychu i tym samym służyły budzeniu najwyższego szacunku wśród ludu. Ulubionymi widowiskami były właśnie ceremonialne wjazdy z okazji koronacji, legacji poselstw, wizytacji miast, królewskich ślubów, pogrzbów, czy triumfów po odniesionych zwycięstwach. Kulminacją uroczystych parad były przejazdy królewskich karet, ciągniętych przez sześciokonne zaprzęgi. Podobnie jak tron, pojazdy te stanowiły godną oprawę osoby monarchy, wyróżniały się wielkością, bogactwem dekoracji, sprawały na obserwatorach niezapomniane

wrażenie. Ich wygląd był uwieczniany na obrazach, rycinach, opowieści o nich krążyły przez lata, przekazywano je z pokolenia na pokolenie. Dzisiaj powiedzielibyśmy, że odegrały wielką rolę propagandową.

Parę słów o eksponowanych na wystawie karetach. Dzięki sposobowi prezentacji możemy sobie wyobrazić jak naprawdę wyglądały. Kareta króla Jana (ok. 1692 r.), typ francuski, wykonana była z orzecha, powierzchnię pudła miała rzeźbioną. Niestety, niewiele elementów się zachowało – ocalał tylko jeden fragment złoconego gzymsu i jedna listewka. Autorstwo pięknych malowideł przypisuje się Jerzemu Eleuterowi Siemiginowskiemu (Szymonowiczowi) i chociaż zostały nieudolnie poprzycinane przy zamianie powozu na ambonę budzą podziw i ogromny szacunek dla naszych dziejów. Kareta królowej Marii Kazimiery (Francja, także ok. 1692 r.) to również typ karety francuskiej. Zachowane fragmenty wykonane są z wiązu. Dotrwały do naszych czasów 22 części dekoracji godne zainteresowania, o trzecim powozie nie napiszę. Być może jest to wspólna kareta pary królewskiej. Musicie to sprawdzić sami! Nie zapomnijcie, że historycy też miewają z tym problem, o czym po raz kolejny przekonałem się sięgając do naukowych opracowań.

Wystawę wilanowskich cacek **uzupełniają ekspozyty ze zbiorów Zamku Królewskiego na Wawelu oraz z kolekcji Muzeum Zamkowego w Pszczynie.** Są tu portrety przedstawiające króla Jana III Sobieskiego i członków jego rodziny.

Dla rozładowania poważnej atmosfery na końcu sali wystawowej ustawiono zabytkowe kufry i walizy oraz XIX-wieczną podróżną przenośną toaletę. „Urządzenie niezbędne” w powozach szczególnie ważnych podróżnych – jak to określił kurator wystawy „W purpurze i złocie. Karety paradne króla Jana III Sobieskiego”. Ekspozycję będzie można podziwiać do końca roku. Nie można przegapić okazji poruszającego wyobraźnię spotkania z historią.

WITOLD KOCIŃSKI



Podczas zwiedzania wystawy można oglądać film z przygotowania ekspozycji.



Wernisaż w Stajniach Książęcych odbył się 8 maja 2015 r.

Zdjęcia: Witold Kociński



Scena narodzin herosa. Płyцина prawych drzwi karety „Osobistej Jana III”



Herkules walczący z hydrą. Scena dekorująca drzwiczki karety „Triumfalnej”



Malowidło z monogramem MC zdobiące prawe drzwiczki karety „Osobistej Marii Kazimiery”

Stajnie Książęce
W PURPURZE
I ZŁOCIE



Fragment karety „Osobistej Marii Kazimiery”

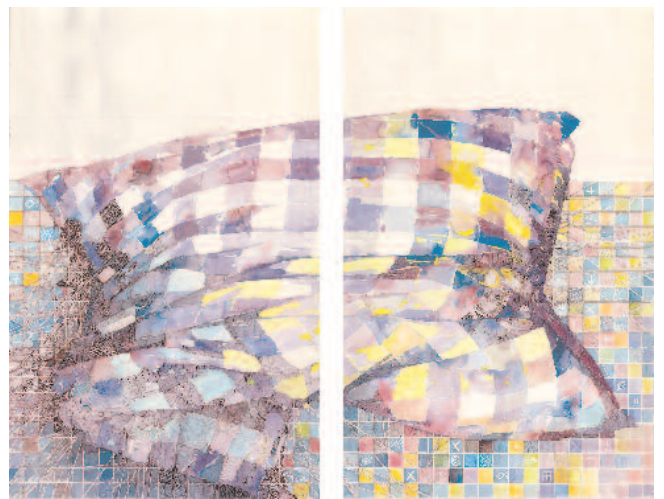


Zatrybianie, olej, 120x240



Oko opatrności, olej, 120x120

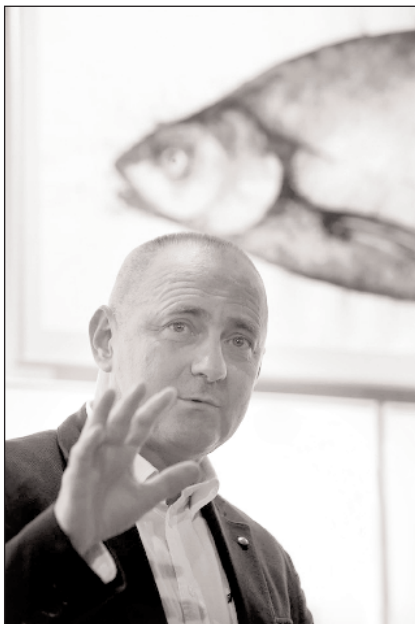
WOJTEK ŁUKA



Z cyklu Sny, Poduszka, akwarela, 100x140



Z cyklu Pejzaż miejski, Drzewo V, olej, 120x240



Obrazosłowa i słowoobrazy Wojtka Łuki

WIESŁAWA KONOPELSKA

Są takie wiersze, które się zapamiętuje – niekoniecznie by je cytować z pamięci, ale ich atmosferę, przesłanie, słowo, na pewno autora. Są też rysunki, które się zapamiętuje, a towarzyszą bądź uzupełniają, albo naddają myśl, wplatają się między słowa, dokładają nowe – to nienazwane słowa, nienazwane meandry duszy czy rozumu. Tak współlistnieją słowa i obrazy. Słowa autorów wierszy i prozy zapisywane przez 20 lat na łamach „Słaska” – setki, tysiące słów. I rysunki stawiane obok, pomiędzy – też przez 20 lat – przez Wojtkę Łukę. Czyta i rysuje. Starając się uchwycić znaczenie, sens. Wyćwiczył się w tej sztuce dodawania obrazu do słowa, „Charakterystyczna kreska składana w LOS. „Oto moja interpretacja słowa” – zdaje się mówić autor rysunków. „Oto moja inspiracja słowem układająca się w obraz”. Tysiące rysunków powstałych do słów – także tych zawartych w wielu poetyckich tomikach.

Wojtek Łuka od czasu ukończenia studiów na Wydziale Grafiki w Katowicach Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie związany był z wydawnictwami prasowymi. Dwadzieścia lat temu rozpoczął współpracę ze „Słaskiem”. Postanowił zaakcentować swoje 30-lecie pracy twórczej. I to dwoma wystawami: jedna z nich powstała w Instytucie Mikołowskim

z okazji Roku Rafała Wojaczka. Prezentował tam grafiki do wierszy publikowanych na łamach „Słaska”. Zatem była to okazja nie tylko do przeglądu prac Łuki, ale także przypomnienia wielu znakomych autorów, którzy pojawili się w „Słasku”. Taki też powstał katalog do wystawy: „Wiersze i obrazy”. Trudno oczywiście pokazać wszystkie prace i poetyckie i graficzne, ale przy okazji powstał kolejny tom – wybór wierszy i wybór rysunków. Spotykają się po latach w innym kontekście, ale wciąż te same, bo zasty-

uwzględnia owe tropy i raczej wiersza, starając się za każdym razem wydobyć najbardziej newralgiczne w nim miejsca i przedstawić je tak, ażeby – przybrawszy figurowaną postać – zawierały w sobie nierzadko dramatyczne napięcie, wydobyte lub wydłubane z punktów zwrotnych lub przełomowych poetyckiej narracji”. Tyle poeta.

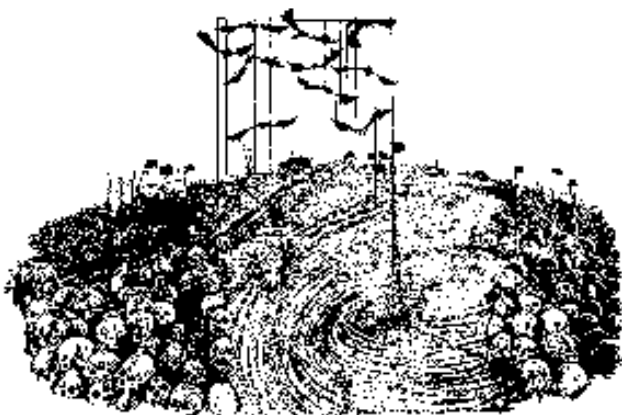
Zdarza się i tak, że najpierw zapamiętujemy rysunek – czasem kontrowersyjny, albo wyjątkowy pod względem niosącej treści, a dopiero w drugiej kolejności

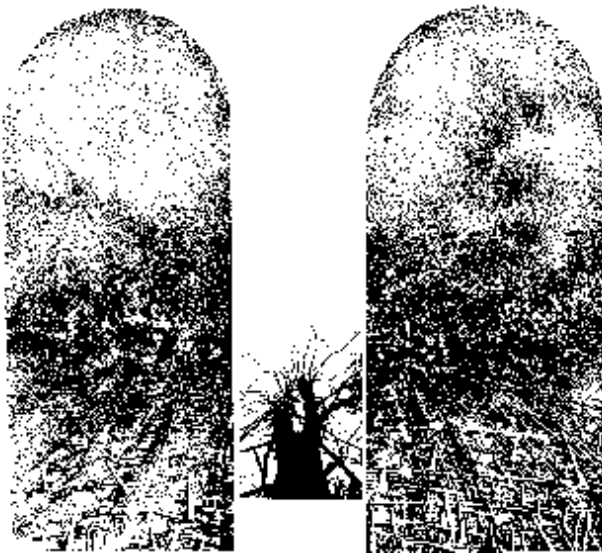
Żeby dokonywać takich obrazowych interpretacji potrzebne jest ogromne wyczulenie na brzmienie słowa, posiadanie swego rodzaju unikalnego sluchu na słowo, które jak dźwięk muzyczny dobija się do wyobraźni artysty, na sens przez nie niesiony i na kontekst, w jakim się pojawia.

głe na stronicach „Słaska”, do którego pierwotnie były przeznaczone. Oczywiście, że rysunki i wiersze istnieją niezależnie od siebie, bo są bytami rozłącznymi. To rysunek powstawał do wiersza, a nie odwrotnie. Jednak ich współlistnienie, kojarzenie jednego z drugim stało się nierozłączne. Maciej Melecki – poeta, autor słowa wstępnego do katalogu swoistego tomu poetyckiego, zauważa, że „Wojciech Łuka w swoich grafikach absolutnie

przypominamy sobie autora wiersza czy prozy.

Wojtek Łuka wypracował swój własny styl tych ilustracji – choć, to słowo oczywiście nie oddaje istoty współlistnienia. Uczłowieczone przedmioty i człowiek uprzedmiotowiony, czasem sprowadzany do roli reproduktora, z dramatycznym odniesieniem do jego istnienia w świecie, w relacjach z drugim człowiekiem. Kobieta – rodzicielka, obiekt „operacji” seksu-





alnych, mężczyzna – samiec spełniający wyłącznie swą atawistyczną rolę życiową. Rysunki często ociekające cierpieniem, koszmarem dramatycznych doznań wynikających z relacji międzyludzkich i niemożności zmiany. W twórczości Łuki nie ma postaci nijakich, obojętnych, wszystko przenicowane jest swoiście rozumianą brutalnością, agresją, jednoznacznością. Takie przedstawienie świata czasem budzi sprzeciw, ale trudno nie przyznać mu racji.

Zestawiając słowo i obraz czytelnik otrzymuje trzecią wartość, często zaskakującą, podążającą czasem w zgoła odmiennym kierunku niż zamysł autora utworów poetyckich czy prozatorskich.

Dwie wyobraźnie – artyści słowa i artyści obrazu przecinają się, dodają bądź kontrastują ze sobą. Łuka nadbudowuje obraz nad słowo, które stapiają się, tworząc wyjątkową jednię. Żeby dokonywać takich obrazowych interpretacji potrzebne jest ogromne wyczerzenie na brzmienie słowa, posiadanie swego rodzaju unikalnego sluchu na słowo, które jak dźwięk muzyczny dobija się do wyobraźni artysty, na sens przez nie niesiony i na kontekst, w jakim się pojawia. To doświadczenie wielu lat obcowania ze słowem artystycznym, jakże często najwyższych lotów.

W całej twórczości Wojtka Łuki ja najbardziej cenię właśnie te prace. Wiele spośród nich utkwiło gdzieś w podświadomości i są kojarzone z konkretnym wierszem lub prozą.

Na dalszym planie sytuuje wszystkie pozostałe – zarówno rysunki, grafiki jak i akwarele. Dlaczego? Po pierwsze: tak zwane ilustrowanie poezji czy prozy nie sprowadza się u Łuki do odczytania wprost, do tworzenia „przerywników” graficznych. Słowo staje się jedynie inspiracją. Kształtuje on swoją obrazową metaforę na kształt poety dobierającego słowa, poszukującego sensu w stawianiu znaków graficznych łączonych

w słowa. Po drugie: graficzną interpretację utworu posiadał Wojtek Łuka w stopniu znakomitym.

Wojtek Łuka w „rysowaniu poezji i prozy” jest artystą absolutnie wyjątkowym. Dobiera postać, kreskę, animalizuje rzeczy martwe nadając im cech ludzkich. Charakterystyczne dramatyczne sylwetki, czasem ledwo zaznaczone, a czasem nabuzowane jakąś pierwotną energią, bądź zwyczajną biologią splatają się w symbole, tworzą korowody ludzkich ułomności bądź manifestują dramatyczne doznania i doświadczenia. Ciosane z tej samej materii, wplatanie w machiny życia i śmierci dokonują nadludzkiego wysiłku, by ciągle pozostać CZŁOWIEKIEM.

Nie ma w graficznej, ale też i malarzkiej twórczości Wojtka Łuki entourage'u świata symbolicznego, nie korzysta on z arsenału znaków i znaczeń. Tu jest dosłowność, swoiście rozumiane piękno, jakaś nerwowość i brutalność – to są fragmenty świata rzeczywistego, a do nich należy człowiek, zwierzę, ich emocje i relacje. Nie ma wysublimowanego przekazu, który jest wyraziście jednoznaczny i nieinterpretowalny. Słowo i obraz je przekazujący nie zawsze muszą znaczyć to samo.

Takie rysunki i grafiki mogą powstać na niewielkim kawałku papieru, stając

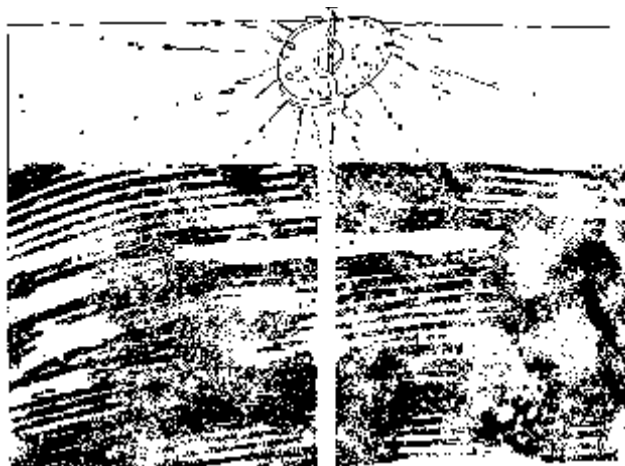
się zapisem pierwszego wrażenia, pierwszej myśli.

Druga wystawa powstała na zaproszenie galerii „Obok” w rodzinnych Tykach. To malarstwo i grafika. Rozrzuca się Wojtek Łuka w tych swoich obrazach malarskich, w których przenikają się wpływy jego mistrza – Jerzego Dudy-Gracza z jego własnym rozumieniem malarstwa. Kolory zaczynają grać swoje role, a symbol zostaje poddany interpretacji. Prace zyskują znacznie większe formaty, stają się rozmalowane, rozświetlone, wręcz pulsują jasnością. Są obrazami do oglądania, do poszukiwania detalu i tajemnicy, do interpretacji tego co wynika z jednej, drugiej i trzeciej pracy w tym, a nie innym zestawieniu. Stojące na drugim krańcu jego twórczości rysunki do prozy i poezji są uderzeniem, ciosem zadaniem słowu, nie pozostawiającym pola do dyskusji. W obrazach malarskich sporo jest odcieni jaskrawej żółci, czerwieni, pojawia się intensywna zieleń, granat... jest łagodność, która może uspić czujność oglądającego – są jakby rekompensatą świata kartki, piórka i słowa.

* * *

Nielatwo jest pisać, po raz kolejny zresztą, o twórczości kogoś, z kim współpracuje się na co dzień, rozmawia i omawia często cudze graficzne rozwiązania. Jednak cała przyjemność pisania o tym

artystycznym przypadku (a „przypadek” to Wojtek Łuka) polega na zebraniu od czasu do czasu w jednym miejscu i pokazaniu całego spektrum jego twórczości. Wtedy okazuje się, że znając się tyle lat, tak naprawdę niewiele o sobie wiemy. I to jest najwspanialsze. Zaskoczenie nowym jest zawsze fascynujące, niemniejszym niż zobaczenie, jak „radzą” sobie prace wyjęte z poetycko-prozatorskiego kontekstu, kiedy stają się innym, niezależnym bytem.



O kres letnich wakacji to ciężki czas dla felietonisty. Poważnych rzeczy (ale czy tu się pisze o poważnych rzeczach?) nikomu nie chce się czytać, a relacjonowanie wacacyjnych ekscesów rodaków to zajęcie tyleż nudne, co jałowe. Pozostaje pogoda, ale jest przecież jaka jest, każdy widzi, a jaka będzie, każdy zobaczy. *Sooner or later*, jak śpiewa Sting. Lato to także czas muzykowania na świeżym powietrzu, co nasuwa mi myśl, nawet niekoniecznie odkrywczą, że estrada rockowa nam się ostatnio rozpolitykowała, co zaowocowało kandydatem na prezydenta i Bóg wie na co jeszcze. Muszę jednak zauważyć, że nie rozumiem zdziwienia sporej części mediów i publiki. Taki Sonny Bono, ex-mąż Cher, jeszcze w siedemdziesiątych latach niestusznego stulecia wspinał się na fotel najpierw burmistrza Palm Springs, a potem kongresmena. A w ogóle to polityka zaczęła przenikać do rocka już w latach sześćdziesiątych, choć głównie na takiej zasadzie, iż niektóre zespoły i wykonawcy krytykowali tzw. rzeczywistość zastaną. Nawet Elvis Presley nie wytrzymał nerwowo i w 1969 roku nagrał „In The Ghetto.” Neil Young boczy się na Amerykę do dziś, a John Lennon określał siebie jako instynktownego socjalistę, który jednak nie wierzył w rewolucję. To tylko kilka przykładów z całkiem sporej grupy. Sądzę zatem, że na koncertach rockowych, które latem odbywają się w wielkiej obfitości, czeka nas sporo polityki, a w każdym razie cierpkich uwag na jej temat, a także na temat osób, które ją uprawiają. Młode pokolenie przekonało się, że jego głos coś znaczy, choć zapewne jeszcze dokładnie nie wie, co. Jakie będą rezultaty, tego dokładnie nie wiadomo. Jedni wieszczą głęboką zmianę pokoleniową w tej branży, inni zalecają spokój, w nadziei albo i w beznadziei, że wszystko wróci na swoje tory. Słowo rewolucja w każdym razie powtarzane jest dość często. Warto jednak pamiętać, iż zdolni manipulanci nie śpią, a ich hasłem było, jest i zapewne będzie, że trzeba wiele zmienić, by nic się nie zmieniło. Nie wykluczone zatem, że dzisiejsi bohaterowie jutro staną u stóp gilotyny, metaforycznej, rzecz jasna. Prawdziwa, wypróbowana podczas rewolucji we Francji, miała to do siebie, że pozabawiała polityka możliwości powrotu do uprawianego procederu. Ta metaforyczna niekoniecznie.

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Śpiewają, bo muszą

Tak czy inaczej, to temat już na jesień, a mamy, jakby nie było dopiero lipiec. Pozostaniemy więc przy muzyce, a raczej szeroko pojętej rozrywce. Reanimowany z wielkim wysiłkiem oraz nakładem sił i środków festiwal uważany za święto polskiej muzyki rozrywkowej mamy już za sobą. Coś tam przypomniał, coś wylansował i można uznać, iż spełnił swoje zadanie. Krytycy i obserwatorzy trochę pożałowywali ręce, kogoś dostrzegli, patrząc na sprawę w najogólniejszych kategoriach określili aktualny stan polskiej piosenki, który, gdyby owa dama trafiła do szpitala, lekarze zdiagnozowałiby jako poważny ale stabilny. Niedawno słyszałem w radiu wypowiedź pewnego muzyka o zacięciu satyrycznym, który stwierdził, iż obecnie w Polsce może około osiemnastu wykonawców ma wystarczające warunki, by występować na żywo, natomiast pozostali zbriliby rozsądnie ograniczając się do działalności studyjnej. Nazwisk przezornie nie wymienił. Napisane jednak jest: kto ma uszy, niechaj słucha. I pięknie, tyle że to czasem boli. Muszę też uczciwie się przyznać, że choć niektóre wyjścia z jaskiń niektórych tzw. dinozaurów uważam za zbyt cenne, to wiele tych powrotów, choćby tylko na radiową antenę, do pewnego stopnia zmieniło pogląd na rodzimą twórczość piosenkarską, którą dawnymi czasy skłonny byłem uważać za zjawisko drugo albo i trzeciorzędne w stosunku do rocka, przede wszystkim zagranicznego, ale także krajowego. Dziś słuchając bez emocji ale za to z pewną dozą łagodności, wynikającą być

może także z sentymentu, zaczynam dostrzegać (lepiej późno, niż wcale) talent, warsztat i świeżość pomysłów. Zwłaszcza na tle niektórych współczesnych produkcji.

Lato sprzyja także zjawisku kompletnie niezauważanemu przez profesjonalną muzyczną krytykę – mianowicie zwiększonej aktywności ulicznych grajków. Katowice są w tej dziedzinie dość ubogie, ale nie są przecież pustynią. – Mamy przecież NOSPR i Filharmonię – powie ktoś przekorny. – Oczywiście – spieszę z odpowiedzią. – Mamy jak najbardziej. A jednak gdy przypomnę sobie genialnego beznogiego skrzypka z ulicy Floriańskiej w Krakowie, Stefana Dymitera, to jednak mi żal. Nie chodzi już o to, że z wielką uwagą słuchał go Jan Nowicki, a ponoć i sam Yehudi Menuhin pochylił się nad jego grą podczas wizyty w Krakowie. Rzecz w tym, że miasto bez żywej muzyki na ulicy jest tylko na wpół żywe. Ulica jest jakby bez duszy. Ale czy ulica musi mieć duszę? Wielu uważa, iż wystarczy w miarę równe chodniki. Być może mają rację. Inni uważają, że ci goście po prostu rzepołą. Także być może mają rację. Niektórzy rzeczywiście rzepołą. Gorzej, że aby tchnąć duszę w coś, co jej nie ma, trzeba mieć coś, czego większość ludzi nie posiada.

I tu znów, jak temu wachmistrzowi od ułanów, nasuwa mi się skojarzenie natrętne: niektórzy uliczni grajkowie zaczynają na ulicy, a potem trafiają na salony. Jakoś tam sobie radzą, bo tym, co ich niesie jest muzyka. Politycy często zaczynają podobnie. Jednak kiedy trafiają na salony, myślą tylko o tym, by tam pozostać. A kiedy przyjrzeć się temu, co ich tam wyniosło, miałoby się ochotę pójść posłuchać najgorszego ulicznego grajka. Nawet wycie ulicznego śpiewaka brzmi w porównaniu z ich mowami jak anielska muzyka. A jednak myślimy sobie: nie daj Boże, żeby wrócili na ulicę. Korzystajmy więc z kanikuły i słuchajmy muzyki, gdzie tylko nam się zdarzy. W moich Górkach mam jeszcze ten luksus, że mogę, z braku muzyki, posłuchać śpiewu ptaków, nawet takich, których nie potrafiłbym nazwać. Mam jednak stale na uwadze to, że ptaki niebawem umilkną. Nadejdzie jesień i zabrzmi chóralna pieśń tych, co nie potrafią nie fałszować. Dlaczego więc śpiewają? Bo muszą, albo tak im się w każdym razie wydaje.



W pierwszych dniach czerwca przed siedzibą Teatru Dzieci Zagłębia manifestowali swoje poparcie dla zespołu przedstawiciele niemal wszystkich środowisk artystycznych regionu.

Jubilata trzeba dopieszczać

MARIA SZUKA

Aglomeracja śląska liczy blisko 5 milionów mieszkańców (dokładnie 4,59 mln, dane z 2014 r.) w tym ponad 800 tys. (17 proc.) stanowią dzieci i młodzież do 17 roku życia. Edukację teatralną tej ogromnej rzeszy małaolątów zapewniają trzy teatry dziecięce: „Baniałuka” w Bielsku-Białej, „Ateneum” w Katowicach i Teatr Dzieci Zagłębia w Będzinie. Jak na potęgę kulturalną, do której pretenduje region, trzeba przyznać, że nie jest to liczba imponująca a raczej stanowi niezbędne minimum, zważywszy, że na dorosłych widzów czeka ponad dwadzieścia scen dramatycznych i instytucji muzycznych, siedemdziesiąt muzeów i galerii sztuki, kilkadziesiąt kin. Jak ważne jest obcowanie z teatrem od najmłodszych lat, jak istotną rolę odgrywa przygotowanie wrażliwego, świadomego widza wiedział najlepiej „Czarodziej z Będzina” wizjoner Jan Dorman, twórca i patron TDZ. Przywoływanie tych oczywistych faktów nie wynika ze zbliżającej się w tym roku 70. rocznicy powstania Teatru Dzieci Zagłębia ale... groźby zamknięcia tej jedynej w Zagłębiu sceny dla dzieci. Sceny, którą rocznie odwiedza pięćdziesiąt tysięcy widzów.

Początek dreszczowca

Już pod koniec ubiegłego roku pojawiły się niepokojące sygnały. W przygotowanym w starostwie budżecie dotacja dla teatru została obcięta o połowę. Przypomnijmy, że na mocy umowy zawartej 1 lutego z 1999 r. Miasto Będzin zobowiązało się do pokrywania 55 proc. kosztów utrzymania teatru, 45 proc. spoczęło na barkach powiatu będzińskiego. Nie jest tajemnicą, że teatralna chluba Zagłębia jest jedną z najbiedniejszych scen w kraju, roczna dotacja wynosi zaledwie 1 700 000 zł, gdyby nie środki uzyskane z różnego typu grantów (w tym sezonie zespół zdobył dofinansowanie aż dla 15 projektów), zapewne nie byłoby blisko 300 spektakli rocznie, warsztatów i lekcji teatralnych, spektakli w tłumaczeniu na język migowy dla dzieci niedosłyszących, konkursów plastycznych i wielu innych cennych inicjatyw.

W lutym spór rozgorzał na dobre. Starostwo w umowie sprzed 16 lat dopatrzyło się nieprawidłowości, zdaniem prawników zarządu zabrakło zatwierdzenia umowy przez ówczesną radę powia-

tu. To wystarczyło, aby zaprzestać współfinansowania będzińskiej sceny. Nie było już na co czekać. Ruszyła batalia. Dyrektor TDZ Gabriel Gietzky wystosował list otwarty, poszły zawiadomienia o sytuacji do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Instytutu Teatralnego, prezydenta RP, Związku Artystów Scen Polskich. W całym środowisku teatralnym regionu zawrzało.

Wiele obiecywano sobie po spotkaniu, które odbyło się 28 kwietnia w gmachu Śląskiego Urzędu Wojewódzkiego. Jego inicjatorem był Olgierd Łukaszewicz, prezes ZASP. Przy stole obrad zasiadli m. in. wojewoda śląski Piotr Litwa, zastępca dyrektora Wydziału Nadzoru Prawnego Urzędu Wojewódzkiego Iwona Andruszkiewicz, ekspert ds. Kultury, przewodnicząca Stowarzyszenia Dyrektorów Teatrów Śląskich dr Łucja Ginko a także prezydent Będzina Łukasz Komoniewski, starosta będziński Arkadiusz Watoła i dyrektor Teatru Dzieci Zagłębia Gabriel Gietzky. Efekty rozmowy napawały optymizmem. Starosta wycofał się z obalania „ułamnej” umowy, przyjął do wiadomości interpretację prawną, w myśl której współfinansowanie Teatru Dzieci Zagłębia stanowi zadanie własne powiatu, w związku z czym ratyfikacja tego dokumentu i akceptacja rady powiatu nie jest potrzebna. Starosta zobowiązał się także do jak najszybszego przedstawienia sprawy członkom zarządu oraz przekazania zaległego i bieżącego dofinansowania teatrowi.

Druzgocąca uchwała

Ułga nie trwała jednak długo. Dwa tygodnie później, 12 maja Zarząd Powiatu Będzińskiego podjął uchwałę (nr 92/15) o rozwiązaniu umowy z 1999 roku pomiędzy starostwem a gminą Będzin na współprowadzenie i współfinansowanie Teatru Dzieci Zagłębia. Radcy prawni starostwa podważali bowiem opinię prawników Nadzoru Prawnego Urzędu Wojewódzkiego i Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Jedyntym źródłem powiadającym o tej decyzji był Biuletyn Informacji Publicznej starostwa. Dziwić może fakt, że gospodarska dbałość o kasę starostwa i trzymanie się litery prawa, na którą powoływali się członkowie zarządu nie podsunęła nikomu myśli, aby domagać się zwrotu wypłacanych przez 16 lat teatrowi nienależnych mu, zdaniem prawników starostwa, środków. Nie wiedzieć także czemu, nie pojawiła się także propozycja naprawienia „ułamnej” umowy.

Po kolejnej odmowie realizacji ustaleń zawartych w umowie z 1999 r. w mieście i Internecie pojawiła się klepsydra zawiadamiająca o agonii Teatru im. Jana Dormana w Będzinie. W pierwszych dniach czerwca przed siedzibą placówki zgromadził się niebawym tłum. Gdyby nie powód – kolejny akt dramatu TDZ – dla łowców autografów byłaby to niebawyma gratka. Olgierd Łukaszewicz, Sławomir Pietras, nie-

mal wszyscy dyrektorzy teatrów dramatycznych w regionie, aktorzy scen śląskich i zagłębiowskich od Gliwic po Częstochowę, Michał Rosiński, były dyrektorem Teatru Dzieci Zagłębia... Tym razem inicjatorką spotkania, na które zaproszono członków zarządu powiatu i władze miejskie Będzina była Ewa Leśniak, aktorka Teatru Śląskiego w Katowicach, wiceprezes Związku Artystów Scen Polskich, prezes oddziału ZASP Katowicach. Znow powiało optymizmem. Starosta bowiem przybył z nową propozycją, która miała położyć kres sporowi i zapewnić zmęczonemu groźbą likwidacji zespołowi, wyczekiwaną stabilizację. Nadzieje okazały się jednak płonne. Reprezentujący zarząd powiatu starosta Arkadiusz Watoła i skarbnik zarządu powiatu Tomasz Zydek zapewniając, że teatr leży im głęboko na sercu i nikomu w starostwie przez myśl nie przeszło likwidowanie tej znacznej i zasłużonej placówki jednocześnie uparcie obstawali przy trzymaniu się litery prawa, która nie pozwala im realizować „ułamnej” umowy. Spotkanie było żenujące, ponieważ żadne argumenty, powoływanie się na wcześniejsze ustalenia nie odnosiły oczekiwanego skutku. Starostwo zobowiązywało się jedynie do wsparcia finansowego, w kwocie odbiegającej od wysokości dotychczasowych dotacji. Determinację zespołu wspierali przedstawiciele ZASP, były dyrektor Teatru Wielkiego: w Łodzi, Poznaniu, Warszawie, honorowy obywatel Będzina Sławomir Pietras a także niezwykle rzeczowo i merytorycznie prezydent miasta Łukasz Komoniewski. To właśnie wóldar Będzina nie zgodził się na podpisanie tymczasowego porozumienia, sprowadzającego rolę starostwa do roli niemal sponsora, który jak wiadomo w zależności od posiadanych finansów, mógłby wspierać teatr kwotami różnej wysokości, nieregularnymi datkami. Pewnie rozmowy zakończyłyby się całkowitym fiaskiem... gdyby nie zimna krew Olgierda Łukaszewicza, który uzyskał wreszcie zapewnienie Starosty, że po otrzymaniu z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego na piśmie interpretacji prawnej umowy z 1999 r., zarząd powiatu podejmie stosowne decyzje.

Konflikt rozgorzał na dobre, kiedy zdeperowani aktorzy, zgodnie z wcześniejszymi obustronnymi ustaleniami udali się kilka dni później do siedziby Starostwa i... nie zostali wpuszczeni do budynku.

22 czerwca wojewoda śląski wysłał do Starostwa Powiatowego w Będzinie pismo zawiadamiające o wszczęciu postępowania nadzorczego w sprawie stwierdzenia nieważności uchwały, jaką zarząd powiatu podjął 12 maja.

Akt (przed) ostatni

Poniedziałek 6 lipca. Na nadzwyczajnej sesji Rady Powiatu Będzińskiego zapada decyzja o przekazaniu Teatrowi

pełnej kwoty dofinansowania. Byłby to zapewne akt ostatni, gdyby nie fakt, że ustalenia te dotyczą wyłącznie bieżącego roku. Co zatem czeka zespół w następnych sezonach? Wprawdzie wicestarosta będziński Emil Bystrowski zapewnił, że zarząd zobowiązał się do kontynuacji wypłacania teatrowi w następnych latach 750 tysięcy złotych, jednak nie potwierdza tej deklaracji żaden dokument. Obawy są więc uzasadnione.

W skali kraju, będzińska scena plasuje się na niechlubnym dole listy teatrów według wysokości dotacji, natomiast zysk jaki przynosi ta instytucja jest gigantyczny i jej byt nigdy nie powinien być zagrożony.

* * *

Kiedy Jan Dorman w 1945 r. założył w Sosnowcu Międzyszkolny Teatr Dziecka, problemy lokalowe były zrozumiałe. Spektakle wędrowały między sceną ówczesnego Teatru Miejskiego (obecnie Teatr Zagłębia) a sceną siedziby Związku Zawodowego Górników przy ul. Żytniej. W 1950 r. dom parafialny w Będzinie stał się siedzibą Teatru Dzieci Zagłębia (nazwa od 1951 r.). O ile teatr jest chlubą miasta i regionu, o tyle budynek i jego wnętrze pozostawiają wiele do życzenia. Niedoinwestowanie i niedofinansowanie, czyli wieczne problemy Jana Dormana, nękały wszystkich jego następców. A jednak to właśnie w Będzinie odbywały się głośnie Herody i Jaselka, prestiżowy Przegląd Teatrów Lalkowych, spotkania z ludźmi teatru, plenerowe spektakle. Dorman zainspirował młodych entuzjastów, tak powstał legendarny Klub Studenta Ethiopis, a za jego sprawą ruszyły pamiętne „Poranki Teatralne”. Kolejny dyrektor w 1982 r. uruchomił dwuletnie Studium Aktorskie Teatrów Lalkowych przy TDZ, którą to kuźnię opuściło wielu znakomitych artystów.

O kłopotach finansowych powiatu będzińskiego wiadomo nie od dziś. Niepokojąco rośnie zadłużenie szpitali a plan na-

prawczy niczego nie uzdrowił. Wprawdzie zaległa wobec teatru kwota 400 tys. zł. jest kroplą w morzu potrzeb placówek służby zdrowia, trudno się więc dziwić, że zarząd panicznie poszukuje ratunku wszędzie, nie można jednak rozgrzeszać manipulowania faktami ani bezdusznej decyzji, która niechybnie wiedzie do zamknięcia będzińskiej sceny. Miasto także nie jest w stanie przejąć w całości utrzymania teatru, trzeba jednak przyznać, że prezydent Komoniewski wywiązuje się z zobowiązań i mimo bardzo skromnych zasobów miejskiej kasy na teatrze oszczędzać nie zamierza i konsekwentnie broni historycznej placówki, drugiej po średniowiecznym zamku królewskim wizytówki grodu nad Przemszą. Może więc należało by się zastanowić, czy zagłębiowskie powiaty, gminy i miasta nie powinny rozważyć wspólnego finansowania teatru dla dzieci, teatru, z którego korzystają przecież wszyscy, od Częstochowy po Sosnowiec. Dormanowskiej placówce i godnemu najwyższego szacunku zespołowi należy się nie tylko finansowa stabilizacja, ale znaczne podniesienie rocznych dotacji, doinwestowanie pomieszczeń i unowocześnienie techniczne. Szacowny siedemdziesięcioletek zasłużył na troskliwej i solidnej dopieszczeniu. Nikogo przecież nie trzeba przekonywać, że najatrakcyjniejsza gra komputerowa nie zastąpi teatru a *czego Jaś się nie nauczy...*

Mam nadzieję, że zbliżające się urodziny teatru będą wyśmienitą okazją do przypomnienia wszystkich spektakularnych sukcesów będzińskiej sceny, jej twórcy, aktorów, zespołu, który wbrew wszelkim trudnościom stworzył miejsce najpiękniejszych wspomnień każdego niemal mieszkańca Zagłębia (i nie tylko), które dla wielu z nas stało się początkiem niekończącego się, cudownego romanisu z teatrem. Wierzę, że uroczystości nie zakłócą żenujące spory, a tym bardziej groźba likwidacji dzieła „Czarodzieja z Będzina”.



W spotkaniu uczestniczyli m.in. starosta będziński Arkadiusz Watoła (na zdjęciu po lewej), prezydent miasta Łukasz Komoniewski oraz prezes Związku Artystów Scen Polskich Olgierd Łukaszewicz (na zdjęciu po prawej).

25. Mikołowskie Dni Muzyki

Zdjęcia: Józef Cwiiek



Jurek Dybal i Sinfonietta Cracovia.

Na jubileuszowym zakręcie

MAREK
BRZEŹNIAK

Przed rokiem, w trakcie 24. Mikołowskich Dni Muzyki, świętowaliśmy 25. rocznicę pierwszych, częściowo wolnych wyborów do Sejmu, które dały początek transformacji ustrojowej. Obecnie 25-lecie obchodził mikołowski festiwal, zrodzony właśnie dzięki tamtym wyborom i odzyskaniu przez regiony, w tym Miasto Mikołów, samorządności.

Srebrny jubileusz to szmat czasu. W ciągu 25 lat Mikołowskie Dni Muzyki wspaniale rozkwitły, „okrzepły” i na trwałe wpisały się w kalendarz kulturalny nie tylko Mikołowa, lecz całego regionu. Ba, nawet kraju, skoro gościła tu czołówka artystów i zespołów polskich; także wiele znakomitości zagranicznych. Ale chyba jeszcze ważniejszy okazał się aspekt wychowawczy imprezy. Apetyt rośnie w miarę jedzenia i z czasem nad „muzyką lekką, łatwą i przyjemną” zaczęły odnosić zwycięstwa, tak trudne i wymagające wyrobionego odbiorcy dzieła, jak „Pasja” Arvo Pärta w 2001 r., czy „Nieszpory Maryjne” Claudio Monteverdiego w 2006 roku, znakomicie przyjęte przez festiwalową publiczność.

Po 25. latach, zainicjowany przez pierwszego po odzyskaniu samorządności burmistrza, dzisiejszego radnego miejskiego Eugeniusza Wycisłę i następ-

nie, od 1998 aż do 2014 roku, „hołubiony” przez długoletniego burmistrza Marka Balcera, festiwal znalazł się dziś na „jubileuszowym” zakręcie. Nowy burmistrz Stanisław Piechula w raporcie przygotowanym przez Telewizję Katowice stwierdził, że wydarzenie powinno być poszerzone o inne rodzaje muzyki.

Zamysł zrodził się akurat w dość dobrym momencie. Bo obok zmiany władzy wykonawczej w Mikołowie, w 2014 roku zmieniła się też sytuacja w sąsiadującej z Mikołowem muzycznej metropolii, czyli w Katowicach. Przez wiele lat mikołowski festiwal niejako rekompensował brak tak dużej cyklicznej imprezy w stolicy województwa. Ale od czasu powstania nowej siedziby Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia trwa w niej nieustający właściwie festiwal i ta „zastępcza rola” Mikołowskich Dni Muzyki siłą rzeczy stopniowo by słabła.

Jeśli do klasyki dodamy jazz i muzykę młodzieżową przysłowie o wylaniu dziecka z kąpielą raczej nie będzie tu pasować. Dobrze jednak byłoby, aby dolewając wody nie przelać jej, bo rezultat może okazać się równie niepożądany. Festiwal o rozszerzonej formule przyciągnie więcej odbiorców, jednak będą to grupy

niekoniecznie spotykające się na tych samych koncertach, co zresztą nie jest wadą, ale warto o tym pamiętać.

Wracając do znakomitości zagranicznych, w tym roku gościliśmy legendarnego organistę europejskiego – Szwajcara Lionela Rogga. Nawiasem mówiąc w 2007 roku planował przyjechać, także z recitalem organowym, inny arcyślawny wirtuoz Holender Ton Koopman, bardziej jednak znany jako dyrygent, który z Amsterdam Baroque Orchestra, chórem i solistami nagrał na kilkudziesięciu krążkach wszystkie kantaty Bacha, ale ostatecznie odwołał przyjazd. Jednak Rogg przyjechał i zagrał! Podejrzewam, że pewien wpływ mógł mieć na to fakt, że dyrektor artystyczny mikołowskiego festiwalu, profesor klasy organów w katowickiej Akademii Muzycznej Władysław Szymański był uczestnikiem w austriackim Milstatt kursu mistrzowskiego prowadzonego przez Rogga. Przydarzyło się to w 1988 roku, a więc 27 lat temu. Jakby nie było urodzony w 1936 roku Rogg młodzieniaszkiem już nie jest – pamiętam, jak w latach 70. przywoziłem z różnych miast okazjonalnie „zdobywane” płyty winylowe (CD wszak jeszcze nie istniały) bułgarskiej firmy „Bałkanton” z Bachowskimi recitalami organowymi, zarejestrowanymi przez mistrza na wspaniałym, wtedy młodym, bo zbudowanym w połowie XX wieku, instrumencie kościoła Grossmünster w Zurychu. Wobec niedostępności zachodnich nagrań i czarnorynkowej ceny dolara byliśmy zdani jedynie na ich przedruki dokonywane, wcale nie aż tak licznie, przez wytwórnie płytowe państw socjalistycznych.

Szwajcarskiemu wirtuozowi bardzo się spodobał instrument największej mikołowskiej świątyni – Bazyliki św. Wojciecha. – Takie organy, to prawdziwy skarb – powiedział po koncercie, na którym grał utwory „obowiązkowego” na każdym recitalu organowym Bacha, a także m.in. Buxtehudego, Mendelssohna i własną Suitę angielską.

Także goście zagraniczni, a konkretnie Czech Ensemble Baroque z morawskiego Brna, prowadzony przez Romana Válka, stali się bohaterami najważniejszego wydarzenia tegorocznego festiwalu. Przywieźli ze sobą nieznaną oratorium Georga Philippa Telemanna „Der aus der Löwengrube errettete Daniel” (*Daniel uratowany z jaskini lwów*), którego czeskie prawykonanie odbyło się trzy tygodnie... później. Najprawdopodobniej mikołowski „przedtakt” stanowił polskie prawykonanie tego dzieła, do czego zresztą Mikołów był jak najbardziej predestynowany. Wszak Telemann był gościem hrabiego Promnitzza w jego rezydencji w pobliskiej Pszczynie. Dłużej, przynajmniej, bawił w pałacu Promnitzów w Sorau, dzisiejszych Żarach na Ziemi Lubuskiej. Ale tam nie ma takiego festiwalu muzyki poważnej.

Libretto utworu pióra Albrechta Jacoba Zella zostało oparte na VI rozdziale biblijnej Księgi Daniela. Król Dariusz za-

rządził pod karą śmierci, aby poddani uważali za boga jedynie jego. Temu rozkazowi Daniel, pobożny Żyd biegły w objaśnianiu snów, jednak się nie podporządkował. Chcąc nie chcąc, trochę nawet wbrew sobie, Dariusz wtrąca Daniela do jaskini lwów. Jak można już podejrzewać z tytułu oratorium, rzecz kończy się happy endem – dzięki interwencji boskiej cnota i wierność zostają nagrodzone.

Trzy trąbki barokowe plus kotły świetnie uwypuklały „bohaterski” nastrój dzieła mogącego skutecznie konkurować z czołowymi oratoriami Händla – „Mesjaszem” i „Judą Machabeuszem”; nic dziwnego że jeszcze do niedawna sądzono, iż jest to utwór samego Händla. Klawesyn i organy, oddzielnie lub razem, w zależności od ilości wykonawców danego numeru, realizowały *basso continuo*. Obie części oratorium wieńczyły, podobnie jak w kantatach Bacha, majestatyczne chorały. W partii tytułowej rewelacyjny był polski kontratenor Piotr Olech.



Waltornistka Kateřina Javůrková i NOSPR pod dyr. Krzysztofa Pendereckiego.

Z muzyką dawną zawitał do Mikołowa jeszcze jeden zespół związany z Czechami, choć nie tylko – pięcioosobowy Ensemble Berlin Prag. Przywiózł m.in. trzy sonaty najwybitniejszego przedstawiciela czeskiego baroku – Jana Dismasa Zelenki, kapelmistrza katolickiej muzyki religijnej na dwuwyznaniowym katolicko-luterańskim dreźnieńskim dworze elektora Fryderyka Augusta I, który był równocześnie polskim królem Augustem II Mocnym. Czesi już tradycyjnie chwalą się w Mikołowie dorobkiem swego rodaka, starszego od Bacha o zaledwie 6 lat – w 2010 roku utwory Zelenki wykonywał zespół Musica Florea, dwa lata później Collegium 1704, a przed rokiem Collegium Marianum. Wszystkie te zespoły przyjechały z Pragi.

Z Czech przyjechali także pianista Ivo Kahánek, który zagrał z Sinfonią Juventus pod dyr. Tadeusza Wojciechowskiego Koncert a-moll Schumanna – był to, wzorem ubiegłych lat, „wyjazdowy” wieczór mikołowskiego festiwalu w sali katowickiej Akademii Muzycznej – i znakomita, znana nam już z ubiegłorocznych Dni, czeska waltornistka Kateřina Javůrková. Artystka zaprezentowała Concerto per corno ed orchestra „Winterreise” (Podróż zimowa) Krzysztofa Pendereckiego, a towarzyszyła jej Narodowa Orkiestra Symfoniczna Polskiego Radia pod batutą kompozytora. Już po raz piąty gościliśmy mistrza na Mikołowskich Dniach Muzyki. Co prawda pierwszym razem twórca zagościł w Mikołowie dopiero na XVII festiwalu w 2007 roku, ale od tego czasu przyjeżdża tu średnio co dwa lata (2007, 2010, 2012), obecnie w podwójnej roli kompozytora i dyrygenta, a przed dwoma laty, jako gość jubilat świętujący na festiwalu swoje 80-lecie.

Inauguracja i finał a także recitale organowe jak zawsze odbyły się w potężnej Bazylice św. Wojciecha, „Daniela

uratowanego z jaskini lwów” zaprezentowano u Salwatorianów, ale „salą koncertową” większości koncertów kameralnych był nieduży, za to słynący ze znakomitej akustyki ewangelicki kościół św. Jana. W tym roku wystąpiła tu polska orkiestra barokowa Arte dei Suonatori ze wspaniałym programem XVIII-wiecznej muzyki europejskiej, zarówno twórców bardzo znanych, jak i już dziś zapomnianych. Muzycy nie tylko grali, ale także „odgrywali” swą grę gestami i mimiką, jakby tłumacząc frazując tytuł „Instrumental opera” wieczoru w końcu nie wokalnego. Z bardziej współczesnym programem (Schubert, Richard Strauss i Max Reger) przyjechał z Lipska męski kwintet wokalny Amarcord z Lipska. A z najnowszym wystąpiły dwa kwartety smyczkowe: Śląski i Lason Ensemble, w którym mikołowianie (I i II skrzypce) zaprezentowali utwór mikołowianki Justyny Kowalskiej-Lason – III Kwartet „Znajduję swą pieśń” i dwa utwory rosyjskie: Fugę Liadowa i Beatitudes (*Błogosławień-*

stwa) Władimira Martynowa. Ten drugi, to wspaniała, „stojąca” kompozycja napisana w 1998 r. na chór, ale po 8 latach przerobiona na smyczki dla sławnego Kronos Quartet. Podobnie „stojący” i równie nastrojowy okazał się też wykonany przez Kwartet Śląski IV Kwartet Łotysza Petera Vasksa, rówieśnika Martynowa (obaj urodzili się w 1946 roku) ze wspaniałą częścią finałową – Medytacją, stanowiącą „rozmowę” skrzypka z wiolonczelistą.

Na wstępie pisałem o prawdopodobnym rozszerzeniu formuły następnym festiwalu. Ale jeden koncert mniej lub bardziej rozrywkowy Mikołowskie Dni Muzyki organizowały każdego roku. W bieżącym wybrano muzykę cygańską, zwaną obecnie romską, choć jako reprezentant starszego pokolenia jestem bardziej przyzwyczajony do tradycyjnego przymiotnika. Gwiazdami koncertu byli cygański skrzypek Miklosz Czureja, zwany „królem czardasza” i sławny Wojtek Mrozek w podwójnej roli klarncisty i dyrygenta, a towarzyszyli im lwowska orkiestra INSO i Zespół Romów, w którym m.in. popisy wirtuozerii w grze na cymbałach dała córka Miklosza – Sara Czureja i Tono Cionka. Publiczność była zachwycona, mimo „podgotowywania” w zbyt dusznym, jak na tak imponującą frekwencję, wnętrzu Domu Kultury. Pogoda tego dnia była wspaniała, a DK stoi przy pięknym mikołowskim rynku, na którym już urządzano koncerty muzyki bardziej popularnej. Gwoli prawdzie bywały jednak lata, kiedy z powodu niesprzyjającej aury, w danym dniu trzeba było zmienić zapowiedziane na afiszach miejsce koncertu i przenieść go z pleneru pod dach. W tym roku organizatorzy nie chcieli ryzykować. Cóż, taki mamy klimat, jak powiedziała pani klasyk.



Gwiazdą jubileuszowego festiwalu był jeden z najslawniejszych organistów starszego pokolenia – Lionel Rogg.



Sezon ogórkowy ma swoje prawa

KRZYSZTOF KOŚIŃSKI

Pełnia lata, wakacje... czyli klasyczny sezon ogórkowy w mediach. Na tak szacownych łamach nie będziemy podglądali celebrytów na plaży, ale trafia się znakomita okazja, żeby zajrzeć samorządowcom do ich życiorysów (przy okazji pisania tego zdania przekonałem się, że słownik Worda nie zna wyrazu: celebryta, niesamowite...).

Jesienią ubiegłego roku w Śląskim Związku Gmin i Powiatów narodził się pomysł stworzenia bazy danych Samorządowców 25-lecia. Taka próba ocalenia od zapomnienia. Otrzymałem propozycję jej opracowania, z uczciwie postawionym pytaniem, czy mam ochotę na tak niewdzięczną, żmudną pracę? Toż to wkłepywanie setek i tysięcy imion, nazwisk, dat. Trochę benedyktyńska robota... Zgodziłem się w imię czegoś, co może dziś jest niemodne: poczucia, że tym ludziom coś takiego się należy. Ta rocznica zobowiązuje do pamięci, także o tych, którzy tworzyli samorząd, walczyli o jego rolę w Państwie. Nieraz poświęcili mu znaczącą część swojego życia. Jeśli dzisiaj rozwój Polski widać przede wszystkim w gminach i miastach, jeśli Polacy obdarzają władze lokalne największym zaufaniem, to o czymś świadczą...

Miał być nudny obowiązek, a wyszła z tego pasjonująca przygoda z historią najnowszą. Jeśli te suche biogramy poukładają odpowiednio, wyłania się chwilami obraz ludzkich losów, pasji, charakterów... Trzeba tylko umieć czytać ze zrozumieniem.

TOKIE SMARKOCE...

– Jak poszła wieść, że ten urząd jest otwarty, to kiedyś mnie odwiedziła taka starsza pani, tzw. chopiona czyli w stroju takim chłopskim. Miała może po osiemdziesiątce, przyszła do mnie i mówi: „*jo słyszała, że tu są izby na gminie* (tzn. że można mieszkanie od gminy dostać). *I jo tak tu pochodziła po tych izbach i one mi się podobają, jo bych wzięna dwie*”. – tak wspomina pamiętny rok 1990 Andrzej Żydek, pierwszy prezydent Piekar Śląskich – Kiedy indziej przyszła do mnie inna starsza pani i przyniosła mi jakieś kwity, że w czasie wojny Niemcy jej zabrali konie i coś tam jeszcze.

Zostawili jej kwitek, że dostanie za to odszkodowanie. I ona mi mówi tak: „*Wiecej jak to było w czterdziestym piątym, jak oni uciekali. Brali wszystko i takie głupie kwitki dawali*.” Ja jej mówię, że nie pamiętam, bo ja się dopiero w 56. urodziłem. I ta babcia na mnie patrzy, patrzy i w końcu mówi: „*To ja z takim smarkocem wcale nie byda godać*”. I poszła...

REKORDZIŚCI

Tworzenie bazy Samorządowców 25-lecia zbiegło się w czasie z wyborami jesienią ubiegłego roku. Media obwieściły wręcz „pogrom”, wymianę pokoleniową, sensacyjne porażki rządzących od kilku kadencji samorządowców. Jako wyjątek przedstawiano śląskiego rekordzistę, który dzięki kolejnej wygranej stał się rekordzistą ogólnopolskim. Faktycznie, prezydent Gliwic Zygmunt Frankiewicz pełni swą funkcję nieprzerwanie od września 1993 r. Przeżył zwycięsko trzy wybory dokonywane przez radnych, cztery wybory powszechne i dwa referenda (plus przygotowania do trzeciego). Wszystko to prawda, jeśli chodzi o prezydentów dużych miast. Cóż, dziennikarze rzadko mają ochotę ruszyć gdzieś dalej, w Polskę. Nie będę aż tak ułatwiał Wam zadania, Drodzy Czytelnicy – sami musicie poszukać na mapach miejscowości, o których piszę poniżej. Zajrzyjmy np. do Wręczy Wielkiej, gdzie wójt rządzi już... 41. rok! Tak, to nie pomyłka. W 1974 r. otrzymał nominację na naczelnika gminy i pozostał na tym stanowisku do 1990 r., gdy rada gminy wybrała go na wójta. Od tego czasu wybierały go kolejne rady. W pierwszych wyborach powszechnych w 2002 r. nawet nie miał kontrkandydata. Po ostatnich wygranych wyborach stał się najdłuższym urzędującym naczelnikiem i wójtem w Polsce. Zapowiedział, że w 2018 r. przejdzie na emeryturę. Ktoś może się zżymać, że co to za samorządowiec, który był mianowany przez komunistyczną władzę? Późniejsze jego „losy wyborcze” wskazują chyba na coś innego? Wiem, wiem... oglądając serial „Ranczo” i powiecie, że tam też wójt w Wilkowiejach bez problemu wygrywał kolejne wybory, dopóki nie pojawiła się niejaka Lu-

cy. Ale nie chce mi się wierzyć, żeby we Wręczy Wielkiej przez tyle lat nie pojawiła się żadna „amerykanka”. Poza tym nie czuję się uprawniony do oceny werdyktów wyborców, ani układów panujących w gminie. Stwierdzam jedynie fakty. Wygląda jednak na to, że nawet komunie zdarzało się obsadzić właściwego człowieka na właściwym miejscu...

Niewiele krótszy staż ma wójt Żanowca. W marcu 1981 r. mianowany naczelnikiem, a od 1990 – nieprzerwanie wybierany na wójta. W ostatnich wyborach był jedynym kandydatem.

Pozostali rekordziści, to już „dzieci” odrodzonego samorządu, chociaż zastanawiam się, do której grupy zaliczyć prezydenta Bielska-Białej Jacka Krywulca? On także przez pewien czas był prezydentem miasta w „czasach minionych”, ale powołany został na to stanowisko w kwietniu 1981 r. na fali wielkiej polskiej nadziei. Po wprowadzeniu stanu wojennego, w styczniu 1982 r. natychmiast go odwołano. Chyba bardziej zatem należy mu się tytuł prekursora odradzającego się samorządu?

Za to dziećmi w pełnym tego słowa znaczeniu są m.in. prezydenci Żor, Bielska-Białej i Jaworzna, wójtowie Pawonkwa, Buczkowic (w ostatnich wyborach – jedyny kandydat), Kroczyce. Krócej, ale też już co najmniej cztery kadencje rządzi burmistrz Żarek (po pierwszej kadencji w latach 1990 – 94 rada miejska nie była już dla niego tak łaskawa, ale wrócił w pierwszych wyborach powszechnych 2002 r. i został do dziś), od 1997 r. nieprzerwanie tę samą panią burmistrz ma Radlin. Wójt Czesław Burek od 1998 r. rządzi gminą Lubomia, w Gierałtowcach od 2000 r. wójtem jest Joachim Bargiel. Ta lista jest naprawdę długa: Lubomia, Gierałtowce, Lyski, Ozarowice, Krupski Młyn, Przyrów, Markłowice, Koszarawa i Siewierz, Ciasna i Koziegłowy, Pyskowice i Węgierska Górka. Małe i większe miasta, wsie, a nawet powiat – takim rzadkim przypadkiem stabilności władzy w powiecie (gdzie wciąż obowiązują wybory pośrednie) jest starosta rybnicki.

Przypomnę jeszcze, że w ostatnich wyborach jedynymi kandydatami byli urzędujący wójtowie i burmistrzowie m. in. w Buczkowicach, Świnnej, Ujszałach, gminie Starcza, gdzie wójt jest wójtem od 1998 r. i wszystkie kolejne wybory zawsze wygrywał w I turze. W 2010 r. otrzymał ponad 80% głosów. W wyborach 2014 r. był jedynym kandydatem. Także w Chełmie Śląskim, Wilamowicach, Kornowacu, gminie Irządze, Godowie, Wilkowicach, Boronowie i Pietrowicach Wielkich głosowano nie „na” kandydatów, ale „za” lub „przeciw” temu jednemu. Sporo tego, prawda? Swoistą rekordzistką w tej mierze była gmina Suszec, gdzie nie tylko był jeden kandydat na wójta, ale także w wyborach do rady gminy o 15 mandatów walczyło tylko 17 kandydatów. W 13 okręgach na 15 wystartował tylko jeden kandydat. Zgodnie z Kodeksem Wyborczym „*jeżeli w okręgu wyborczym w wyborach do rady zarejestrowana liczba kandydatów jest równa liczbie radnych wybieranych w danym okręgu wyborczym lub od niej mniejsza, głosowania nie przeprowadza się, a za wybranych na radnych terytorialna komisja wyborcza uznaje zarejestrowanych kandydatów*”.

Na dwa ciekawe „przypadki” warto chyba zwrócić uwagę. Pierwszy z nich jest „personalny”. To Edward Maniura – samorządowiec, ale i polityk. Przez pierwsze dwie

kadencje odrodzonego samorządu był burmistrzem niewielkiego miasta Woźniki, w 1997 r. został posłem z ramienia AWS, a potem jeszcze dwukrotnie wygrywał wybory do Sejmu (jako kandydat PO). A w 2006 r. z własnej woli utracił mandat poselski, bo... wolał zostać burmistrzem Lublińca. Kolejne wybory wygrywał już w pierwszej turze.

Drugi „przypadek” jest jakby ciekawostką terytorialną. To Imielin, który „wybił się na niepodległość” w 1995 r. po wydzieleniu z miasta Mysłowice. Jan Chwiędzacz wybrany wtedy burmistrzem pełni swoją funkcję do dzisiaj. W 2014 r. był jedynym kandydatem. Ale ten fenomen dotyczy także władzy uchwałodawczej. Bernadeta Ficek od samego początku wciąż jest Przewodniczącą Rady Miejskiej. W czym tkwi tajemnica takiej stabilności władzy w tym mieście? Może w tym, co odpowiedzieli oboje wyżej wymienieni na pytanie o największe swoje osiągnięcia? Burmistrz wymienił po prostu kolejne punkty, rok po roku, konsekwentnie:

- Urząd Miasta – 1998 r.
- Dom Kultury – 1998 r.
- Przychodnia – 2002 r.
- Biblioteka Miejska – 2006 r.
- Oczyszczalnia ścieków – 2007 r.
- Przedszkole – 2010 r.
- Hala widowiskowo-sportowa – 2014 r.

A może równie celna jest bardziej emocjonalna ocena kobiety? „*Największe osiągnięcie to zmiana mentalności rodowitych imieloków. Kiedyś nie przyznawali się do tego, że pochodzą z małego miasteczka, a dzisiaj z dumą podkreślają, że są z Imielina*”...

WIELCY PRZEGRANI

Wróćmy teraz do rozpowszechnianego przez media poglądu, że ostatnie wybory samorządowe były swoistym pogromem dotychczasowych władz. Owszem, kilka sensacji było. Przegrali prezydenci znanych miast: Sosnowca, Rybnika (rządzący nieprzerwanie od 1998 r.), Jastrzębia Zdroju, Piekara Śląskich, burmistrz Pilicy (rządzący od 1990 r. i wydawałoby się, że niezwykcieżony) czy wójt Miedźna (który cztery lata wcześniej był jedynym kandydatem).

Ale już cztery lata temu, w 2010 r. też „nie było lekko”. Przegrał wybory wójt Mszany (który kierował gminą od... 1981 r. i nie dano mu porządzić do emerytury), wójt Milówki (po pięciu kadencjach), wieloletni wójt Pilchowic, Jeleśni. „Pokoju” odeszła legenda samorządu – Jan Jochem, wójt jednej z najmłodszych gmin – Jejkowic. Zaczynał jeszcze jako wójt Gaszowic w 1992 r., a po odłączeniu się Jejkowic – rządził nimi aż do wyborów 2010 r., w których już nie wystartował.

Do „ofiar” wyborów 2010 r. można też zaliczyć prezydenta Częstochowy, który rządził tym miastem nieprzerwanie od pierwszej kadencji i został odwołany w referendum rok przed wyborami. Fakt, mniej było „długoletnich” przegranych niż cztery lata później, ale... przecież nikt nie staje się coraz młodszy, a młodszych czeka w kolejce coraz więcej...

WYTRWAŁOŚĆ I CIERPLIWOŚĆ...

...czasem popłacają. Wójt Rajczy Kazimierz Fujak po kadencji 1998 – 2002 czekał długie osiem lat, żeby powrócić i cztery lata później zostać wybranym ponownie.

Z uporem dążył do celu obecny prezydent Mysłowic Edward Lasok. Kilkanaście lat był przewodniczącym Rady Miejskiej. Trzykrotnie: w 2002, 2003 (w wyborach przedterminowych) i 2006 r. bez powodzenia walczył o urząd prezydenta miasta, zyskując coraz wyższą, ale wciąż niewystarczającą liczbę głosów. Wreszcie w 2010 r. pokonał ubiegającego się o reelekcję Grzegorza Osyrę, uzyskując ponad 82% głosów. W 2014 r. – wybrany ponownie.

Franciszek Dziendziel przez 16 lat pełnił funkcję przewodniczącego Rady Gminy Pawłowice, żeby wreszcie w 2014 r. wygrać wybory na wójta.

Czasem wraca się po wielu latach – Henryk Mach był przewodniczącym rady w pionierskiej kadencji 1990 – 1994. I wrócił triumfalnie wygrywając w wyborach na wójta gminy Przystajń w ubiegłym roku.

Czasem owe „pięć minut” bywa zaskakujące. Paweł Militowski, obecny wójt Rędzin dwukrotnie startował w wyborach do Rady Gminy. Pierwszy raz, jako młody człowiek – jeszcze w latach 90. – i przegrał. Drugi raz znów przegrał wybory i nie został radnym w 2010 roku. Trzeci start w wyborach, tym razem na wójta gminy, zakończył się sukcesem. To jeden z niewielu przypadków, gdy wybory na wójta wygrywa ktoś, kto nigdy nie pracował w samorządzie.

CIEKAWY KARTY W ŻYCIORYSACH

Wójt gminy Herby (od 2002 r.) Roman Banduch bywa nazywany weteranem... sądownym. Odpowiadał przed sądem za 7 zarzutów, z pięciu został uniewinniony, a dwa umorzono ze względu na znikomną szkodliwość (być może nie dotarłem do wszystkich przypadków).

Za co sądzono wójta na ławie oskarżonych? Np. za umarżanie zaległości podatkowych miejscowym firmom. Przedsiębiorcy uzasadniali swoje wnioski np. wydatkami związanymi z tworzeniem nowych miejsc pracy lub koniecznością podniesienia nakładów inwestycyjnych. Prokuratura była jednak zdania, że żaden z nich nie był zasadny, gdyż kondycja finansowa podmiotów była dobra, a decyzje wójta miały narazić gminę na niebotyczne straty. Oskarżono go o przekroczenie uprawnień „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej” czyli mówiąc wprost – o krawie łapówek. Po długich bataliach sąd wójta uniewinnił. Podobnie kończyły się pozostałe procesy.

– *Przyznam, że nawet nie wiedziałem, że zostałem uniewinniony. Od pana się tego dowiaduję* – powiedział dziennikarzowi po którymś kolejnym wyroku uniewinniającym. – *Bardzo się cieszę, bo będę mógł się nareszcie skupić na pracy na rzecz gminy, a nie walczyć się po sądach.*

Nie powiodła się także próba odwołania wójta w referendum. Wygrał także ostatnie wybory.

Czasami wystarczą dwa lata dla zbudowania swojej pozycji. Artur Beniowski został wójtem Bestwiny w 2012 r. w przedterminowych wyborach po nagłej śmierci urzędującego wójta. Już dwa lata potem, w 2014 r. był jedynym kandydatem.

Z pewnością za rekordzistkę w zdobywaniu uznania i popularności można uznać prezydent Zabrza Małgorzatę Mańkę – Szulik. W 2002 r. przegrała wybory (uzyskując 3. miejsce). W 2006 r. w drugiej turze zosta-

ła wybrana pokonując kontrkandydata tylko 136 głosami. Cztery lata później wygrała w pierwszej turze, otrzymując poparcie na poziomie 75%!

Bohaterem wyborów na miarę prasy tabloidowej może być na pewno Marek Bąk z Jejkowic, który został wójtem w połowie kadencji 2010 – 2014 po śmierci ówczesnego wójta. Dwa lata później ponownie został wójtem już w I turze. Nie byłoby to aż tak dziwne, gdyby nie to, że wójt urodził się w 1987 roku! Być może jest najmłodszym wójtem w Polsce. W momencie wyboru był... studentem. Do dziś w oficjalnych dokumentach podaje wykształcenie średnie, bo – jak mówi – „*obowiązkowi wójta i związany z nimi brak czasu sprawiają, że jeszcze nie obronił pracy magisterskiej*”. Dodajmy do tego, że jest wciąż kawalerem, a Jejkowice to też nie taka przeciętna gmina, bo to najmniejsza terytorialnie gmina wiejska w Polsce.

Paweł Macha – nowy burmistrz Kuźni Raciborskiej – jest z zawodu... kapitanem żeglugi wielkiej i swobodnie posługuje się trzema językami. W wywiadzie prasowym skromnie ocenił swoje wyborcze zwycięstwo:

– *Cieszę się, że dałem ludziom alternatywę. Zdaję sobie sprawę z tego, że gdyby ktoś inny był na moim miejscu, to ktoś inny by dziś świętował.*

– Mam rozumieć, że wyborcy głosowali przeciw panującej władzy a nie za panem?

– *Skala niezadowolenia była bardzo duża, więc to nie orok osobisty zdecydował o wybraniu mnie na urząd. Ludzie głosowali przeciw panującej władzy.*

– Czy nie obawia się pan powrotu na łąd przynajmniej na cztery lata?

– *Życie wyrzuciło mi się do góry nogami, chociaż pływanie po świecie miało też złe strony, bo gdy wracałem do domu, to widziałem dzieci pół metra większe czy też już młwiejące. Dużo rzeczy przez pobyt na wodach przegapiłem i mam nadzieję, że dzieci mi to wybaczą i jakoś to nadrobię.*

– Podobno kapitan statku zarabia kilkadziesiąt tysięcy złotych za rejs, a tu będzie parę tysięcy na miesiąc. Czy to nie jest przeszkodą dla standardów pana życia?

– *Żona ma firmę produkującą rowery, przy której obecnie jej pomagam. Są też inne źródła dochodu. Sytuację mam na tyle komfortową, że wysokość pensji burmistrza nie ma zdecydowanego wpływu na standard życia. Prawdę mówiąc nie wiem, ile zarabia burmistrz.*

I na koniec zaskakujący epizod w życiorysie wójta gminy Panki Bogdana Praskiego. Jak informuje portal www.pankiwobiektywie.pl – jest on... twórcą hełmu wojskowego, który nosili w Iraku i noszą w Afganistanie polscy żołnierze! Ciągłe sobie obiecuję, że zapytam go, jak to było dokładnie z tym hełmem i wciąż brakuje mi czasu...

PS. Baza danych: www.samorzadowcy.org.pl.

Sezon ogórkowy trwa całe wakacje, więc za miesiąc – ciąg dalszy. Będzie i śmiesznie, i strasznie...

Opinie wyrażone w niniejszym artykule są wyrazem poglądów autora i nie zawsze są tożsame ze stanowiskiem samorządów lokalnych i organizacji samorządowych w województwie śląskim.



Miał trwać zawsze. Jak w powiedzeniu: „nie będzie nas, będzie las”. Dziś rzadko się je powtarza. Nie bez powodu. Las jest coraz słabszy. Osaczony cywilizacją, jest kruchy jak... ludzkie życie. Nie potrafi, jak dawniej odradzać się, odżywać, bronić się i rosnąć zdrowo samodzielnie.

Od lat wymaga szczególnego traktowania, pomocy i pełnej ochrony. Na miarę współczesnych zagrożeń. Po kłękach, jakie go dotykają, ciągle się zmienia. Dopasowuje do scenariusza samej natury. To dziś konieczność.

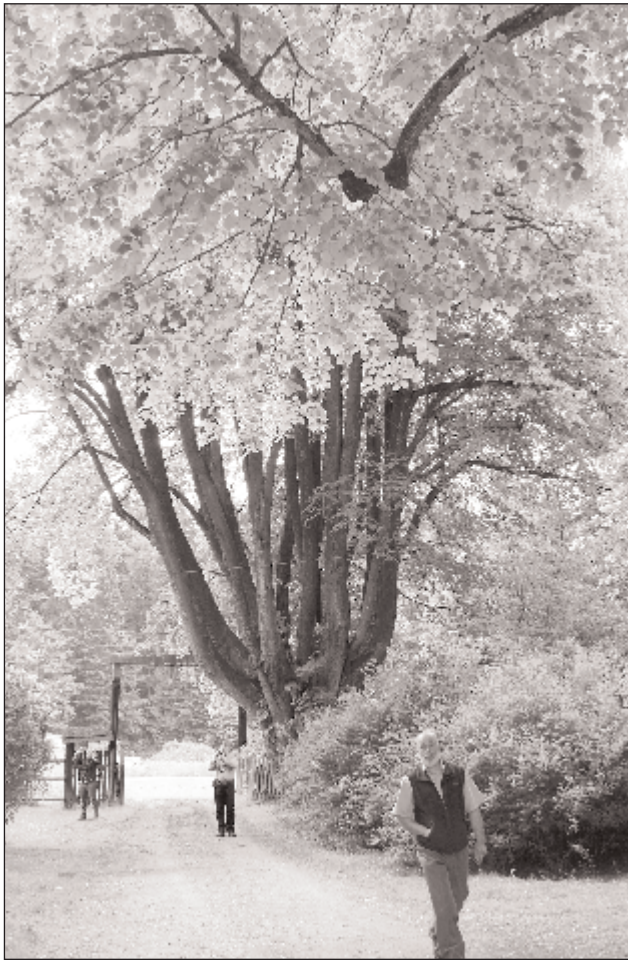
W Beskidach widać to jak na dłoni....

Las są zagrożone na wszystkich kontynentach. Zamierają bezpowrotnie, ale i przejściowo. Przyroda od reagowuje cywilizacyjny i środowiskowy stres. Przy sprzyjających warunkach odradza się po kłękach.

Tak też się stało w przypadku masowego zamierania świerczyny w Beskidach. Końcowe odsłonię ich dramatu. Przyczyn tej kłęski było wiele. To błędy hodowlane lasu. Obsadzanie monokulturami świerkowymi łąk i pastwisk oraz odnowienia lasu mieszanego, wielogatunkowego metodą rębni zupełnej. Czyli jego całkowita wycinka na ogromnych powierzchniach. Po to, by mogły na nich rosnąć wyłącznie świerczyny. Monokultury drzew jednowiekowych. Bez żadnych domieszek. Bez liczenia się ze scenariuszem przyrody, która ukształtowała Puszczę Karpacką. W Beskidach jej znakiem były rosnące piętrami lasy bukowe, bukowo-jodłowe, w najwyższych partiach gór jodłowo-świerkowe. I towarzyszące im domieszki drzew. Z odpowiednimi na swoich wysokościach leśnymi predyspozycjami.

O zmianie tego naturalnego scenariusza w połowie XIX wieku zdecydował rozwijający się przemysł, który potrzebował dużo drewna. Temu zapotrzebowaniu mógł sprostać tylko „produkcyjny”, szybko rosnący, las świerkowy. Tak też się stało. Warunki siedliskowe i klimatyczne nie miały znaczenia.

Na taką przyspieszoną „hodowlę” lasu jednogatunkowego nie starczało rodzimych nasion. Ich właściciele, Habsbur-



Lipa drobnolistna w Zlatnej – cudowny pomnik przyrody

Las nie rośnie sam...

gowie, sprowadzali je więc z różnych miejsc Europy, m.in. państw alpejskich: Austrii i Włoch.

Monokulturowe świerczyny, wyhodowane z obcego genotypu nasion, nigdy w pełni nie zdołały przystosować się do beskidzkich warunków glebowych i klimatycznych. Stawały się coraz słabsze, mniej odporne. Z wszelkimi konsekwencjami dla kondycji beskidzkiego lasu. Przed II wojną światową świerki pokrywały od siedemdziesięciu do niemal stu procent zalesionej powierzchni Beskidu Śląskiego i Żywieckiego. Na wielu stokach rosły wyłącznie drzewa tego gatunku. I słaby!

Chlubnym wyjątkiem okazały się drzewostany świerkowe rasy istebniańskiej. Bardziej długowieczne, osiągają-

ce 50 metrów wysokości. Czy powodem było skrzyżowanie się genów świerków karpackich i alpejskich? Pewności nie ma. Ważne, że jego zasoby genowe przetrwały w Karpackim Banku Genów, w jego Stacji Terenowej w Wyrchczadecze, w Nadleśnictwie Wisła. Wraz z nasionami jodły, buka, sosny zwyczajnej (radzi sobie z ciężkimi nawet warunkami i lubi światło) oraz gatunków domieszkowych drzewostanów Beskidu Śląskiego.

Apetyt na świerczyny

W latach 60. ub. wieku nad beskidzkim lasem zawiązała katastrofa. Zaczęła się w skażonym powietrzu. Gazy i pyły przemysłowe, przenoszone z wiatrem z regionu katowickiego i ostrawskiego na dalekie odległości, zagrożiły w pierwszej kolejności wrażliwej jodle i świerkom. Przy wciąż rosnącej produkcji przemysłu ciężkiego trucizny zakwaszały i wodę i glebę na stałe. Zmieniały niekorzystnie siedlisko leśne. Las beskidzki tracił swoją odporność. W ocieplającym się klimacie był bezbronny wobec ekstremalnych zjawisk pogodowych. Stawał się łatwym kąskiem dla szkodników. Szczególnie tych z największym apetytem na świerczyny.

Z czasem można było zobaczyć brązowienie ich igliwia, zjadane przez zasnuję i zawodnicę świerkową. Słaby też świerki i sosny

opanowywane przez opieńkę, atakującą korzenie drzew. Najgorsze przyszło po suchych latach początku naszego wieku, gdy zaatakowały szkodniki. Czteroczak świerkowiec, rytownik pospolity i najgroźniejszy z nich – kornik drukarz. Główny sprawca rozpadu świerczyny w Beskidach. Na miarę zjawiska w Górach Izerskich, gdzie nie zareagowano w porę, kłęski lasu monokulturowego na północy Szwecji czy w Lesie Bawarskim. Los świerkowych drzewostanów tego ostatniego, pozostawiono naturze. Na długi czas. Kilkadziesiąt lat, a może i więcej. Tego nie wie nikt. Po latach dalej straszą upiorne kikuty suchych drzew. Tylko gdzieś pojawiają się na suchych świerkach zielone pędy...

Fot. Anna Tarkowska

Taki los mógł spotkać lasy beskidzkie, gdyby leśnicy wspólnie z naukowcami nie podjęli walki z kornikiem.

Był to morderczy wysiłek. Trzeba było rozpoznać miliony drzew. Te zasiedlone przez larwy kornika, rozpoznawane po wysypujących się z nich trocinkach oznaczyć. Szybko ściąć, okorować i korę spalić. A gołe pnie natychmiast wywozić z lasu. Nawet z najwyższych partii gór. Zanim larwy kornika dorosną i wylecą tysiącami z jednego drzewa, by zasiedlać kolejne drzewostany. Wystarczy kilku osobników, by uśmiercić najbardziej okazałe drzewo.

Przed kilku laty walka z inwazją kornika odbywała się na oczach i przy sprzeciwie miejscowej ludności i turystów. Rąbano przecież także zielone, dorodne świerczyny. Zasiedlone drzewa nie umierają od razu. Ich choroby w pierwszej fazie nie widać. Trudno dziwić się ludziom. Równie trudno było znosić widok łysych stoków, powalone drzewa, leśne pustki, dymiące góry od spalanej kory. I patrzeć na zdewastowane, górskie drogi, które nie wytrzymały naporu masowej wywózki okorowanego drewna. Taka była cena kornikowej plagi, porównywalnej tylko do szarańczy.

Sytuacja została opanowana. Alarm kornikowy trwa. We współczesnym leśnictwie walka ze szkodnikami nigdy się nie kończy. Nawet jeśli rozpad świerczyn został powstrzymany, kornika nie da się wybić do nogi.

Sila przebudowy

Najskuteczniejszą metodą obrony lasu jest inwestowanie w jego odporność. W jego optymalną dla przyrody przebudowę i ochronę. W lasach śląskich zaczynała się ona już w latach pięćdziesiątych ub. wieku. Popelniano pionierskie błędy. Jednak dziś wiedza o potrzebach współczesnego lasu jest duża, podparta mocno nauką. W ostatnich latach lasy województwa śląskiego są bardziej zielone i silniejsze...

Odradzają się również przebudowywane na dużą skalę lasy Beskidów. W taki sposób, by skład gatunkowy młodego lasu był dostosowany do optymalnego siedliska drzew. Wyraźnie zmniejsza się udział świerka, (w ostatniej dekadzie o całe 19 proc.), przybywa naturalnej dla beskidzkich terenów, jodły, buka, modrzewia, sosny zwyczajnej, jawora i daglezi.

W świerkowym nadleśnictwie Ujsoły, wydawało się w latach 2006 do 2010, że ten gatunek będzie historią. Dlatego zaczęto odnawiać las częściowo. Na zrębach wymuszanych przez różne plagi. Dziś większość zbocza zieleni się na po-



Fot. Anna Turkowska

Pozyskiwanie szyszek nasiennych na świerkach istebniańskich

wrót. Obecnie sadi się ponad dwukrotnie więcej buka niż świerka. Ten gatunek, jak mówią leśnicy, „tutaj sam się rozsiewa”. Przybywa jodły, która najlepiej rośnie pod okapem świerka, co w przebudowie drzewostanów trzeba brać pod uwagę. Niestety nie ubywa silnych huraganów. Po ostatnich, z końca ub. roku w Złatnej, po obu stronach drogi, wciąż widać gołe zbocza. Ale też widać leśniczkówkę, najpiękniejszy obiekt architektury drewnianej w Beskidach, przed którym rośnie drobnolistna lipa, a raczej pięć drzew w jednym czyli zachwycający pomnik przyrody.

W Nadleśnictwie Ujsoły, najbogatszej w cuda przyrody, gospodarowanie jest trudne. Wymaga dużego wsparcia i specjalnej troski. Ponad 90 proc. jego powierzchni objęte jest programem ochrony przyrody Natura 2000. Ze względu na wyjątkowe perły natury z rezerwatem Lipowska na czele. Jego torfowiskiem wysokim (zasilają je tylko wody opadowe!). Z oczkami wodnymi, kwitnącą latem żurawiną błotną, brusznicą przeplatającą się z czernicą, mchami i porostami. I malowniczym borem świerkowym, pełnym martwego drewna, na którym odnawia się las samodzielnie, i gdzie nie tylko guszcze mają swoją ostoję.

Również przykład Nadleśnictwa Wisła, objętego w 75 proc. obszarem Natury 2000 pokazuje, że lasy beskidzkie będą pełniły głównie funkcje ochronne. Drewno będzie można w nim pozyskiwać go-

spodarczo jeszcze przez jakieś 15, 20 lat. Obecne młodniki o wysokości do 1,5 metra będą gotowe pełnić funkcje gospodarcze dopiero za kilkadziesiąt, sto lat. Dziś pokazują one całą mozaikę lasu mieszanego, jego nowy skład gatunkowy. Ponad 10 lat temu sadzono tu 77 proc. świerka, obecnie tylko połowę tego gatunku, w stosunku do pozostałych. W 2013 r. posadzono 38 proc. buka, ponad 8 proc. jodły oraz gatunki domieszkowe. Przebudowa lasów wiślańskich potrwa jeszcze co najmniej 10 lat. Obecna nadal toczy się w scenarii dobijania kornika. To codzienność lasu. Podobnie jak czyszczenie jego młodych powierzchni i trzebieenie tych starych, usuwanie zniszczeń, posuszu po wiatrolomach (letnich i zimowych), pożarach, naprawa dróg i szkód po zwierzyńcu oraz niestety – turystach.

Taki odnowiony las (w Wiśle rocznie sadi się 1,5 miliona doborowych sadzonek drzew na dwustukilkudziesięciu hektarach!), jest nadzieją. Będzie się lepiej bronił nie tylko przed kornikiem.

Sadzonek dla niego nie zabraknie. W gospodarstwach Regionalnej Dyrekcji... funkcjonuje aż 68 szkółek leśnych: 7 kontenerowych, 10 tunelowych i 51 polowych. Funkcjonuje też Stacja Terenowa Karpackiego Banku Genów, zasilana zgodnie z rytmem przyrody, nasionami dorodnego świerka istebniańskiego, rodzimej jodły, sosny, buka i innych gatunków. Szkołka w Nędzy produkuje sadzonki mikoryzowane. Takie z zakrytym ziemią systemem korzeniowym i z grzybkami. To one pomagają żywić las. Nawet w trudnych warunkach.

Dr inż. Kazimierz Szabła, dyrektor RDLP w Katowicach, często podkreśla, że leśnicy mają do spełnienia misję zachowania lasów dla przyszłych pokoleń. Lasy beskidzkie wkrótce będą spełniać przede wszystkim funkcje ochronne. Dlatego bezustannie trzeba szukać kompromisu pomiędzy ekologią, ochroną lasu, a jego ekonomią. W tę działalność wkalkulować fakt, że koszty pielęgnacji i ochrony lasu będą coraz większe, przychody ze sprzedaży drewna – coraz mniejsze.

To wyzwanie nie tylko dla leśnictwa, które obecnie jeszcze sobie radzi. To odpowiedzialność nas wszystkich. Jak słusznie zauważył podczas leśnych warsztatów dla dziennikarzy Andrzej Pilot, prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, przemysł wystarczająco dużo poczynił szkód w środowisku naturalnym, w lasach. Teraz pora, by je wspierać.

JOLANTA KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Koncert inauguracyjny. Abp Wiktor Skworc i prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik podkreślali wartość i znaczenie rodziny w życiu każdego człowieka.

VIII Metropolitalne Święto Rodziny

Rodzina – gościnny dom

Kiedy przed ośmiu laty Metropolitalne Święto Rodziny debiutowało na mapie wydarzeń kulturalnych regionu, nawet pomysłodawczyni (ówczesna wicemarszałkini Senatu Krystyna Bochenek i prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik) nie myślały o wieloletnim cyklu. Entuzjastyczne wówczas przyłączenie się do imprezy aż jedenastu miast było wyrazistym sygnałem zapowiadającym powodzenie.

Już w ubiegłym roku trudno było zmieścić na jednym afiszu wszystkie zgłoszone przez samorządy, instytucje, małe i duże placówki imprezy. W tym roku MSR gościło w ponad trzydziestu miastach a organizatorzy wydarzeń prześcigali się w różnorodności i oryginalności pomysłów. Na afiszu zamieszczono więc z konieczności tylko te największe, sygnalizując, że

w każdym z miast partnerów święta z uwagą należy śledzić lokalne wiadomości. Samorządy zadbały, aby informacje o wydarzeniach dotarły do wszystkich mieszkańców. Znacznie także przedłużył się czas trwania MSR. W tym roku były to aż trzy tygodnie (oficjalnie 23 maja – 6 czerwca, nieoficjalnie do lipca).

Tegorocznej edycji przyswiewcało hasło „Rodzina – gościnny dom”. W kontekście zbliżających się Świątowych Dni Młodzieży w 2016 r., owa gościnność nabrała szczególnego znaczenia. Wszak do Polski przyjeżdżie młodzież ze wszystkich stron świata „Niech dziesiątki tysięcy młodych ludzi – ciekawych świata i pragnących poznać ojczyznę św. Jana Pawła II – znajdują w śląskich, gościnnych domach miejsce ubogacającego spotkania z tutejszą kulturą, tradycją i wia-

ra. To także wyśmienity sposób promocji naszej Ojcowizny, gdzie przecież tak wiele dobra dzieje się właśnie w rodzinach i poprzez rodziny” napisali metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworc (od pierwszej edycji książka arcybiskupa obejmuje wydarzenie honorowym patronatem) i prezydent Zabrza Małgorzata Mańka-Szulik w liście intencyjnym skierowanym do przedstawicieli samorządów terytorialnych, mediów i mieszkańców regionu.

VIII Metropolitalne Święto Rodziny tradycyjnie zainaugurowało (23 maja) koncert w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu. W tym roku gośćmi wieczoru były zespoły Trzecia Godzina Dnia oraz chór dziecięcy z Włoch Mini Coro di Rovoreto. Prezydent Zabrza przywołała słowa papieża Jana Pawła II, który zawsze podkreślał, że przyszłość Europy zależy od rodziny. Metropolita katowicki przypomniał, że jej siła „co warto pamiętać z dzieciństwa i młodości, tworzy się także we wspólnym muzykowaniu i śpiewie”. W uroczystym koncercie uczestniczyli m.in. biskup diecezji katowickiej Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Marian Niemiec, minister sprawiedliwości Borys Budka, posłowie Sejmu RP Krystyna Szumilas i Wojciech Jerzy Polaczek, marszałek województwa śląskiego Wojciech Saługa, dyrektor Górnośląskiego Związku Metropolitalnego Adam Baron, dyrektor Śląskiego Centrum Chórów Serca w Zabrzu prof. Marian Zembala a także dzieci z Włoch i Ukrainy.

W niedzielę 24 maja w katedrach stolic biskupich odbyły się msze w intencji rodzin i odnowienie przyrzeczeń małżeńskich. VIII MSR obfitowało w pikniki rodzinne i festyny, odbyły się one m.in. w Radzionkowie, Dąbrowie Górniczej, Rudzie Śląskiej, Koszęcinie, Świętochłowicach, Tychach, Piekarach Śląskich, Rudzie Śląskiej, Chorzowie, Kuźni Nieborowskiej, Jaworznie. Dzień Dziecka w wielu miejscowościach miał w tym roku szczególny i niepowtarzalny charakter, nie zabrakło także spektakli teatralnych dla najmłodszych. W zabrzańskim DMiT ukraińska grupa muzyczna Clerico prezentowała „Alicję w krainie czarów”, gwarno było także m.in. w Teatrze Nowym, katowickim „Ateneum”, w Raciborskim Centrum Kultury.

Podczas konferencji w Zabrzu dyskutowano o przemianach i perspektywach współczesnej rodziny a tematem XXIV Piekarskiego Sympozjum Naukowego była sprawiedliwość i miłość społeczna.

Nie zabrakło także koncertów. W Zabrzu wystąpili Alicja Majewska i Włodzimierz Korcz, w Piekarach Śląskich rozbrzmiewał Festiwal Muzyki Maryjnej. Koncertowano także w Świętochłowicach, Bytomiu, Raciborzu, Mysłowicach. 6 czerwca w kościele Świętych Apostołów Piotra i Pawła w Katowicach koncert zatytułowany „Zwycząjny kolor nieba...” oficjalnie zakończył VIII Metropolitalne Święto Rodziny. W wielu śląskich miastach jednak nadal odbywają się wystawy, turnieje, pikniki, recitale... ponieważ rodzinne spotkania zakorzenione są w śląskiej tradycji od pokoleń i nie da się ich zamknąć w żadnych ramach czasowych, wielu organizatorów przygotowuje już scenariusz na kolejną, IX MSR.



Ukraińska grupa taneczna Clerico (zespół liczy prawie 200 osób, dzieci i młodzieży w wieku od 3 do 18 lat) w widowisku teatralno-baletowym „Alicja w Krainie Czarów”. DMiT w Zabrzu.

Nie pamiętam spektaklu, który wciąga jak narkotyki, zaskakuje, zadziwia, wzrusza i denerwuje... Pozostaje z nami na długo. Po wielu dniach od premiery ciągle zadaję sobie różne pytania. Odkrywam coś zupełnie nowego, raz moja sympatia towarzyszy poczynaniom jednej z bohaterek, by za kilka dni całe serce było przy innej. Sprawcą tych psychicznych zawirowań jest znakomity dramaturg Ingmar Villqist, który po 10 latach powraca na sceniczne deski Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach sztuką „Chłopiec z łabędziem”. To prapremiera i chociaż napisana została dla konkretnych aktorek katowickiej sceny wróże jej długą wędrowkę nie tylko po polskich scenach.

Temat jest niezwykle trudny – próba powrotu do normalności wrażliwych kobiet, które uciekły od świata ludzi normalnych (czy na pewno normalnych?) w swój własny świat. Zdają sobie sprawę z tego, że warto próbować powrócić, ale strach je paraliżuje. Takim psychologicznym horrorem można widza śmiertelnie znudzić, ale któż wie o tym lepiej od twórcy przedstawienia? Villqist (autor scenariusza, reżyser i scenograf) dozuje napięcie jak w najlepszym thrillerze, napina strunę na maksa, ale dba o to, by nie pękła. Ani na moment nie można odwrócić uwagi od pozornie mało znaczących dialogów – boimy się, by jakieś ważne słowo nam nie umknęło. Villqist szanuje i stara się zrozumieć, choć nie do końca, bohaterki swojego dramatu a kreujące je aktorki po prostu kocha. Jak tu nie kochać Violetty Smolińskiej, Grażyny Bułki i Ewy Kutyni? Któż lepiej wyrazi sedno sprawy od samego autora: *Opowiadam w mojej nowej jednoaktówce historii trzech kobiet walczących o swoje prawo do miłości, wolności, samodzielności, historię, której równoległe wątki odnaleźć można w innych moich jednoaktówkach, takich jak „Kompozycja w błękicie”, „Kompozycja w słońcu”, „Oddychaj ze mną”, „Fantom”, „Taka fajna dziewczyna jak ty”. Moje bohaterki dobrze wiedzą, że jeśli wciąż będziemy je odrzucać, wyciągać do nich dłoń z jałmużną i przerażonym uśmiechem „współczucia”, mogą zrobić to, czego najbardziej się boimy – przeciągnąć nas na swoją stronę.*

Przyznam się, pomyślałam, że to Theodor Erdmann Kalide będzie bohaterem sztuki usłyszawszy po raz pierwszy jej tytuł „Chłopiec z łabędziem”. Nawet ktoś mi to zasugerował. Z całą pewnością ten wielki artysta zasługuje na to. Sztuka Villqista z twórcą powszechnie znanego dzieła niewiele ma wspólnego.

Autor zdradza tajemnice swojego warsztatu: *Zanim zaczynam pisać, zawsze długo wyobrażam sobie topografię miejsca akcji – to pierwszy element budowania scenicznego świata; miejsce, budynek, skwer, materie, kolory, faktury, zapach, światło. Postacie dramatu*



Fot. Krzysztof Lisak/arch. teatru

Mały wielki spektakl

TEATR

wprowadzają się tam ostatnie. Bohaterki sztuki mieszkają w starej, mieszczańskiej kamienicy, której okna wychodzą na skwer ze słynną rzeźbą. Być może w tym domu mieszkał kiedyś autor? *Hagen* (Violetta Smolińska) opiekuje się młodszą siostrą *Arn* (Ewa Kutynia). Odnosimy wrażenie, że *Hagen* odnalazła się w nowej rzeczywistości, całkowicie panuje na sytuacji i odpowiedzialnie matkuje siostrze, gdy nagle wszystko się zmienia i okazuje się, że to *Arn* jest bliżej... ludzi, choć nie skrywa chęci powrotu do domu opieki, gdzie wszystko było jak należy – pora posiłku, spacer, sen... Kończą się stare ciastka a *Hagen*, która ciągle wybiera się na zakupy, niestety, nie potrafi opuścić mieszkania. Siostry rozmawiają, planują bez końca – co i jak? Nic z tego nie wychodzi. Dzwoni telefon... i na scenę wkracza paraliżujący strach przed opiekunką społeczną, na którą zaczynamy wraz z siostrami czekać. *Hagen* w genialnej interpretacji Violetty Smolińskiej najpierw skromna, sympatyczna, spokojna, zrównoważona. W stosunku do siostry w chwilach, kiedy ta potrzebuje psychicznego wsparcia – jak mówi sama aktorka – po prostu „oschłe babsko”! Coraz mniej ją lubimy, chociaż kiedy zaczyna nas wkurzać – pokorniej. Tej kreacji nie da się zapomnieć. Warto dodać,

że za równie doskonałą rolę *Matki* w głośnej „Morfinie” aktorka otrzymała liczącą się Nagrodę im. Jacka Woszczerowicza. Ewa Kutynia wchodzi w swoją postać powolutku, początkowo drażni – sprawia wrażenie jakby dopiero przymierzając się do roli, ale z każdą chwilą bardziej intryguje, przejmując sympatię widowni. Mimo kilku krzyków, to rola nakreślona delikatnie, pastelowo. Kobiety czekają... I nagle pojawia się postać szalona, początkowo myślimy, że to opiekunka. Do pozornie spokojnego domu wkracza żywioł prosto z... domu wariatów – krzykliwe babsko, zamykające za sobą drzwi na zamek, z zeszytem pełnym kolorowych wklejek. Robi się niemiło, chociaż siostry specjalnie się nie denerwują... Jak się okazuje wolą tę wizytę od odwiedzin prawdziwej opiekunki, ciągle przecież nie wiedzą, gdzie im będzie lepiej – we własnym mieszkaniu czy w zakładzie? Ta barwna papuga-pleciuga krzyczy, straszy, wygaduje głupstwa, wali pieczętą. Grażyna Bułka jest, jak zawsze, rewelacyjna. Rozbija rytm przedstawienia (ile tu odniesień do naszej mało ciekawej współczesności!), akcja się zmienia... Jak to wszystko się skończy? Każdy musi się sam przekonać. To jedno z tych przedstawień, które koniecznie trzeba obejrzeć – ono pozostanie już na zawsze w historii polskiego teatru!

Artystyczna biografia Ingmara Villqista jest niezwykle bogata. To nie tylko doskonały dramaturg, reżyser, to także wspaniały felietonista („Gazeta Wyborcza”). Szefował Teatrowi Miejskiemu w Gdyni im. Witolda Gombrowicza i Festiwalowi Polskich Sztuk Współczesnych R@Port, związany był również z Galeria Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach (dyrektor artystyczny) i z „Zachętą” – Narodową Galerią Sztuki w Warszawie (wicedyrektor), kurator wielu znaczących wystaw plastycznych (jak mało kto potrafi przybliżyć malarstwo i artystów zwykłym zjadaczom chleba), wykładowca historii sztuki, filmowiec. Można tak bez końca. Renesansowa postać. Spektakl na Scenie Kameralnej przygotował sam. Złośliwi powiadają, że nie lubi współpracować z innymi. Ja uważam, że artyści przy dziele tak kameralnym nic nie powinno rozpraszać. Jeśli sam potrafi sztukę napisać, wyreżyserować i umieścić w tak przemawiającym do wyobraźni wnętrzu tym większa mu chwała!

WITOLD KOCIŃSKI

Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach, Scena Kameralna.

Ingmar Villqist *Chłopiec z łabędziem*. Scenariusz, reżyseria, scenografia: Ingmar Villqist; koncepcja światła: Maria Machowska; realizacja światła: Waldemar Janiszek; inspicjentka i suflerka: Barbara Dudek; garderobiana, rekwizyty: Aneta Oskard. Prapremiera: 8 maja 2015 r.



Jubileusz uczczono premierami: „Verbum nobile” i „Na kwaterunku...” Stanisława Moniuszki

7 dekad bytomskiej Jubilatki

WIESŁAWA
KONOPELSKA

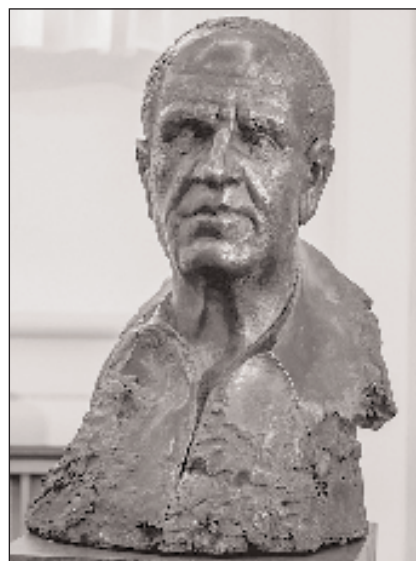
„Data, która na zawsze pozostanie najważniejszą w dziejach Opery Śląskiej – ów historyczny czwartek 14 czerwca 1945 roku, gdy na scenie katowickiego teatru odbyła się premiera „Halki” przygotowana przez zespół skupiony wokół Adama Didura, kreatora tego przejmującego wydarzenia o trwałym miejscu w polskiej kulturze” – pisał przed 20 laty Tadeusz Kijonka w monograficznej księdze „Pół wieku Opery Śląskiej”.

14 czerwca 2015 roku, z okazji jubileuszu 70-lecia Opery Śląskiej, wznowiony został spektakl „Halki”, którego premiera miała miejsce 10 lat temu, 18 czerwca 2005 roku. Tradycją bowiem stało się, że tzw. „okrągłe” jubileusze przynoszą nowe inscenizacje tego Moniuszkowskiego dzieła. Tym razem był to spektakl przygotowany pod kierownictwem muzycznym Tadeusza Serafina, który poprowadził również jubileuszowy koncert. Przed laty autorem inscenizacji jak i reżyserem był Marek Weiss-Grześniński, scenografia powstała w oparciu o projekt Borisa E. Kudlički i Marcelego Sławińskiego. Wznowienie przygotowali Bernadeta Maćkowiak i Tadeusz Pizsek.

Wznowienie sceniczne „Halki” było zwieńczeniem Jubileuszowego Festiwalu Opery Śląskiej, który trwał od 30 maja, a rozpoczął się premierą dwóch dzieł Stanisława Moniuszki: „Verbum nobile” i „Na kwaterunku czyli Noc świętojańska albo Sobótka”.



Za moment nastąpi uroczyste odsłonięcie popiersia Bogdana Paprockiego. Na zdjęciu (od prawej): Tadeusz Kijonka – inicjator uhonorowania Bogdana Paprockiego, dyrektor Tadeusz Serafin i prowadząca galę red. Violetta Rotter-Kozera



Popiersie Bogdana Paprockiego dłuta prof. Adama Myjaka – dar Teatru Wielkiego w Warszawie dla Opery Śląskiej w Bytomiu

Przybywających na koncertowe i operowe wieczory witał wyświetlany na kurtynie teatru portret wielkiego Adama Didura, a z off'u dobiegał jego głos zarejestrowany na archiwalnym nagraniu.

Na program festiwalu złożyły się spektakle i spotkania z wybitnymi artystami tej zasłużonej sceny. Był więc wznowiony z tej okazji spektakl dla dzieci „Zaczarowany bal, czyli krasnoludki, krasnoludki” Katarzyny Gaertner i Tadeusza Kijonki, widowisko baletowe „Pan Twardowski” Ludomira Różyckiego połączone z warsztatami dla młodych widzów, występ chóru Opery à cappella „COS na polską nutę”. Z dzieł współczesnych przypomniano operę „Manru” Ignacego Jana Paderewskiego. Wydarzeniem był wieczór przygotowany z okazji jubileuszu 60-lecia pracy artystycznej wybitnej śpiewaczki Krystyny Szostek-Radkowej, przez kilka lat (od 1959 do 1962) związanej z bytomską sceną, a prowadzony przez Wiesława Ochmana.

Premierowe przedstawienie „Verbum nobile” i „Na kwaterunku...” muzycznie przygotował Krzysztof Dziewięcki, zaś reżyseria i inscenizacja była dziełem Henryka Konwińskiego. Nie po raz pierwszy te Moniuszkowskie dzieła pojawiły się w repertuarze Opery Śląskiej. Wcześniejsze premiery „Verbum nobile” miały miejsce w latach 1948 i 1972. Z kolei „Na kwaterunku...” miało tylko jedną premierę – w 1954 roku. Tym razem oba dzieła pokazano podczas jednego premierowego wieczoru, 19 maja 2015 roku, należą one do mniej znanych utworów Moniuszki. Henryk Konwiński postanowił, że tym co łączy owe utwory będą protagoniści z „Verbum nobile”, którzy pojawiają się w baletowym dziele „Na kwaterunku...”. Powstało – jak mówił Konwiński – raczej przedstawienie „na temat”, aniżeli dokładne odwzorowanie tych utworów o nieskomplikowanej fabule. I tak śpiewacy zaistnieli w balecie, a tancerze w przedstawieniu operowym. Powstała zgrabna całość, lekka w swym charakterze, bawiąca widza, dziejąca się w baśniowej scenierii Świętojańskiej Nocy. Główne partie w operze „Verbum nobile” powierzono Bogdanowi Kurowskiemu (*Servacy*), Ewelinie Szybilskiej (*Zuzia*), Juliuszowi Ursynowi Niemcewiczowi (*Marcin*), Kamilowi Zdeblowi (*Stanisław*). Z kolei w baletowym „Na kwaterunku...” partię *Zosi* tańczyła Aleksandra Piotrowska, *Marysi* – Aleksandra Ulewicz, *Pani Róży* Katarzyna Wieliczko Pos, *Antka* Artur Dmochowski a *Jasi* – Joanna Kurkowska.

Niewątpliwie wydarzeniem jubileuszowego festiwalu było wznowienie „Halki” Stanisława Moniuszki, zwłaszcza że pierwszoplanowe role śpiewała Jolanta Wagner (*Halka*) i Sylwester Kostecki (*Jontek*) okrzyknięty już przed laty jednym z najlepszych wykonawców tej partii. W istocie, artyści w przejmujący sposób, z wielką kultu-



Scena zbiorowa z I aktu „Halki” – sprawdziły się po latach znakomite, nowoczesne rozwiązania scenograficzne. W pierwszym rzędzie, w środku: Aleksandra Stokłosa (*Zofia*) i Adam Szerszeń (*Janusz*), powyżej Bogdan Kurowski (*Stolnik*)

Foto. Tomasz Zak/BPUM

wą wokalną i znakomitą aktorstwem kreowali powierzone im role. Po latach sprawdziła się ascetyczna, biała symboliczna scenografia z mocnymi kolorystycznymi akcentami (kostiumy). Z pewnością w takiej obsadzie było to jedno z najlepszych przedstawień tego sezonu, godne zwieńczenia 70-lecia Opery. Przejmujący wydźwięk miało wprowadzenie do spektaklu kilkuletniego już dziecka (w tej roli znakomita Żuzanna Szubert) – co sprawdziło się już podczas premiery w 2005 roku. Dysponująca mocnym sopranem Wagner – *Halka* i dramatyczny tenor Kosteckiego – *Jontka* dopełniały całości znakomitego spektaklu. W ich wykonaniu postaci dość statyczne nabrały wyrazistości, a bardzo znane pieśni i arie zyskały na sile i tragicznej wymowie. Duetowi znakomicie wtórował trzeci z głównych bohaterów – kreujący partię *Janusza* Adam Szerszeń. Było to więc popisowe widowisko operowe, pokazujące, że nawet najbardziej znane dzieła, a „Halka” z pewnością jest takim, potrafią wzruszać i na czas trwania wszystkich czterech aktów przyciągać uwagę widza. Trzeba również wspomnieć o znakomitej choreografii, akrobatycznych, bardzo nowocześnie potraktowanych tańcach i bardzo dobrym przygotowaniu chóru. Jubileuszowe wykonanie „Halki” zostało znakomicie przyjęte przez publiczność. Dzieło Moniuszki, które tego wieczoru poprowadził Tadeusz Serafin dyrektor Opery Śląskiej zyskało nowy blask. Było też znakomitą tłem do drugiej części wieczoru, podczas której wygłoszono wiele serdecznych słów pod adresem solistów, zespołów artystycznych i dyrekcji Opery.

Zanim jednak 14 czerwca rozpoczęła się wieczorna gala, w holu gmachu Opery odsłonięte zostało popiersie wielkiego śpiewaka, wybitnego tenora, legendy polskiej sztuki wokalne Bogda-



Wspaniały duet: Jolanta Wagner (*Halka*) i Sylwester Kostecki (*Jontek*) udowodnił, że w ich wykonaniu nawet tak znana opera może nadal wzruszać

Foto. Tomasz Zak/BPUM

na Paprockiego (1919-2010). W pamięci melomanów pozostaną znakomite kreacje, które prezentował na deskach bytomskiej sceny, a wśród nich popisowa partia *Jontka* w „Halce”.

Popiersie Paprockiego to kopia dzieła – rzeźby prof. Adama Myjaka, która zdobi wnętrze Teatru Wielkiego w Warszawie. Do Bytomia trafiło dzięki Tadeuszowi Kijonce, który był inicjatorem tego wydarzenia, jak i dzięki hojności Waldemara Dąbrowskiego, byłego ministra kultury a obecnie dyrektora Teatru Wielkiego. W ten oto sposób Bogdan Paprocki powrócił po latach do miejsca, w którym debiutował w 1946 roku partią *Alfreda* w „Traviacie” Verdiego u boku Barbary Kostrzewskiej w partii *Violetty*. To zdarzyło się w zaledwie rok po pierwszym przedstawieniu „Halki”. Teraz zajął należne mu, honorowe miejsce.

Miejska Biblioteka Publiczna w Żorach

Wyprzedzać potrzeby użytkownika



Spotkanie Klubu Czytających Rodzin „Czytalińscy”

Zdjęcia z archiwum MBP w Żorach

Kilkanaście lat temu, kiedy nowe technologie wkroczyły w nasze życie codzienne, zaczęto wieszczyć kres książki i bibliotek. Niektórzy, niestety, głoszą te „prawdy”, nie zadając sobie trudu odwiedzenia biblioteki i przekonania się, że ich wyobrażenia są dalekie od rzeczywistości.

Bibliotekarze nie przespali zmian zachodzących w otoczeniu. Dziś biblioteki oferują książki tradycyjne – papierowe, ale też audiobooki oraz publikacje elektroniczne przeznaczone na czytelniki czy dostępne w czytelni on-line lub w bibliotece cyfrowej. Miejska Biblioteka Publiczna w Żorach książki we wszystkich tych formach udostępnia swoim użytkownikom. Mają oni do dyspozycji ponad 700 tytułów audiobooków oraz – dzięki przystąpieniu MBP do Konsorcjum IBUK Bibliotek Publicznych Województwa Śląskiego – ponad 1900 tytułów książek elektronicznych z Czytelni IBUK.

MBP w Żorach jest wieloletnim uczestnikiem Śląskiej Biblioteki Cyfrowej, w której umieściła 71 tytułów o tematyce żorskiej. Statystyki dowodzą, że zdigitalizowane przez nas pozycje cieszą się coraz większą popularnością. W 2014 r. ich wykorzystanie wzrosło 10-krotnie i wyniosło 23 958 wyświetleń. Nową propozycją biblioteki jest możliwość wypożyczenia za kaucją czytelników wraz z kolekcją e-booków. Do tej pory czytelnicy e-booków dostępne były na miejscu w Bibliotece Centralnej.

Uzupełnieniem oferty czytelniczej są gazety i czasopisma, edukacyjne programy multimedialne, płyty z muzyką, filmy na nośnikach DVD i Blu-ray czy program prawniczy Legalis, z którego można skorzystać w każdej placówce. Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom użytkowników, udostępniamy darmowe stanowiska internetowe, skanery, drukarki, kserokopiarki, a w Bibliotece Centralnej działa hotspot umożliwiający połączenie z Internetem za pomocą urządzeń mobilnych.

Prowadzony we współpracy z Urzędem Miasta Punkt Przystanek Praca (adresowany do osób bezrobotnych i poszukujących zatrudnienia) umożliwia nie tylko darmowe przeszukiwanie zasobów internetowych, ale również bezpłatny druk dokumentów aplikacyjnych oraz skorzystanie z pomocy bibliotekarza przy ich redagowaniu.

Biblioteka przygotowała się do obsługi osób z dysfunkcjami słuchu i wzroku. Sześciu pracowników księżnicy ukończyło kurs języka migowego, a jeden – audiodeskrypcji. W ramach usługi Książka na Telefon osobom chorym, niepełnosprawnym i starszym zbiory dowożone są do domu.

Bibliotekarze, a wśród nich dwóch Latamików Polski Cyfrowej, prowadzą indywidualne warsztaty komputerowe i internetowe dla osób 50+. Kursanci mają możliwość nauki obsługi komputera stacjonarnego, laptopa, tabletu oraz różnych programów użytkowych. Uczą się korzystania ze Skype’a, obsługi

konta pocztowego i bankowego, a także zdobywają wiele innych umiejętności, co zapobiega ich cyfrowemu wykluczeniu.

Proponujemy spędzanie czasu wolnego nie tylko przy lekturze książek i prasy, oglądaniu filmu czy słuchaniu muzyki. Jedną z form wypoczynku w bibliotece są gry na PC, PlayStation 3, Xbox 360 Kinect i gry planszowe. Na najmłodszych czekają kąciaki zabaw.

Mieszkańcy Żor w każdym wieku mogą uczestniczyć w cyklicznych warsztatach kreatywnych („W kręgu sztuki”, „Kuznia Talentów”, Klub Zaczarowanego Ołówka), spotkaniach dwóch Dyskusyjnych Klubów Książki oraz zajęciach prowadzonych w języku angielskim „Chatting with tea”. Z myślą o dzieciach organizowane są zabawy z językiem angielskim „Library isn’t scary” i spotkania Klubu Moli Książkowych „Młodzi Odkrywczy”.

Do odwiedzenia żorskiej księżnicy zachęcają interesujące wystawy, spotkania autorskie, warsztaty fotograficzne, zajęcia dogoterapii, spektakle teatralne, spotkania Klubu Czytających Rodzin „Czytalińscy” oraz wiele innych różnorodnych imprez organizowanych przez cały rok. Wśród nich są znane ogólnopolskie i międzynarodowe projekty: Bookcrossing, Narodowe Czytanie, Noc



Inauguracja Tygodnia Czytania Dzieciom (2015)

z Andersenem, Tydzień Bibliotek, Tydzień Czytania „Cała Polska czyta dzieciom”, Święto Pluszowego Misia i Urodziny Książkowego Misia, Dzień Wolnych Książek, Wiosenna Zbiórka Książek, Dzień Bezpiecznego Internetu, Tydzień E-książki, Światowy Dzień Książki i Praw Autorskich. Biblioteka realizuje też swoje autorskie przedsięwzięcia, takie jak cieszące się nieustającą popularnością imprezy promujące czytelnictwo: Książka dla Trzyłatka, Żorski Dzień Głośnego Czytania, Jesienne Spotkania z..., Wiosenne Spotkania Literackie czy projekt Zaczytane Miasto (zainicjowany przez UM, a od dwóch lat realizowany przez bibliotekę).

Wskaźniki odwiedzin w 2014 r., kiedy po raz pierwszy liczba osób korzystających ze zbiorów i usług na miejscu przekroczyła liczbę czytelników przychodzących wyłącznie do wypożyczalni, dowodzą, że mieszkańcy Żor zaczynają postrzegać bibliotekę jako atrakcyjne miejsce spotkań.

Pracownicy biblioteki wykorzystują nowe technologie w swojej codziennej pracy.

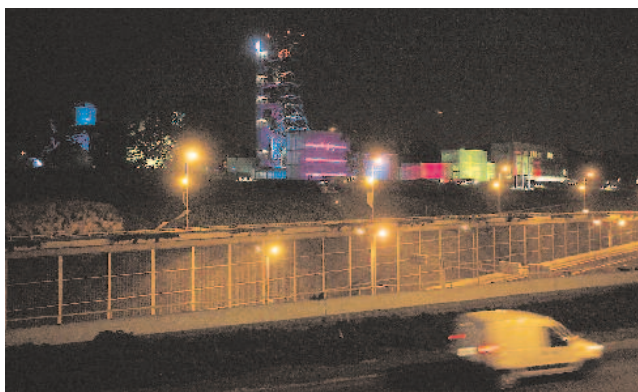
Wszystkie placówki są skomputeryzowane, obsługę czytelników ułatwia system biblioteczny Sowa, a większość zbiorów znajduje się w katalogu elektronicznym. Biblioteka prowadzi własną stronę internetową i profil na Facebooku, współpracuje z wieloma portalami internetowymi, zamieszczając informacje o usługach i wydarzeniach. Profile na Facebooku mają też Filia nr 5, projekt „W Kręgu Sztuki” oraz Klub Czytających Rodzin „Czytalińscy”. Powstały dwa blogi biblioteczne, na których pojawiają się bieżące informacje o wydarzeniach w placówkach. Na stronie internetowej działają m.in. usługi: „Zapytaj bibliotekarza” oraz „E-dezyderatka”, za pomocą której czytelnicy mogą zgłaszać swoje propozycje zakupu. Miłośnikom fotografii biblioteka umożliwia prezentację zdjęć cyfrowych w formie wirtualnej wystawy na stronie internetowej i w holo Biblioteki Centralnej w ramach projektu FotoTon.

Nie zapominamy o utrwalaniu codzienności Żor. Gromadzimy dokumenty życia społecznego, opracowujemy opisy artykułów i wydawnictw dotyczących miasta i mieszkańców do bibliografii regionalnej (dostępnej na naszej stronie internetowej), która zawiera obecnie blisko 24 000 pozycji.

Uzupełnieniem tych działań jest wydanie drukiem dwóch retrospektywnych tomów „Bibliografii Miasta Żory”, obejmujących lata 2001–2011. Obecnie trwają prace nad kolejnymi opracowaniami za lata 1965–2000.


MBP w Żorach ze swoją ofertą staje się nie tylko instytucją nieodzowną, ale także atrakcyjną, nowoczesną, innowacyjną, a jej użytkownicy coraz częściej deklarują – by przywołać hasło tegorocznego Tygodnia Bibliotek – „Wybieram bibliotekę”.

URSZULA KRZYK



MUZEUM ŚLĄSKIE – nowe otwarcie

Fotoreportaż Arkadiusza Ławrywiańca

Znaki i twarze miasta 





Kresowianie na Śląsku Opolskim – pamięć i modlitwa

Przedstawiciele władz państwowych i samorządowych oraz mieszkańcy regionu uroczyście obchodzili 70. rocznicę przybycia Kresowian na Śląsk Opolski oraz Dzień Pamięci Ofiar Ludobójstwa na Kresach Wschodnich II RP (ustanowiony uchwałą Sejmiku Województwa Opolskiego). Główne obchody odbyły się w Opolu pod Pomnikiem Bojowników o Polskość Śląska Opolskiego, u stóp którego umieszczona jest pamiątkową tablica poświęcona ofiarom kresowej tragedii. Irena Kalita, prezes opolskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, w swoim wystąpieniu powiedziała: *w latach 1943-1947 z rąk ukraińskich nacjonalistów zginęło 200 tysięcy Polaków. Nie dlatego, że byli winni, ale dlatego, że byli Polakami*. Rocznicowe uroczystości odbywały się w kościołach, przy pomnikach i tablicach pamiątkowych w wielu miejscowościach województwa opolskiego m.in.: w Niemodlinie pod pomnikiem Ludwika „Lwa” Malinowskiego – komendanta legendarnej obrony Przebraża, w Kędzierzynie-Koźlu, w Brzegu (z udziałem mjr. Adama Kownackiego, jednego z ostatnich żyjących obrońców Przebraża), w Tarnowcu (Gmina Lubsza, powiat brzeski), gdzie mieszkańcy wsi wzniesli pomnik pamięci swoich rodziców i dziadków pochodzących z okolic Zaleszczyk. Obchodom rocznicowym towarzyszył nastrój powagi i zadumy. Podczas mszy świętych modlono się w intencji ofiar zbrodni, ale także za tych Ukraińców, którzy ratowali polskich sąsiadów, szczególnie przesłanie niosły modlitwy o pojednanie i przyjaźń między narodami – polskim, ukraińskim i niemieckim. Wcześniej przed obchodami tragedii wołyńskiej, w bardziej pogodnym duchu odbywały się w Opolu i Łosiosie – Wojewódzkie Spotkania Kresowian i XI Festiwal Piosenki Kresowej z udziałem kilkudziesięciu zespołów z województwa opolskiego i dolnośląskiego.

jiw

Fot. L. Józwenko



Pomnik w Tarnowcu upamiętniający Polaków pomordowanych oraz przymusowo wysiedlonych z Kresów Wschodnich II Rzeczypospolitej

Fot. M. Krzyżanowski



Pomnik upamiętniający komendanta partyzanckiej samoobrony Przebraża Ludwika „Lwa” Malinowskiego, znajdujący się na Placu Obrońców Przebraża w Niemodlinie

Fot. arch. UMWO



Kresowianie i kombatanci składają kwiaty pod tablicą ofiar kresowych tragedii w trakcie uroczystości w Opolu



Chór „Echo Kresów” z Kędzierzyna-Koźla, który swoim występem uświetnił obchody VI Opolskich Dni Kresowych w Opolu zorganizowanym przez UMWO i WBP

Fot. L. Józwenko

Fot. M. Krzyżanowski



Burmistrz Niemodlina Dorota Koncewicz (czwarta od lewej) i Grzegorz Sawicki członek Zarządu Województwa opolskiego (szósty od lewej) z przedstawicielami organizacji kresowych i kombatantskich po złożeniu kwiatów pod Pomnikiem Obrońców Przebraża



Chór działający przy Publicznej Szkole Podstawowej w Borkach Wielkich prezentuje się w trakcie XI Wojewódzkiego Przeglądu Piosenki Kresowej

Fot. R. Huk

Zdenek Sverak: *Podwójne widzenie*. Tłum. Dorota Dobrew i Jan Wąglowski. [Seria: Czeskie Klimaty] Wyd. Światowe Klimaty, Wrocław 2015, s. 370.

Cimrman – wynalazca, artysta, pisarz, uczony, człowiek, który Republice Czeskiej zapewnił dostęp do morza – byłby najwybitniejszym Czechem XX wieku, gdyby... istniał. Tę niezwykłą postać wymyślił właśnie Zdenek Sverak do spółki z Janem Smoljakiem, po czym do uzupełniania życia i dzieła tego geniusza dołączyli inni czescy artyści. Jednak w Cimrmanie można odnaleźć coś z jego twórcy. Sverak jest bowiem także „multi”, jest pisarzem, scenarzystą, twórcą telewizyjnego programu podobnego do naszego *W starym kinie*. Jest również aktorem i to wybitnym. Film *Kola*, w którym zagrał główną rolę (reżyserem był jego syn Jan), zdobył Oscara dla najlepszego obrazu zagranicznego. Rozpisuję się tak o autorze, bo wydaje mi się, że w Polsce jest mało znany a bardzo chciałbym zachęcić do lektury zbioru jego opowiadań z lat kilkadziesiąt. Ktoś porównuje Sveraka do Hrabala, moim zdaniem niesłusznie, bliżej mu bowiem do Kundery z czasów *Żartu czy Śmiesznych miłości*. Do opowiadań zamieszczonych w *Podwójnym widzeniu* śmiało można zastosować cytaty: „to tak w każdym z nas coś woła, jakaś historia wesoła a ogromnie przez to smutna”. Jest w tych opowieściach komizm, jednak w końcu dochodzi do nas informacja, że za tymi bawiącymi nas opisami kryje się dramat. Sverak jest mistrzem konstrukcji, wciąga czytelnika w śledzenie losu bohatera-narratora, przewidywanie przebiegu wydarzeń, po czym następuje zaskakujące zakończenie. Jeżeli ktoś chce się dowiedzieć czy Azjatki powinny mówić prawdę, dlaczego skrzynka pocztowa może złamać życie albo jak zarabiać na wchodzeniu w przeciwdeszczowym płaszczu pod prysznic w łaźni miejskiej – koniecznie musi po to opowiadania sięgnąć. To także książka dla lubiących historie miłosne, które nie zawsze muszą się kończyć marszem weselnym. Miłośników sensacji na pewno usatysfakcjonuje opowieść o tym, jak z za grobu może zabić najwybitniejszy czeski kompozytor Bedřich Smetana. Polecam ten zbiór z czystym sumieniem. Dwa lata wcześniej ukazały się opowiadki Sveraka dla dzieci *Ucieszki Cieszka*, też piękne.

In gremio. Od dawności do współczesności. [Red. Jan Malicki, Jan Baron] Wyd. Biblioteka Śląska, Katowice 2014, s. 168.

Te spotkania odbywają się w Bibliotece Śląskiej od wielu lat. Gromadzą doktorantów i pracowników naukowych z całego kraju. Rozmawia się wtedy o pracach młodych literaturoznawców przygotowywanych do wydania. A o tym, że uczeni rzeczywiście rozprawiają sobie na tematy „od dawności do współczesności” świadczą już tytuły prezentowanych podczas konferencji materiałów. Kilka przykładów – Jacek Kwosek: *Jalmużna w świetle „Sumy teologicznej” św. Tomasza z Akwinu* i „*Kazań o miłosierdziu*” Piotra Skargi. *Próba wypuklenia niektórych aspektów*; Zuzanna Baron: *Zołnierska droga. Erazm z Rotterdamu i Ignacy Loyola*; Weronika Kocela: *Wizerunek położnej w poradnikach medycznych z drugiej połowy XVIII wieku*; Kamila Falińska: „*Najwstydlwsza z tajemnic człowieka / nie umie być sam póki żyje i gdy umiera*”. *O doświadczeniu samotności w wybranych wierszach Janusza Stanisława Pasierba*. Lubię czytać materiały z naukowych konferencji, bo zawsze odkrywam coś ciekawego, czego i Państwu zyczę.

Zbigniew R. Wieczorek: *Ameryka jest dla byka*. Wyd. ZEW-PRESS, Katowice, s. 60.

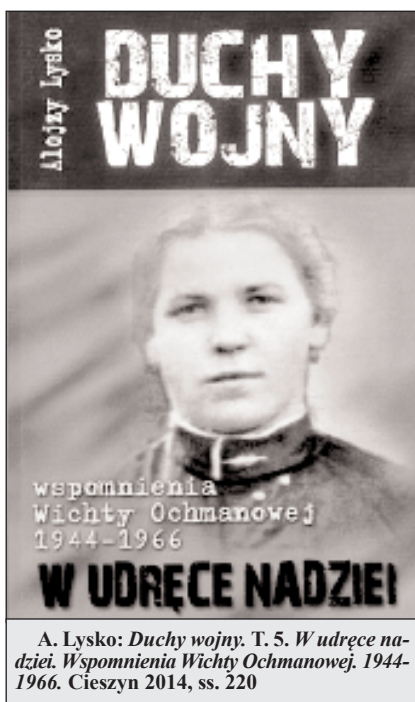
Autor, katowicki dziennikarz, w 2005 roku obchodził pięćdziesiąte urodziny i ten fakt uczcił podróżą do Ameryki. Konkretnie do Chicago, gdzie spędził dwa tygodnie. Czternaście dni wystarczało, żeby napisać książkę, no – książeczkę. Nie jest to reportaż ani jakieś studium tamtejszego środowiska polonijnego. To raczej migawki, impresje, spostrzeżenia. Ciekawy jest klucz do tych zapisków. To liczby. Na przykład: „1 cent” (tyle kosztuje bilet komunikacji miejskiej po upojnym Sylwestrze), „2/5 Bałtyku” (taką powierzchnię zajmuje jezioro Michigan, nad którym leży „Wietrzne Miasto”), „25 dolarów” (cena biletu na koncert „Tercetu Egzotycznego”) itd. itp. Wiele rzeczy kojarzy się tam autorowi z Katowicami. Kiedy na przykład pojechał rowerem nad jezioro (nie dojechał), zapach przypomniawszy mu Rawę. Jest też rozdział o tym, jak pisał scenariusz (niezrealizowany) dla Lecha Majewskiego o dziewczynie z ulicy Mariackiej. Można powiedzieć, że ta publikacja to zbiór ciekawostek do czytania na leżaku.

Zdzisław Gębolyś: *Bolesław Ciepela. Monografia bibliograficzna*. Wyd. PROGRES, Sosnowiec 2015, s. 264.

Autor podkreśla, że w swojej książce połączył opracowanie bibliograficzne i biograficzne. Bolesław Ciepela jest w zagłębiowskim środowisku literackim postacią znaną. Napisał 49 książek, ponad 1300 tekstów prasowych, monografię miejscowości, jak też opracowań zwartych dotyczących górnictwa węglowego w Zagłębiu Dąbrowskim. Jest honorowym prezesem będzinińskiego oddziału Stowarzyszenia Autorów Polskich, wiceprezesem Klubu Kronikarzy Zagłębia Dąbrowskiego im. dr. Jana Przemszy-Zielińskiego. Monografia zawiera szkic biograficzny Ciepeli, kalendarium jego życia i twórczości i analizę jego twórczego dorobku. Większą część tej pozycji stanowi bibliografia podmiotowa i przedmiotowa. Osobną część pracy stanowią liczne archiwalne zdjęcia rodzinne i dotyczące działalności zawodowej i publicznej. Dołączono także reprodukcje pocztówek z okładkami wydanych książek. Na końcu umieszczono streszczenia w językach angielskim, niemieckim, francuskim i rosyjskim.

Piotr Rutkowski: *Adam i Ewa idą do Nieba*. Wyd. Novae Res, Gdynia 2014, s. 202.

Zaczyna się od tego, że dziecko w łonie matki, znając powieść Londona *Martin Eden*, postanawia popełnić samobójstwo jeszcze przed narodzinami. Od razu więc wiadomo – proza postmodernistyczna i to trochę w stylu Bartha. Jednak to się da czytać. To się całkiem dobrze czyta. Chłopak (odrutowano go) nazywa się Stanisław Szatan, ale to nazwisko zupełnie do niego nie pasuje. Jest dobry, myślący, wrażliwy. Tylko żyje jakby w piekle. Gdzie? W Polsce lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. W tle pojawiają się najrozmaitsze realia tamtego okresu – pochodzą pierwszomajowy, przedszkolna zabawka, czyli czołg „Rudy”, jest i ponury stan wojenny. Pokazany w powieści obraz rzeczywistości nie jest przyjemny. Ludzie w otoczeniu Staszka Szatana są przeważnie źli (katechetka, nauczyciel, akademicki wuefista). Jednak w finale pojawiają się Adam i Ewa oraz Niebo. Autor jest dziennikarzem i filozofem. Warto podkreślić, że jako pisarz debiutował w 2001 roku na łamach miesięcznika *Śląsk*.



Duchy wojny po raz piąty

Tym cenniejsza więc wydaje się podjęta już przed laty inicjatywa śląskiego pisarza Alojzego Lyski, aby w formie powieściowej opowiedzieć taką historię Ślązaka siłą wcielonego do Wehrmachtu, szkolonego w Alpach i wreszcie posłanego na front wschodni, w końcu poległego gdzieś w ukraińskich stepach. Tak jak prawie dwa wieki wcześniej *Pan Tadeusz* Mickiewicza planowany jako niewielka idylla rozrósł się w końcu do 12 ksiąg, tak i cykl Alojzego Lyski *Duchy wojny* planowany najpierw jako trylogia rozrósł się ostatecznie do pięciu tomów, z których ostatni, zatytułowany *W udręce nadziei* i opublikowany przez wydawnictwo „Offsetdruk i media” z Cieszyna (pierwsze trzy tomy, poczynając od roku 2008, ukazały się nakładem wydawnictwa „Śląsk”), właśnie został wydany. Obejmuje on okres 1944-1966, a więc głównie lata powojenne, w których nie było żadnych wieści o zaginionym, aż do momentu poznania przez rodzinę prawdy o śmierci długo oczekiwanego ojca rodziny w 1944 roku.

Sam autor jest chyba najbardziej kompetentną osobą, aby podjąć się tego zadania. Pisząc znakomicie po śląsku bojszowianin mówi tu w pewnym sensie o sobie – jego ojciec też powołany został do Wehrmachtu i zginął w walkach na Ukrainie, o czym sam Lysko opowiadał w zrealizowanym przed paru laty filmie *Dzieci Wehrmachtu*, kończącym się sceną nad odnalezionym po latach grobem.

Oczywiście cały cykl, ciekawy również po prostu jako lektura, nie jest prostym pamiętnikiem czy zapisem przeżyć, raczej opartą na dokumentach – autentycznych listach żołnierzy z lat wojny – uogólnioną w ten sposób

opowieścią o losach jednego z żołnierzy wcielonych do Wehrmachtu. Sam autor pisał o tej metodzie już w wydanym przed laty pierwszym tomie *Duchów wojny*: „Przedstawione w książce fakty i wydarzenia oraz nazwiska, miejsce pochodzenia i losy bohaterów w większości przypadków są prawdziwe. Prawdziwa jest również historia 167. dywizji piechoty Wehrmachtu, opisana z perspektywy szeregowego żołnierza. Autentyczne w większości są cytowane w książce listy, choć wiele z nich opracowano stylistycznie i gramatycznie”.

Powtórmy więc – te tomy są znakomitą literaturą, dobrze napisane i atrakcyjne dla czytelnika, a jednocześnie porażają opowiadaną prawdą i autentyzmem wydarzeń. Dobrze też byłoby, gdyby wywołały dyskusję, na jaką z pewnością zasługują – książka mówi przecież o sprawach, choć pozornie już czasowo odległych, to przecież wciąż do końca w pełni nie wypowiedzianych i nie opisanych. Pewnie to przypadek, ale ostatni tom *Duchów wojny*, opisujący moment wkroczenia wojsk radzieckich, traktujących zwłaszcza teren Śląska pozostający w okresie przedwojennym poza granicami państwa polskiego jako ziemię po prostu zdobyczną, niemieckie i tak odnosząc się – pisano już wiele o ówczesnych zbiorowych mordach, gwałtach i rabunkach – do wyczekującej zwycięzców ludności cywilnej, ukazuje w roku 70-lecia tzw. Tragedii Górnośląskiej, znaczonej także m.in. deportacjami i wywózkami do Związku Radzieckiego, których ofiarą padali zwykle przypadkowi ludzie. Nad listą konkretnych nazwisk pracuje obecnie katowicki oddział IPN i wiadomo, że doliczono się już ponad 30 tys. osób wywiezionych na Wschód. Niektórym udało się powrócić, wielu jednak już nie.

Ostatni tom *Duchów wojny* Alojzego Lyski opowiada właśnie o tych latach oczekiwania i niepewności, widzianych z perspektywy rodziny żołnierza Wehrmachtu, jego żony i dzieci. I wzruszająco się on zaczyna słowami autora do nieżyjącej już Matki, która była pierwowzorem narratorki tej książki. Alojzy Lysko pisze: „Wiy, coście przeszli w życiu. O każdym Waszym krzyżyczku wiy! O każdym mógłbych coś pedzieć. Przyrzek żech se, że wszystkie te krzyżyczki pozbiyrom i napisza ksiożka o Wos. Pan Bóg mi to doł, żech to przyrzeczeni mógł wypęnić. We dwudziesto rocznica Waszyj śmierci jom ogłoszom. Niech swiat wiy, coście podżyli”.

JACEK LYSZCZYNA

Już 70 lat minęło od zakończenia wojny, a przecież do dziś tak naprawdę kwestia ta nie została do końca poznana i przyswojona. Chodzi o służbę Ślązaków – ale przecież nie tylko, dowodem może być opublikowany niedawno pamiętnik Joachima Cerafickiego *Waserpolacken*, opisujący powołanie i służbę w szeregach niemieckiego wojska Polaka z Bydgoszczy. I nie chodzi tu bynajmniej – a niestety do dziś często spotkać się można z fałszywymi opiniami na ten temat – o wstąpienie dobrowolne, z pobudek ideologicznych, choć i z takimi wypadkami oczywiście się spotkamy. Znakoμίta jednak większość nie-Niemców uczestniczących po stronie niemieckiej w II wojnie światowej powołana została do wojska wbrew własnej woli, odmowa bowiem z pewnością spotkałaby się z represjami nie tylko wobec niedosłego żołnierza, ale i jego rodziny. A pomijając kwestie ideologiczne i narodowościowe, dla każdego przymusowego żołnierza oznaczało to nade wszystko opuszczenie na długo – czasem już na zawsze – swojej rodzinnej ziemi i najbliższych – rodziców, żony, dzieci, oznaczało także groźbę kaleczenia i śmierci.

W ostatnim czasie ukazały się prace historyków podejmujące ten problem (np. Ryszarda Kaczmarka *Polacy w Wehrmachcie*), jednak w świadomości społecznej z jednej strony funkcjonuje wiele mitów, z drugiej zaś – sami zainteresowani przez wiele powojennych lat z reguły unikali tego tematu, i to nawet w rozmowach z najbliższymi, a dziś często jest za późno na wspomnienia i relacje tamtych wydarzeń.

W stwierdzeniu Leszka Bugajskiego, iż „tę powieść napisałby Bułhakow, gdyby żył na Śląsku w latach pięćdziesiątych”, nie ma cienia przesady. Richard A. Antonius, właściwie Ryszard Antoniszczak, wybrał bowiem najlepszą z możliwych dróg, aby przeprowadzić współczesnego czytelnika przez mroki lat stalinowskich i to *nomen omen* w Stalinogrodzie. Wybrał ścieżkę, która jest swoistą kompilacją oniryzmu, dziecięcego spojrzenia na świat i jakiejś autorskiej wersji realizmu magicznego. Potrzebne było zatem pióro niezwiązane ze Śląskiem, potrzebna była wyobraźnia plastyka, scenarzysty i reżysera filmów animowanych, by ożywić ów sierniżny czas niczym szkiełka w kalejdoskopie i omijając rafy niebezpiecznych sądów i kłótni ideologiczno-historycznych, ukazać tamtą dekadę z wszystkimi jej rzeczywistymi obrzydliwościami. A tych było naprawdę wiele i by nie znamionować Katowic jako miejsca bardziej przykrego od innych punktów na mapie powojennej Polski, autor wprowadził miasto swoich narodzin – Nowy Sącz, którego mieszkańcy zmagają się z własnymi upiorami, przede wszystkim tymi z przeszłości. Oczywiście wnikliwa lektura pozwala odnaleźć pewne uproszczenia, jednak te drobne mankamenty bledną w zestawieniu z bravurą prowadzoną narracją, z metaforyką godną nie tylko Michała Bułhakowa, ale też i Brunona Schulza, wreszcie giną w potoku pięknej polszczyzny doprawionej z wycuciem gwarą śląską, kresową oraz kolejańską, a także językiem rosyjskim, przywiezionym z zesłania przez dziadków głównego bohatera.

Postać Adama, dziewięciolatka, pisarz stworzył, aby jego oczami i uszami podejrzeć i podsłuchać świat lat 50. XX wieku w chwili, gdy z mapy Polski znikają Katowice, by zamiast nich mógł pojawić się prawdziwy lingwistyczny i historyczny bebok: Stalinogród. Młody bohater pozwolił autorowi uniknąć wielu zbędnych i zapewne niszczących tkankę powieści uwag, które miałyby charakter paranaukowych wykładów. A daś widzi, słyszy, podgląda, podsłuchuje, odnotowuje w pamięci i na mapach w swoim notatniku przeróżne fakty, odczucia, przeżycia, obrazy, ale niekoniecznie je wszystkie rozumie i na szczęście nie musi rozumieć. Jest przecież dzieckiem i ma prawo być zagubiony nie tylko w peerełowskich realiach, ale również w świecie dorosłych. Dzięki temu kolejne wypadki poznajemy jako ciąg niekiedy surrealistycznych, somnambulicznych, halucynacyjnych czy też fantasmagorycznych wydarzeń, których realność *de facto* jednak uznajemy, bo gdzieś w podświadomości przeczuwamy, że one lepiej tłumaczą przytłaczającą i sierniżną rzeczywistość lat 1953-

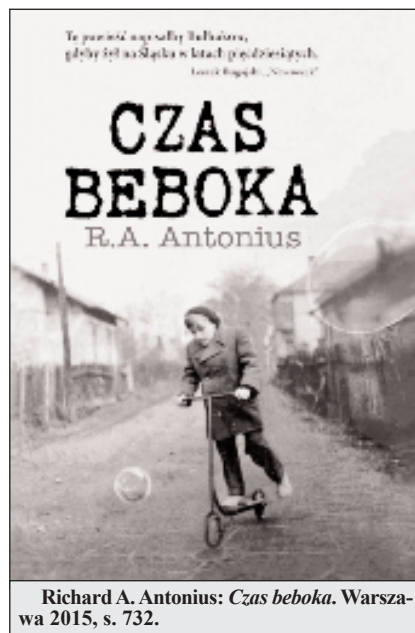
Wszystkie beboki Stalinogrodu

1954 (w tym okresie umieszczona jest fabuła) niż najbardziej nawet wnikliwe, mniej lub bardziej słuszne analizy historyków czy socjologów.

Dzięki temu Antonius uniknął także kilku niebezpiecznych i osobiście irytujących mnie w innych literackich produkcjach błędów: narracji nienawiści, moralizatorstwa, ducha rozliczania się oraz swoistej folkloryzacji peerełowskiej epoki. Antoniszczakowi udało się stworzyć własny język, którym opowiada o wiele więcej i trafniej o latach stalinowskich aniżeli niejedna publikacja historyczna. Dzięki świetnej narracji jesteśmy w stanie przyjąć za fakt niezaprzeczalny nawet taką fantazję, że w Stalinogrodzie lądował cyrk Kosmos. W końcu dowód na obecność kosmitów w Katowicach stoi po dziś dzień przy alei Korfantego (dodajmy: idea wybudowania Spodka pojawiła się już w 1955 roku)!

Czas beboka to przede wszystkim jednak wielka powieść o strachach, jakie zaludniają dziecięcą wyobraźnię, czają się w ciemnych kątach mieszkania, czekają zamknięte w kredensach i szufladach, przyjmują postać ojcowskiego pasa, gdy ten wije się nad głową dziecka, albo też ożywającej skóry dzika, która przechowywana jest w salonie wbrew większości domowników, są wszechobecne jak muchy, niewidoczne jak oddech firanek, falujące jak morze parkietu, niebezpieczne jak linie powstające z połączenia płyt chodnikowych, które skrupulatnie należy omijać, by świat nie zatrzymał się, rachityczne jak nielubiana nauczycielka matematyki, potrafią wskakiwać na plecy, ścisnąć za gardło lub wypchać lodowego sopła między łopatki, szeleszczą, trzeszczą, skrzypią i stukają.

Jednym słowem, beboki są wszędzie i mają zdolność przybierania wszelkich form i postaci. Potwierdza to także krótka ankieta, jaką przeprowadziłam wśród znajomych, pytając, jakie były ich beboki i jak rozumieją to słowo. Najbardziej interesująca była odpowiedź, że to personifikacja słowa „be” (nie dobre, złe, brzydkie), którym jakże często ra-



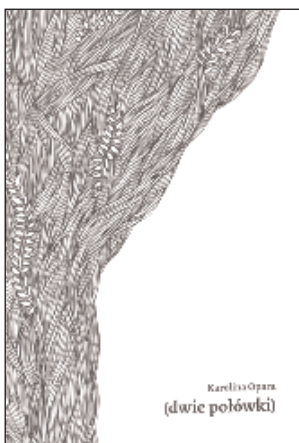
Richard A. Antonius: *Czas beboka*. Warszawa 2015, s. 732.

czymy dzieci, gdy chcemy je do czegoś zniechęcić. Beboka odbiera się jako coś nierzeczywistego, zjawę, ducha albo rodzaj dybuka. To ostatnie określenie (obok buki) pada zresztą także w powieści. Zapytani przeze mnie wyznawali, że straszono ich przyjściem beboka, gdy będą niegrzeczni. Dla jednej osoby jego uosobieniem była mysz, dla innej nauczycielka geografii, a dla kolejnej błędna duszyczka, diabeł Piszczalka, wiedźma czy Liczyrzepa. Zdarzało się także, że podawano różne określenia. W niektórych regionach mówiono bowiem babok lub bobok. Spotkałam się także z pozytywnym znaczeniem, którym posługiwano się jak swego rodzaju spieszczeniem.

Powieść Antoniusa to wyjątkowa podróż przez krainę strachów Adama, podróż, która może pomóc nam w zmierzaniu się z własnymi upiorami. To napisana bardzo plastycznym, niezwykle metaforycznym i pełnym wysmakowanego humoru językiem analiza dziecięcego spojrzenia na świat dorosłych. To również podglądanie oczami dziewięciolatka polityki, kultury, literatury, partyjnych prezasowań, systemu komunistycznego, mankamentów PRL oraz trudnych historii z II wojny światowej. Ale to także konfrontacja z bohaterami historii, a pojawia się ich w książce mnóstwo. Przyjmują one postać konkretnych osób, jak Stalin, Beria czy Cyrankiewicz; instytucji, jak szkoła, partia czy Urząd Bezpieczeństwa; wreszcie bolesnych wydarzeń, jak pogromy Żydów na ziemi sądeckiej czy przemianowanie Katowic na Stalinogród.

Czas beboka to w moim odczuciu najlepsza współczesna powieść o latach 50. w Polsce i o Stalinogrodzie, bez której znajomości trudno będzie zrozumieć tamtą dekadę i ów lingwistyczny nowotwór, równocześnie unikając pułapki patosu lub zgorzknienia.

KATARZYNA BERETA



Karolina Opara: *(dwie połówki)*. Wyd. „PK”, Katowice, 2015, s. 48.

Koronkowa książeczka

*Nie lubię wierszy o miłości i kobiet nam miłościwie panujących
nie lubię wierszy o śmierci i mężczyzn śmiertelnie poważnych*

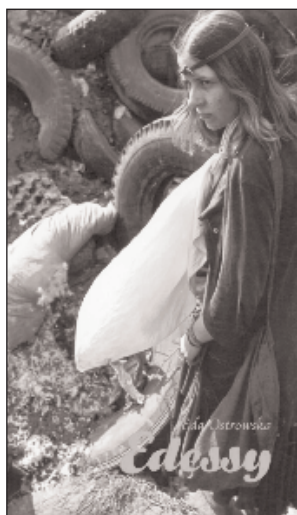
– pisze Karolina Opara w wierszu *Piosenka karlicy*, ale jej tomik *(dwie połówki)* traktuje... niemal wyłącznie o miłości i śmierci, czyli tematach dla wszelkiej twórczości artystycznej fundamentalnych i poruszanych od wieków wielokrotnie. Skoro tak, dlaczego jej debiutancką książeczkę trzeba uznać za wyjątkową? Bo te wiersze są świeże. Młoda poetka przemawia do czytelnika, co warto podkreślić, własnym głosem, odróżniającym się od spotykanych w większości książek poetyckich, które do mnie co miesiąc trafiają. Karolina Opara umiejętnie gra znaczeniami słów, potrafi odkrywać nieoczekiwane możliwości, które kryją się w języku, zaskakuje pomysłowością w konstruowaniu poetyckich konceptów. Jednak w przeciwieństwie do większości poetów-lingwistów – nie traci w swoich wierszach liryki. Przykładem może być wiersz otwierający tomik: „za dużo liter / w tym litrze / (dwie połówki)”. Krótki żart językowy, banalna informacja – litr to dwie połowy litra. Prosty zabieg – dodanie tytułu *miłość*, zmienia zupeł-

nie odbiór, w litrowej butelce „połówki” są połączone idealnie, nie do rozdzielenia, jest jeszcze wzmocnienie graficznie – nawias: (). Równowaga pomiędzy intelektualną zabawą leksykalną a przemawiającą do emocji treścią jest we współczesnej poezji czymś wyjątkowym, przez co cennym i oryginalnym. Wiersze Karoliny Oparę mają dla mnie jeszcze jeden wielki walor – poczucie humoru oraz ironiczny dystans do siebie. To rzadkość u dzisiejszych twórców.

Utworki zamieszczone w tomiku są bardzo zróżnicowane. Obok śmiałych, zmysłowych, ale subtelnych jednocześnie erotyków, czytamy o przemijaniu, starości, śmierci. Dwa fragmenty – *koronkowa bajeczka*: „starość / nudna pani / odwalająca koronkową robotę / miała przyśnić mi się później” i bez tytułu: „odmawiam kawie cukru / zemsta jest słodka / przynajmniej umierać / będziesz jak Poświatowska – odpowiada / cwana czarny humor zawsze się jej trzymał”. W miniaturze *panna młoda* autorka zapisała cały traktat obyczajowo-socjologiczny: „złoto na palcu / srebro na policzku / ołów spojrzeń”. Do każdego, kto kiedykolwiek był na ślubie, musi dotrzeć trafność tego lapidarnego zapisu. Tytułowa panna młoda to nie tylko szczęśliwa dziewczyna ze złotą obrączką, srebrną lżą wzruszenia na policzku, ale też przedmiot komentarzy wygłoszonych za jej plecami przez gości i rodzinę w stylu: „co ona zrobiła z włosami”, „ale sobie kieckę wybrała”, „ciekawe, czy jest w ciąży” itd. Całą sytuację autorka zawarła w sześciu słowach. „Koronkowa robotą”.

Książeczka składa się z 22 wierszy. To rzadkość, bo debiutanci starają się zazwyczaj upchnąć w tomiku „dorobek całego życia”. Po słowie napisała znana poetka Barbara Gruszcza-Zych. Całość opracowała graficznie (tu dodam – pięknie, też „koronkowo”) Dobrosława Rurańska.

BOGDAN WIDERA



Eda Ostrowska: *Edessy [opemat sowizdrzalski]*. Lublin 2015, s. 50.

Edessy

Edessy to zbiór 215 miniatur poetyckich. Każda z nich może żyć własnym życiem albo łączyć się z innymi. Poetka pozwala czytelnikowi na dużą dowolność. To słuszne, ale też niebezpieczne przyzwolenie. Z jednej strony ułatwia zrozumienie i interpretację fraz poetyckich, z drugiej zaburza założony, tak intensywnie przemyślany i wypracowany przez Ostrowską gatunek.

A właśnie gatunek jest w tej książce najważniejszy. „Edessa (...) to misteryjny i zarazem misteryjny krótki utwór alegoryczny, cztero- bądź trzywersowy, po jednym wyrazie w wersie. Tematykę wywodzi z duchowości chrześcijańskiej, traktując świat jako otwartą księgę, gdzie «cała natura wyraża Boga»”. Nową formę literacką Eda nazwała na swoją cześć, sugerując jednocześnie, że wszystkie utworki nie tylko zostały przez nią napisane, ale są po pierwsze, egotyczne, po drugie, wypływają prosto z jej wnętrza. Ich fundamentem jest natomiast codzienność.

W tę zaś najpierw wkraczają siły nadprzyrodzone, które nieustannie niepokoją poetkę. Opisuje swoją bezsenność, łącząc ją z mocami piekielnymi: „gdy druga wybiję”, „moce / diabelskie / w środku / nocy”, „z oczu / Kainowe / dziedzice / precz”, „i wyszły / parząc się / z Mefistem”. Eda targana przez złe duchy – „widma” – próbuje je poskromić żartem, dowcipem: „uczysz się / czupiradło”. Ale one nieustannie towarzyszą człowiekowi. Autorka widzi je wszędzie: „zjawy / natchnione / idą / żwawo”, a dalej dodaje: „w nawie / na wybiegu / piją / kawę”. Wypełniają zatem całą rzeczywistość poetki. Bywa, że przy-

chodzi do niej w mężczyźni – mężu, który pojawia się jako alegoria zła czy żołnierzach w Iraku jako symbolu społecznej sytuacji społeczno-politycznej.

Złe moce dręczą istotę ludzką. I tu zaczyna się opowieść o cierpieniu. Z niego wynikają modlitewne frazy podmiotu: „Kyrie usłysz”. W cierpieniu poetka odnajduje jednak nie tylko egzystencjalną udrękę, ale także głęboki sens, wypływający przede wszystkim z jej wiary. Cierpienie w oczach Edy niektórym otwiera drogę do wieczności, jest czymś heroicznym. W wierszu opatrzonym dopiskiem „na śmierć Zośki” napisała: „więcej / zrobiłaś / konaniem / w męce”. Taka śmierć jest uświęcona, bo połączona ze śmiercią Chrystusa na krzyżu, do której Ostrowska nieustannie powraca.

W tomie można jeszcze odnaleźć wiersze przepelnione przedmiotami codziennego użytku. Rzeczy stały się dla poetki natchnieniem. Wydobywa z nich wieloznaczność, pokazuje ich intymny związek nie tylko z istotą ludzką i jej najbliższym otoczeniem, ale także naturą. Przedmioty są bowiem wszędzie, człowiek obja się o nie, dotyka ich: „turla się / czerep / po rzeczy / konturach”. Wstają w ciało, naruszając jego świętość: „błuzniczy / koleczyk / w kroku / błyszczą”, uwodzą kobietę: „złotem / czystym / kokotę / omotał”, służą na pokuszenie zmysłom: „słońce / koronki / wstążki / mać”. Ale też po prostu istnieją – natrętne obecne.

W *Edessach* pojawiają się również motywy autobiograficzne, wielokrotnie przez poetkę przepracowane, ale nieustannie przeżywane. I chociaż to tematy stałe, nie męczą czytelnika, tylko utwierdzają go w autentyczności tej poezji i niebywałej nadwrażliwości autorki.

Świat poetki w wierszach Edy jest nade wszystko w jakiś sposób upadły. Nie ma w nim aniołów: „zmarzlina / ścięta / ciało / serafina”, ale za to: „do okna / w salopie / nietoperz / zagłada”. To raczej rzeczywistość wroga i nieprzychylna człowiekowi, w której: „bordo / wilczyca / żądna mordy”, „gardło / podrzyta / pianina / akordem”. Dominuje w nim to, co zmysłowe.

Ostrowska swoimi edessami ukazuje w pełni sowizdrzalski „świat na opak”. To rzeczywistość, w której nastąpiło „pomieszanie z poplątaniem”. Poetka napisała we wstępie: „(...) zmiana tempa i wielowątkowość edess (...) sugerują swoją formę sceniczną”. Mamy zatem do czynienia z tomikiem-spektaklem, w którym ludzie, natura i rzeczy odgrywają tak samo istotne role.

KATARZYNA NIESPOREK

Refleksję nad lekturą książki-albumu *Za Marksem bez Boga*, autorstwa L. Marek i M. Bortlik-Dźwierzynskiej, trzeba zacząć od pewnego uogólnienia. Otóż każda epoka, w porozumieniu z dominującymi w niej ideologiami, filozofiami, nurtami kulturowymi czy politycznymi, stawia religijność świata chrześcijańskiego w obliczu swoistej próby wiary. Należy jednak podkreślić, że polska religijność w czasach PRL poddawana była próbom szczególnym. Warto wrócić pamięcią do sytuacji, w jakiej znalazł się polski katolicyzm w obliczu afirmacji socjalistycznego porządku społecznego. Sytuację tę celnie określa kilka często przytaczanych w książce pojęć. Są to: laicyzacja, sekularyzacja, ateizacja i desakralizacja. W praktyce oznaczały one konsekwentne dążenie do próby całkowitej eliminacji religii z życia obywateli PRL.

Autorki już na samym początku mierzą się z tytułowym terminem „laicyzacja”, który definiują wprost jako proces zeświecczenia poszczególnych sfer życia społecznego. Podkreślają przy tym kwestię niezmiernie ważną – celem tych zabiegów było dokonanie radykalnych zmian w świadomości religijnej Polaków oraz w przyjętym i aprobowanym przez nich systemie tradycyjnych wartości, jakie oferowały chrześcijaństwo.

We *Wstępie* czytamy: „W okresie PRL laicyzacja była inspirowana i sterowana przez władze partyjno-państwowe (...), utożsamiające się z materialistycznym światopoglądem, zmierzające do usunięcia z socjalistycznego państwa religii („opium ludu”) oraz konsolidacji społeczeństwa wokół idei marksistowsko-leninowskich. Nie stanowiła ona niezależnego ruchu – samoistnego i oddolnego – czy odpowiedzi na potrzeby społeczne. Nie była procesem obojętnym ideologicznie, gdyż nie tylko eliminowała religię z życia społecznego i świadomości jednostki, ale zgodnie z zamysłem twórców zastępowała ją ideologią marksistowsko-leninowską” (s. 9). W opracowaniu ukazano wnikliwie szeroką panoramę idei ateizacji społeczeństwa i zastosowanych metod w odniesieniu do całego

Marksistowsko-leninowski wytwór religiopodobny

kraju, ale ze specjalnym uwzględnieniem województwa śląskiego, jako że było ono „obiektem szczególnego zainteresowania i «troski» władz partyjno-państwowych” (s. 10).

Książka stanowi ważny i interesujący przewodnik, wiodący czytelnika po karykaturalnych drogach kolejnych etapów ateizacji i po konkretnych realizacjach konsekwentnie urzeczywistnianego planu laicyzacji. Autorki przypominają „klasyczne” określenia religii, owego „opium ludu” (Marks) czy „rodzaju duchowej gorzałki” (Lenin), przed którą ucieczką miał być nowy porządek ideologiczny i polityczny w postaci „państwa socjalistycznego”, z jego materialistycznym poglądem na świat, z laickimi normami i obyczajowością. Prezentują więc alternatywne propozycje świeckich obrzędów (śluby, uroczyste nadawanie imion, pasowanie na ucznia i in.), mających zastąpić religijne rytuały, aby wypełnić w ten sposób duchowe potrzeby niewierzącego. Na podstawie bogato zgromadzonego materiału źródłowego, faktograficznego i ikonicznego wyłania



Lucja Marek, Monika Bortlik-Dźwierzynska: *Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945–1989*. Katowice 2014, s. 376.

się obraz kuriozalny: powstaje wytwór religiopodobny. Chrześcijańskie *sacrum* miał zastąpić ekwiwalent jakościowo lepszy, dlatego epitet „nowy” odmieniany był na wielorakie sposoby.

Paradoksalnie mamy do czynienia z niemal ścisłym odwzorowaniem religii, którego oś stanowić miało *sacrum* socjalistyczne. Ks. J. Tischner zdiagnozował to zjawisko jako „doświadczenie parodii”. Dostrzegał, że komunistyczna nienawiść do religii i walka z chrześcijaństwem prowadziła do dosłownego ich parodiowania. Podobnie L. Kołakowski patrzył na stosunek komunizmu do religii jak na przejaw osobliwej zazdrości o chrześcijaństwo.

Prezentowana praca stanowi najobszerniejsze, jak dotąd, opracowanie systematyzujące z wielu perspektyw problem procesów laicyzacyjnych w PRL.

ALEKSANDRA PETHE

www.poradniajezykowa.pl

Wakacje

Wakacje to słowo przez niektóre języki europejskie przyjęte jako nazwa okresu – zwłaszcza latem – wolnego od pracy i obowiązków, dłuższego czasu odpoczynku poza domem, urlopu, a także w węższym sensie: czasu wolnego od zajęć szkolnych (por. francuskie *vacances*, hiszpańskie *vacaciones*, angielskie *vacations*). Słowo to pochodzi od łacińskiego rzeczownika *vacātiō* ‘wolność od czegoś; zwolnienie (od obowiązków)’, a ten od czasownika *vacō, vacāre* ‘być pustym, opróżnionym, wolnym, zwolnionym od czegoś; nic nie robić, mieć wolny czas’. Gdy nazwa ta pojawiła się w polszczyźnie w XVII wieku, była używana w liczbie pojedynczej i miała rodzaj żeński: (*ta*) *wakacja*. Nie jest to fakt odosobniony, ponieważ wiele zapożyczonych z łaciny rzeczowników zakończonych na *-tio* na gruncie polskim przyjmowało rodzaj żeński z zakończeniem *-cja*, np. *actio*

→ *akcja, conditio* → *kondycja, abdicatio* → *abdykacja, ratio* → *racja, fundatio* → *fundacja, negatio* → *negacja, navigatio* → *nawigacja, coniugatio* → *koniugacja, beatificatio* → *beatyfikacja, relatio* → *relacja*et.). XVII-wieczny słownik jezuita Grzegorza Knapskiego „Thesaurus latino-polonicum” (Kraków 1644) zawiera hasło *wakacya szkolna* w znaczeniu „wolność od nauk”. Formę *wakacya* z definicją „wakacya szkolna, wolność od nauk, zawieszenie lekcji” odnotowuje też „Słownik języka polskiego” Samuela Bogumiła Lindego z lat 1807–1814. Stan ten utrzymywał się jeszcze długo, o czym świadczyć może choćby cytat z pism oświeceniowego powieściopisarza i twórcy gawędy szlacheckiej Ignacego Chodźki: *Adaś i Ignas mają już swoją miłą przeszłość, wakację; rozpamiętywają o niej*. Również w listach Adama Mickiewicza znaleźć można fragment: *Czekajmy zatem wakacji. Nigdy tak jej obojętnie nie czekałem*. Jeszcze w „Słowniku języka

polskiego” pod red. J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego (t. 7 z 1919 r.) widnieje hasło w formie *wakacja*, choć z adnotacją, że słowo to używane jest zwykle w liczbie mnogiej. Ostatecznie pozostała w naszym języku wyłącznie liczba mnoga (*te*) *wakacje*, zapewne dlatego, że wyraz ten odnosił się do dłuższego czasu, do dwóch miesięcy letnich, a w związku z tym częściej można go było spotkać w liczbie mnogiej. Z tego samego łacińskiego źródła (*vacātiō* ‘zwolnienie’) bierze początek stosowane w ekonomii określenie *wakacje podatkowe*: okres, w którym firmy, np. nowo zakładane, są zwolnione od płacenia podatków. Nie sposób tu nie wspomnieć o terminie prawnym *vacatio legis* (dosłownie ‘próżnowanie ustawy’) oznaczającym okres między datą ogłoszenia aktu prawnego a datą jego wejścia w życie. Także od łacińskiego *vacō* w znaczeniu prawnym ‘być nieobsadzonym’ pochodzi czasownik *wakować*, którego używa się w polszczyźnie urzędowej do komunikowania o posadzie, stanowisku wolnym, nieobsadzonym. Wolną posadę nazywa się także *wakatem*, *wakat* to ponadto w znaczeniu specjalistycznym, drukarskim ‘niezadrukowana stronica w książce’.

KATARZYNA WYRWAS

Środy Młodych

Institucja „Silesia” zakończyła tegoroczną (pierwszą i miejmy nadzieję, nie ostatnią) serię koncertów realizowanych w ramach *Środy Młodych* w NOSPR recitalem pieśni romantycznych (17 czerwca). Wystąpiły Anna Borucka (mezzosopran), Anna Leśniewska (sopran) i Grzegorz Biegas (fortepian). Wysłuchaliśmy sztandarowych pozycji repertuaru niemieckojęzycznego: trzech pieśni Schuberta (*Król olch, Ganymed, Śmierć i dziewczyna*), wczesnego cyklu Brahmsa *Sześć pieśni* op. 3, cyklu *Miłość i życie kobiety* Schumanna oraz *Melodii cygańskich* Dvořáka. Te ostatnie też zaliczam do kręgu niemieckojęzycznego, mimo że (jak wszystkie pieśni tego kompozytora) mają też wersję czeską, w której także zostały w ramach omawianego koncertu wykonane. Ponieważ celem Dvořáka (jak i pozostałych XIX-wiecznych czeskich kompozytorów) było zaistnienie w świecie, a zatem przede wszystkim w Wiedniu. A w habsburskiej stolicy języki „krajów koronnych” nie były tymi, którymi można by się porozumieć z publicznością. Kiedy w Wiedniu został pierwszy raz wykonany poemat Smetany *Vltava* (1890), słynny krytyk Eduard Hanslick napisał: „Czesi chcieliby, żeby dzieła Smetany były znane w całych Niemczech. Dlaczego zatem na karcie tytułowej nazwa «Moldau», znana w końcu milionom ludzi, została zastąpiona słowem «Vltava», które znają jedynie setki?”

Nic dziwnego że Dvořák, notabene szczególnie ceniony przez zwykle surowego dla kompozytorów słowiańskich Hanslicka, stawiany przez niego w jednym rzędzie z Brahmssem, przystał na dwujęzyczność, która zresztą cechowała czeski lokalny patriotyzm już u jego XVIII-wiecznych źródeł. Wracając do recitalu – styl wykonania niemieckich i czeskich pieśni przez obie śpiewaczki, zresztą wykształcone w tej samej, katowickiej uczelni, miał – że tak powiem – wyraziście rysy słowiańskie. Typ słowiański, to, jak wiadomo od czasów Herdera, typ uczuciowy, „rzewny”. I taka jest sztuka Słowian; Kazimierz Brodziński nazwał ją bardziej elegancko „idylliczną”. „Rzewnymi” właśnie można określić zaproponowane przez solistki koncertu interpretacje (nie używam tego słowa, broń, Boże, w znaczeniu, w jakim funkcjonuje we współczesnym żargonie młodzieżowym). Intencją obu wykonawczyń było „wzucie się” w treść wykonywanych utworów, przy czym efekt owego wczuwania się był widoczny w postaci jaskrawej emocjonalnej reakcji, mającej ujście w obfitej mimice i innych elementach aktorskich. Słuchaczom przywykłym do bardziej dyskretnych interpretacji pieśni romantycznych to podejście mogło się wydać nieco ekscentryczne, bliższe scenie operowej niż kameralnej estradzie. Nie można jednak nie przyznać, że usłysz-

MIEDZY NUTAMI



liśmy interpretacje efektowne, a skuteczność włożonego w nie uczucia wynagrodziła brak dystansu.

Kilka słów należy się Grzegorzowi Biegasowi, jako że ze znanostwem – i na odwrót – dyskrecją współpracował on ze śpiewaczkami. Dało to efekt pozornego wycofania się na drugi plan, niemniej tam, gdzie to pianista stawał się solistą, na przykład w zakończeniu wieńczącej cykl Schumanna pieśni *Teraz zadales mi ból*, gdzie fortepian realizuje przedziwne postludium, krążące uporczywie pomiędzy dur i moll, jakby dla nauki o relatywizmie retoryki tonacji. Ów ból wyśpiewał Biegas na fortepianie z „niebiańskim” spokojem, i byłby kompletnie zaczarował słuchaczy, gdyby nie wychylająca się z nogawki jego spodni skarpetka – w czerwone ciapki!

Nowe polskie utwory w NOSPR

Aż dwa prawykonania zawierał również ostatni w tym sezonie koncert Orkiestry Muzyki Nowej (Sala Kameralna NOSPR, 21 czerwca). Pod wodzą swego szefa Szymona Bywalcza (który wystąpił również w roli prelegenta) muzycy zaprezentowali dość ciężki w odbiorze utwór pod tytułem *Petra* Japończyka Ryuji Kubota oraz *Kompozycję dynamistyczną* Tadeusza Wieleckiego. *Petra* Ryuji Kubota okazała się monotonną projekcją interwałów, rytmów, strzępków melodii granych przez skonstrastowane barwą instrumenty smyczkowe, dęte i perkusyjne. Jednorodność owych „strzępków”, brak kulminacji i jednostajność dynamiki pozwoliły potwierdzić trafność tytułu, jaki nadał utworowi kompozytor (laureat I Konkursu Kompozytorskiego im. K. Szymanowskiego, jaki odbył się w Katowicach trzy lata temu), chociaż nie ułatwiły słuchania. Szymon Bywalec uprzedził nas jednak lojalnie, że „lekkie nie będzie”. Dla odmiany, *Kompozycja dynamistyczna* Wieleckiego okazała się niezwykle atrakcyjna w słuchaniu. Dość prosty zamysł (trzy niezależne grupy instrumen-

talne wykonujące w odmiennych, niezależnych tempach muzykę inspirowaną odgłosem syren kilku karetek pogotowia zdążających z różną szybkością w różne strony) zdołał twórca zmaterializować w postaci akustycznej „magmy” przelewającej się obficie, tworzącej ciekawe wzory na zasadzie *inherent patterns* – efektów strukturalnych, które tworzą się „ponad” muzyką na zasadzie złudzeń słuchowych. Koncert uzupełniły dwie kompozycje z lat dziewięćdziesiątych: *Eine kleine Herbsmusik* Pawła Mykietyna oraz *Muzyka kameralna nr 5 „Cztery pory roku”* Aleksandra Lasonia. Utwór Lasonia, pełen prostych, lecz świeżych pomysłów ilustracyjnych, ujmujący melodyjnością i żarliwym klimatem wyrazowym, podbił publiczność – drugą część, zatytułowaną *Lato* bisowano.

Pod znakiem Dobrego Pasterza

Efektownie wypadł jubileuszowy – 25. sezon koncertowy Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice „Camerata Silesia”, bardzo ciekawy repertuarowo (kulminacje to wieczór pieśni Charlesa Ivesa oraz prapremiera estradowa opery komputerowej Stanisława Krupowicza *Ameryka*) i mistrzowski pod względem wykonawczym. Znakomitą formę „Cameraty”, potwierdził koncert zamykający serię miesiecznych sobotnich koncertów prezentowanych w siedzibie NOSPR 13 czerwca, zatytułowany „Ego sum Pastor Bonus”. W programie znalazł się perfekcyjnie wykonany motet Wacława z Szamotuł, nawiązujący do ewangelicznej przypowieści o pasterzu i owcach. Kilkuminutowy utwór, od którego wzięł nazwę cały koncert, przedzielił dwie sakralne kompozycje Ryszarda Gabrysia, przyjęte owacją: *Psalm radosny na dwa chóry* w formie stylizowanego motetu i duża, złożona z piętnastu ogniw kantata *Pastor Bonus*. Oba dzieła cechuje nadzwyczaj bogata paleta ekspresji, rozwiązań brzmieniowych i faktur osiągnięta przez wysmakowane mikstury stylizacyjne – nawiązująca do tradycji wirtuozeria została połączona z gramami awangardowymi. W sumie powstała wizja niemalże operowa; śpiewacy odgrywali swoje role jako z krwi i kości *dramatis personae*. Podkreślała i puentowała partie wokalne niezawodna również w odległych stylistyczne harmoniach i polifoniach katowicka Orkiestra Muzyki Nowej. Całością kierowała precyzyjnie, a równocześnie z rozmachem Anna Szostak. Teatralną intencję Gabrysia łatwo uchwycili słuchacze, zarazem widowie potencjalnego spektaklu. Udało się bowiem kompozytorowi, przy właściwej mu złożoności myślenia kompozytorskiego, swobodnie pogodzić gust koneserów i „zwykłych” melomanów. Postąpiła wybitna, nowa, komunikatywna muzyka, które to cechy rzadko występują w tym połączeniu.

MAGDALENA DZIADEK

Kiedy w jednym z telewizyjnych odcinków „Słownika polsko@polskiego” pojawiło się w sondzie ulicznej pytanie o rzeczownik rodzaju żeńskiego *siupa*, starsi użytkownicy polszczyzny bezradnie rozkładali ręce, młodzi natomiast bez zająknięcia definiowali go jako „robienie zamieszania, wprowadzanie ludzi w dyskomfort psychiczny”, jako „wstyd”. Mówili, że to także jeszcze jedno określenie „amfetaminy”, a *siupać* to „brać amfetaminę”. Pojawiały się przykłady użycia *siupy* i *siupania*: „Nie możemy iść na imprezę bez zaproszenia. Nie będziemy przecież robić siupy”, „Jaka siupa będzie, jak zadzwonią?”, „Bierzemy jakąś siupę?”, „Nie siupałem już ze 2 tygodnie”.

We mnie w tym momencie obudziły się wspomnienia tarnogórskich lat dzieciństwa i młodości. Myśmy też znali *siupy*, tyle że wyłącznie w liczbie mnogiej, i używaliśmy ich w znaczeniu „wygłupy, kawały, sytuacje i zachowania śmieszne, dziwaczne, niepoważne, robione dla żartu, dla popisu”. Były one zdecydowanie częściej używane niż wszechobecne dziś *jaja*, wyrażenie *dla jaj* i zwrot *robić sobie (z kogoś, z czegoś) jaja* – opatrzone we współczesnych słownikach kwalifikatorami potoczności i pospolitości, dla mnie – ocierające się o wulgarność. Moja żona, całe życie spędzająca na Dolnym Śląsku, również bardzo dobrze pamięta *siupy*, a „Uniwersalny słownik języka polskiego” pod red. prof. Stanisława Dubisza z roku 2003 potwierdza ponadregionalny charakter tej formy, definiując *siup* jako „zaskakujący postęp, odezwanie się naruszające przyjęte normy; wybryk, wyskok” i zaznaczając, że zwykle używany jest w liczbie mnogiej (*wszystkim zbrzydły już jego siupy*).

Dla porządku dodajmy, że mamy też w słowniku Dubisza *siup* – potoczny „wykrzyknik wyrażający zachętę do skoku lub oznaczający szybki ruch, skok” (*siup, nie bój się, skacz!*, *siup i już był na dole!*) oraz *siup* w potocznym użyciu czasownikowym: *wpadła do domu i siup do łóżka*.

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Siupy – siupnąć – sipieć – sipa

Śluchając wypowiedzi na temat *siupy*, nie mogłem na zasadzie brzmieniowych skojarzeń nie przywołać doskonale znanego w naszym regionie czasownika *siupnąć*. Jako wariant formy *cupnąć* funkcjonuje on w znaczeniu „przykucnąć, usiąść” – najczęściej w zwrotach do dzieci typu *siupnij se, siupej, siupnij se na rycze* (Bożena Cząstka-Szymon, Jerzy Ludwig, Helena Synowiec: „Mały słownik gwary Górnego Śląska”, Katowice 2000, str. 223).

Przyznam się jednak Państwu, że dla mnie był ten czasownik przede wszystkim określeniem „repetowania klasy, zostania na drugi

rok w tej samej klasie: *ón zaś siupo w tyj samyj klasie; jak sie niy bydziesz uczól, bydziesz siupoł*.

Wariantem *siupnięcia* „zostania na drugi rok w tej samej klasie” jest też na Śląsku *siedzenie* i charakterystyczny zwrot *zostać siedzieć*, z którym wiąże zabawne zdarzenie potwierdzające ludzką potrzebę ubarwiania życiorysów. Oto w pociągu z Wrocławia do Tarnowskich Gór – gdzieś na wysokości Lublińca – dosiadł się kiedyś do mnie pewien krajan i zapytał gwarą: „Jest to prawda, że miał pan w szkole okropne kłopoty z nauką, a roz – przez polski – to pan nawet został siedzieć, bo tak ludzie godają na Górach?”. Czyż nie jest to piękne? – „Został siedzieć przez polski”, a teraz o języku polskim opowiada w telewizji!!! Jakże zatem wielkie i psychologicznie zrozumiałe rozczarowanie pojawiło się na twarzy mego towarzysza podróży, gdy zgodnie z prawdą powiedziałem mu, że żadnych kłopotów w szkole nie przeżyłem, a z polskiego miałem tylko – przyznając: nudne – oceny bardzo dobre.

To jeszcze nie koniec brzmieniowych skojarzeń wywołanych przez *siupę!* Mamy przecież jeszcze w gwarach śląskich czasowniki *sipieć*, *sipać* – warianty ogólnopolskiego *siąpienia* -znaczące tyle, co „mżyć”: „*Juzaś sipi, aż sie mierznie z takóm pogodóm*”, „*Możno już przestanie sipieć, bo sie przejaśnio*” (Cząstka-Szymon, Ludwig, Synowiec: op. cit., str. 223).

Skoro zaś o deszczu mowa, dopowiedzmy, że charakterystycznym śląskim wariantem formy 3 osoby liczby pojedynczej *pada* jest nie tylko postać z pochylonym „a” – *pado*, ale i *padze*: „*Dyszcz padze dzisiaj lod samego rana*”, „*Wejrzyj bez łokno, eli jeszcze padze*” (słyszę ją ciągle podczas corocznego konkursu gwarowego „Po naszymu, czyli po śląsku”).

Wreszcie – mamy w naszym regionie *sipeć/szipę* – „rodzaj łopaty, szufłę do nabierania węgla”: „*Idź do pywnice, a nabier tam sipóm wóngla*”, „*Bier śmiatek i szipa, a sprzóntej!*” (Cząstka-Szymon, Ludwig, Synowiec: op. cit., str. 223 i 241).

„Fide et Amore” po raz dziewiąty

Żory od sierpnia do października tego roku będą miejscem 9 edycji festiwalu „Fide et Amore” („Wiarą i miłością”) – wydarzenia muzycznego, któremu swojego patronatu honorowego udzieliło wiele zacnych osób, reprezentujących różnorodne środowiska. Są to m.in. abp Wiktor Skworc metropolita katowicki, bp Marian Niemiec – diecezja katowicka Kościoła ewangelicko-augsburskiego w RP, marszałek województwa śląskiego, ks. prof. Jerzy Szymik prof. US Wojciech Saługa teolog i poeta, prof. Robert Tyrła – prezydent Międzynarodowej Federacji Pueri Cantores, Jadwiga Górecka – żona śp. Henryka Mikołaja Góreckiego i prezydent Żor Waldemar Socha.

Inauguracyjny koncert odbędzie się 7 sierpnia w kościele pw. św. Stanisława B.M., a finałowy 9 października w kościele pw. Miłosierdzia Bożego. Dzień się wieczorów koncertowych wypełni niezwykle interesujący program w wykonaniu znakomitych polskich, niemieckich i włoskich artystów. Będzie rozbrzmiewać muzyka Bacha, Haendla, Czajkowskiego, Brahmsa, Poluena, Mendelssohna-Bartoldy’ego, Monteverdiego, Charpentiera, Piazzoli, Moniuszki, Mozarta, Vivaldiego i Porpory, a wśród wykonawców będzie można usłyszeć chór kameralny z Kaliningradu, zespoły „Cantus floridus”, „Puelle Orantes”, Kammerchor Cantores Trevisenses, schola PSM im. Karłowicza w Katowicach. Wykonawcami ostatniego festiwalowego wieczoru zatytułowanego „Stabat Mater dolorosa” będą Marcin Liweń – kontratenor i Zespół muzyki dawnej „Parnassos”.

Festiwalowi towarzyszyć będą m.in. koncerty muzyki kameralnej, konferencja naukowa „Wokół koncepcji zdrowia u św. Hildegardy z Bingen”, spotkanie literackie, warsztaty muzyczno-liturgiczne.

Również w ramach festiwalu, w dniach 10-13 września odbywać się będzie Kongres Polskiej Federacji Pueri Cantores w Poznaniu „Ad fontes”.

Żorski Festiwal „Fide et Amore” został zorganizowany po raz pierwszy w 2007 roku. Inicjatorem jego powstania był ks. Wiesław Hudek – muzykolog, liturgista i poeta, od początku jego dyrektor artystyczny.

Organizatorzy promują festiwal „Fide et Amore” jako niecodzienne wydarzenie muzyczne i religijne, które przyczynia się do integracji lokalnej społeczności oraz promocji miasta.

W gronie patronów medialnych jest miesięcznik społeczno-kulturalny „Śląsk”.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

30-lecie
Muzeum Prasy Śląskiej

Noszące imię Wojciecha Korfantego Muzeum Prasy Śląskiej 13 czerwca obchodziło jubileusz 30-lecia istnienia. Z tej okazji w Izbie Telemanna odbyło się uroczyste spotkanie z udziałem władz powiatu pszczyńskiego reprezentowanych przez wicestarostę Krystiana Szostaka oraz władz miasta Pszczyna z wiceburmistrzem Barbarą Sopot-Zembok. Przybyli członkowie Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, z którego inicjatywy powstało Muzeum i po dziś dzień jest przez nich prowadzone przy wydatnych udziale Miasta, także reprezentujący Radę Programową Muzeum prof. Julian Gembalski oraz liczne grono przyjaciół, wśród których nie zabrakło reprezentacji miesięcznika „Śląsk”. Były laudacje, gratulacje, życzenia i wiele serdecznych słów przekazanych na ręce założyciela Muzeum i wieloletniego prezesa TMZP Aleksandra Spyry, który przypomniał najistotniejsze fakty, a także garść anegdot związanych z historią powstania tej jedynej w kraju instytucji poświęconej dziejom prasy oraz Grzegorza Cempury obecnego prezesa stowarzyszenia.

Z okazji jubileuszu odbyła się promocja książki wydanej przez TMZP zatytułowanej „Polskie kancjonały, modlitewniki i śpiewniki na Śląsku” autorstwa Jadwigi A. Badury, Natalii M. Roman i A. Spyry. Archaiczne piękno ciągle jeszcze żywych pieśni sakralnych zaprezentował zespół śpiewaczy „Stejzbianki” z Wisły-Uzdrowska, który wykonał kancjonały księdza Jerzego Heczki.

Fot. Powiat Pszczyński



Zespół śpiewaczy „Stejzbianki”.

Jednym zdaniem

■ Śląski Teatr Lalki i Aktora Ateneum zaprasza na *Fragmentację* – ostatnią w tym sezonie wystawę w Galerii Ateneum przy ul. 3 Maja 25, na której tym razem można było zobaczyć grafiki Artura Masternaka – absolwenta katowickiej Akademii Sztuk Pięknych, w pracowni druku wkłęsłego prof. Jana Szmatocha, aktualnie asystenta w pracowni druku wkłęsłego prof. Tadeusza Jackowskiego w Wyższej Szkole Technicznej w Katowicach, stypendysty Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego (2010), laureata Nagrody BPSC (Biura Projektowania Systemów Cyfrowych) w konkursie na Najlepszego Dyploma ASP w Katowicach (2010), Nagrody Stowarzyszenia Promocji Artystów Wybrzeża *ERAART* na III Międzynarodowym Biennale Grafiki Cyfrowej w Gdyni (2012), otrzymał też Wyróżnienie Honorowe w konkursie na Najlepsze Dyplomy Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (2010).

■ Galeria Sztuki Współczesnej „Fra Angelico” przy Muzeum Archidiecejalnym zapra-

W trosce o edukację dzieci

Rektor Uniwersytetu Śląskiego prof. zw. dr hab. Wiesław Banyś i dyrektor Filharmonii Śląskiej im. Henryka Mikołaja Góreckiego prof. Mirosław Jacek Błaszczuk 16 czerwca podpisali porozumienie o współpracy i prowadzeniu wspólnych przedsięwzięć i projektów w zakresie edukacji muzycznej dzieci, młodzieży i studentów oraz wspólnych przedsięwzięć artystycznych.

Program ma ułatwić nauczycielom odpowiednio skoordynowanie pracy szkoły ze wzbogaconą ofertą Filharmonii i Uniwersytetu.

Zrealizowane już zostały pierwsze przedsięwzięcia. W Filharmonii Śląskiej odbył się koncert Chóru Uniwersytetu Śląskiego Dzieci *Gioia*. Na estradzie sali kameralnej wystąpili też studenci – przyszli muzykoterapeuci wystawili dla dzieci swoją bajkę muzyczną.

W sztafardowym cyklu koncertów symfonicznych *Młoda Filharmonia* ciekawie zapowiada się efekt wspólnego projektu z Instytutem Fizyki Wy-



Porozumienie podpisują rektor US prof. zw. Wiesław Banyś i dyrektor F. Śl. prof. Mirosław J. Błaszczuk.

działu Matematyki Fizyki i Chemii w koncercie październikowym, w ramach którego najmłodszy słuchacz nie tylko poznał świat muzyki, ale też dowiedzą się, skąd biorą się dźwięki, a pomogą im w tym m.in. ciekawe eksperymenty i doświadczenia. Do współpracy zaproszono również Instytut Pedagogiki Wydziału Pedagogiki i Psychologii, Centrum Kształcenia Ustawicznego Uniwersytetu Śląskiego, Instytut Muzyki Wydziału Artystycznego, Śląskie Międzyuczelniane Centrum Edukacji i Badań Interdyscyplinarnych w Chorzowie oraz Wydział Radia i Telewizji im. Krzysztofa Kiesłowskiego.

Nagroda literacka
dla Barbary Gruszki-Zych

Barbara Gruszka-Zych otrzymała nagrodę im. ks. Twardowskiego za rok 2014. Kapituła doceniła w ten sposób jej tomik poezji pt. „Koszula przed kolana” wydany przez wydawnictwo „Gość Niedzielny”. Nagroda została wręczona w Domu Literatury w Warszawie 31 maja br, w przeddzień setnej rocznicy urodzin ks. Twardowskiego, między innymi przez wybitnego krytyka Tomasza Burka, który też wygłosił lauda-

szala na otwarcie wystawy malarstwa Romana Maciuszkiewicza pt. „Przystań”.

■ 18 czerwca w siedzibie Muzeum Miejskiego w Tychach w Dawidzie odbyła się promocja książki Patryka Oczko „Tychy. Sztuka w przestrzeni miasta” – pierwszego tak obszernego opracowania monograficznego poświęconego sztucek wizualnej w Tychach, z wstępem prof. Ewy Chojeckiej i dr Marii Lipok-Bierwiazczonek, w opracowaniu graficznym Zofii Oslislo.

■ Tyska Miejska Galeria Sztuki „Obok” zaprasza na wystawę „Stanisław i Karol Mazuś – malarstwo i grafika komputerowa”.

■ Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski oraz Stacja Artystyczna Rynek w Gliwicach zapraszali na Spotkanie z fotografią, którego gościem był Arkadiusz Ławrywianiec. prezentujący cykl „Blisko nas”.

■ Odbyła się doroczna polsko-francuska konferencja, której celem była wymiana wiedzy

Fot. Wojciech Mateuski/F. Śl.



Laureatka Barbara Gruszka-Zych z Tomaszem Burkiem (z lewej) i braćmi Olszewskimi, którzy opiekowali się Księędzem.

cję na cześć autorki. „Poetka w swoich wierszach dosłownie spieszy się kochać ludzi, bo szybko odchodzą” – powiedział.

Gruszka-Zych otrzymała też drugi laur tym razem w dziedzinie dziennikarstwa. Zajęła II miejsce w X edycji konkursu dla dziennikarzy ze Śląska Silesia Press za reportaż „Mili metr poniżej piekła”. Opowiada on o chorobie na depresję Małgorzacie Ostrowskiej, która założyła Fundację „Przetwać cierpienie”.

Malarstwo Ewy Jedryk-Czarnoty w Teatrze Śląskim

Artystka pochodzi z Sosnowca. Ukończyła Wydział Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Po studiach zajmowała się tkaniną artystyczną, należąc do grupy artystycznej „Przekaz”. Brała udział w kilkunastu wystawach zbiorowych. Zajmowała się też projektowaniem graficznym i aranżacją wnętrz. Od 10 lat zajmuje się głównie malarstwem, uczestniczy w plenerach krajowych i zagranicznych.

Na swoim artystycznym koncie ma 26 wystaw indywidualnych. Mieszka i tworzy w Bystrzej niedaleko Żywca, dlatego – jak mówi o swoich obrazach – tematem jej prac jest piękno przyrody, który obok głównego tematu jej prac – kobiety jest jego znakomitym dopełnieniem.



„Per Ars ad Astra” na 20-lecie Ars Cameralis

W Galerii Intymnej Domu Oświatowego Biblioteki Śląskiej odbywała się pokaz wybranych prac z jubileuszowej wystawy „Per Ars ad Astra” Instytucji Kultury Ars Cameralis Silesiae Superioris. Od początku istnienia Instytucji Kultury Ars Cameralis, a więc od 1994 r., fundamen-

talną zasadą jej działalności była interdyscyplinarność. Spośród różnych form sztuki prezentowanej podczas wydarzeń, szczególnie ważną była sztuka plastyczna. Począwszy od pierwszych prezentacji wybitnych artystów, takich jak m.in.: Urszula Broll, Tadeusz Kantor czy Jiří Kolář, w ciągu dwudziestu lat pracy instytucja zorganizowała w kraju i za granicą kilkadziesiąt wystaw artystów polskich i światowych, by wymienić chociażby Josepha Beuysa, braci Jake'a i Dinosa Chapmanów, Santiago Sierra, Jeana Michela Alberolę, Davida Lyncha, Zbigniewa Liberego i wielu innych. Historia wystaw jest historią przyjaźni, wzajemnego inspirowania się, ważnych debat i kameralnych dyskusji. Dlatego też jubileusz dwudziestolecia Instytucji Kultury Ars Cameralis został uhonorowany wystawą zbiorową. Wystawą wyjątkową, bowiem do udziału w niej zaproszeni zostali artyści, którzy przez lata współpracowali z Instytucją Kultury Ars Cameralis bądź też w szczególny sposób zaznaczyli swoją obecność. Ekspozycja tych szczególnych prac, jak i całego dorobku artystycznego Instytucji Kultury Ars Cameralis jest jednocześnie podziękowaniem złożonym nie tylko ich autorom, ale wszystkim współpracującym z nią twórcom. W wystawie udział wzięli m.in.: Jean Michel Alberola, Urszula Broll, Natalia Bażowska, Sławomir Elsner, Wojciech Kucharczyk, Marek Kuś, Andrzej Tobis, Marian Oslisło, Sławomir Rumiak, Jacek Rykała, Matylda Salajewska, Andrzej Urbanowicz, Ireneusz Walczak. Projekt aranżacji wystawy wykonała pracownia architektoniczna bro. Kat we współpracy z Martą Gawin. Jubileuszowa wystawa „Per Ars ad Astra” stała się inspiracją dla projektu „Badania nad zwiększeniem kompetencji młodych ludzi z rejonu Śląska do odbioru sztuki najnowszej wraz z kompleksowym kształceniem kadr animatorów kultury”, pośrednio stawiając wyzwanie dla przeniesienia tej koncepcji kuratorskiej na grunt pracy w dziedzinach animacji i edukacji kulturalnej. Prace Urszuli Broll, Andrzeja Urbanowicza, Natalii Bażowskiej, Sławomira Elsnera, Marka Kusia, Andrzeja Tobisa, Jacka Rykały i Ireneusza Walczaka staną się w ramach projektu przedmiotem badania zarówno narzędzi do odbioru sztuki, jak i własnych przestrzeni intymnego kontaktu młodzieży ze sztuką. Jednocześnie wystawy będą dostępne dla szerokiej publiczności. W dniach 5 czerwca – 31 lipca 2015 r. udostępniona jest trzecia wy-

stawa prac: Marek Kuś – Ireneusz Walczak. Marek Kuś – ur. w 1962 r. w Rzeszowie. W latach 1983–1990 studiował na Wydziale Wychowania Plastycznego Filii Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie. Wypowiada się zarówno poprzez obrazy, instalacje, obiekty, jak i performance. Konsekwentnie wykorzystuje w swoich pracach moduł uproszczonej sylwetki ludzkiej. Brał udział w wielu wystawach w Polsce i za granicą. Jest również aranżerem i kuratorem. Prowadził razem z Tomaszem Janikowskim Galerię Kronika w Bytomiu, obecnie jest dyrektorem Galerii Sztuki Współczesnej BWA w Katowicach. Od 1994 r. współpracuje z Instytucją Kultury Ars Cameralis przy wielu projektach wizualnych i wystawach w Galerii BWA oraz za granicą. Ireneusz Walczak – ur. w 1961 r. w Swidnicy. Absolwent Wydziału Grafiki w Katowicach Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. W 1988 r. uzyskał dyplom z wyróżnieniem w Pracowni Grafiki Warsztatowej prof. Stanisława Kluski, Pracowni Malarstwa i Rysunku prof. Jacka Rykały oraz z projektowania u prof. Tomasza Jury. W 1988 r. rozpoczął pracę jako pedagog w macierzystej uczelni w Pracowni Malarstwa i Rysunku. Obecnie prowadzi pracownię malarstwa od II do V roku (jest to pracownia dyplomowa). Kolejną wystawą będzie udostępniona w dniach 5 sierpnia – 30 września 2015 r. prezentacja prac Urszuli Broll



i Andrzeja Urbanowicza. Partnerzy projektu: Instytucja Kultury Ars Cameralis Silesiae Superioris, Akademia Sztuk Pięknych w Katowicach, Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach, Polski Komitet Międzynarodowego Stowarzyszenia Wychowania przez Sztukę InSEA.

Z wielkim smutkiem zawiadamiamy, że odeszła

HALINA TYROL

poetka, która ukochanemu Śląskowi poświęciła wiele swoich wierszy, członkini Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.

Rodzinie i wszystkim Bliskim serdeczne wyrazy współczucia
składa
zarząd Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego
w Katowicach

i doświadczeń miast partnerskich Katowic i Saint-Etienne, a poświęcona została kwestii ożywiania centralnych obszarów miasta.

■ Policjalna Szkoła Fotograficzna Fotoedukacja oraz Związek Polskich Artystów Fotografików Okręg Śląski zapraszali na prezentację fotografii „Fotoedukacja Dyplomy 2015”.

■ Parafia Ewangelicko-Augsburska w Katowicach była organizatorem kolejnego spotkania podróżniczego z cyklu magiczne zakątki świata; tym razem Alena Yarmolenka, wolontariuszka z Białorusi opowiadała o tym kraju.

■ Weronika Siupka prezentowała wystawę swoich grafik zatytułowaną „Fragmenty świata – Śląsk nieznan” w Galerii Sztuki Współczesnej w dawnej fabryce porcelany w Katowicach.

■ Promocja książki Lucji Marek i Moniki Bortlik-Dźwierzyńskiej pt. „Za Marksem bez Boga. Laicyzacja życia społecznego w Polsce w latach 1945-1989” wydanej przez Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Katowicach odbyła się w Willi Goldsteinów w Katowicach.

■ „Młynarstwo tradycyjne – wczoraj, dziś, jutro... Problemy zachowania ginącego dziedzictwa” to tytuł międzynarodowej konferencji naukowej zorganizowanej przez Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny” w Chorzowie.

■ Wykład pt. „Pierrot. O nieuzagony pragnieniu miłości” wygłosił dr Jacek Kurek w Muzeum w Chorzowie.

■ Muzeum Miejskie w Siemianowicach Śląskich zapraszało na wieczór w ramach obchodów XXXIII Dni Siemianowic Śląskich na prezentację rzeźby Jacka Kicińskiego – zwycięży konkursu na koncepcję pomnika rotmistrza Witolda Pileckiego w Warszawie połączonej ze wspomnieniem o rzeźbiarzu Mirosławie Kicińskim a także z promocją 13 numeru Siemianowickiego Rocznika Muzealnego.

■ Spotkanie z autorem książki „Fado. Piosenka o dużej” autorstwa Zbigniewa Kadlubka wydanej przez Wydawnictwo Księgarnia św. Jacka odbyło się w Domu Śląskim Związku Górnośląskiego w Katowicach.

■ Piknik Artystyczny „Święto Śląska” odbył się siedzibie zespołu w Koszęcinie.

■ Na wystawę grafik Damiana Pietrka zapraszała Galeria Art. Nova2 Związku Polskich Artystów Plastyków w Katowicach.

■ W Pałacu Młodzieży w Katowicach odbyło się wręczenie nagród „Kamyki 2015”.

■ Na spotkanie z numizmatyką i wykład Mateusza Woźniaka pt. „Anioł czy smok? Oblicza władzy na monetach polskiego średniowiecza” zapraszało Muzeum w Chorzowie.

■ Koncert prezentujący arcydzieła muzyki kameralnej z udziałem solistów: Beaty Bilińskiej – fortepian, Romana Widaszka – klarnet, Marka Mleczki – obój, Pawła Soleckiego – fagot i Tadeusza Tomaszewskiego – waltornia zaprasza ludo Biblioteki Śląskiej Instytucji Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ Również IPiU „Silesia” zapraszała do Muzeum Archidiecezjalnego na koncert w wykonaniu Elżbiety Grodzkiej-Lopuszyńskiej (sopran) i Juliana Gembskiego – organy, podczas którego wykonane zostały utwory mistrzów baroki: J.S. Bacha i G.F. Haendla.

Cud nad Białą

„W beznadziei jest nadzieja” – sentencję autora „Chłopów” wyrył na kamieniu w swym Prywatnym Muzeum Literatury im. Władysława Stanisława Reymonta w Bielsku-Białej Tadeusz Modrzejewski. W marcowym numerze „Śląska” przedstawiliśmy tragiczną sytuację kustosa, który od ponad 26 lat przepisuje książki wybitnego noblisty i innych polskich mistrzów prozy. Od pięciu lat w budynku przy ul. Pankiewicza 1 nie ma prądu. Zimą temperatura w muzeum sięga minus 18 stopni C. Zadłużenie za zaległości czynszowe wynosi ponad 12 tys. zł. Muzeum utrzymuje się bowiem z wolnych datków. Wydawało się, że sytuacja jest beznadziejna i już po raz wtóry kustosz będzie musiał placówkę zamknąć – przynajmniej na jakiś czas – albo nawet zlikwidować.

Słowa sentencji wyrytej na muzealnym kamieniu mają jednak zdumiewającą siłę. Pod Klimczokiem stał się cud. Bielski iraniista Jakub Gajda zorganizował akcję pomocy dla swego krajana. Jeden z jego listów trafił na biurko Kazimierza Chrapki – prezesa zarządu The W. Reymont Foundation w kanadyjskiej miejscowości Hamilton. Prezes wraz ze swymi współpracownikami zorganizował zbiórkę pieniędzy, której efektem jest spłata dotychczasowych długów Prywatnego Muzeum Literatury im. Władysława Stanisława Reymonta w Bielsku-Białej wobec miasta. Prezes przybył 30 czerwca do Bielska-Białej, aby porozmawiać zarówno z Tadeuszem Modrzejewskim, jak i z prezydentem Bielska-Białej Jackiem Krywultem, jego zastępcą Waldemarem Jędrusińskim oraz urzędnikami bielskiego Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej. W zamian za pomoc Tadeusz Modrzejewski wypożyczył kanadyjskiej fundacji trzeci tom przepisane go przez siebie arcydzieła W.S. Reymonta „Chłopi”. Teraz w Kanadzie będzie rozstawał imię noblisty, kustosa i Bielska-Białej. Kazimierz Chrapka nawiązał współpracę z władzami miasta, aczkolwiek nie chciał ujawnić szczegółów rozmów z prezydentem i jego zastępcą. Po wizycie w bielskim ratuszu prezes Fundacji Reymontowskiej zapewnił jednak, że Tadeusz Modrzejewski nie powinien już mieć kłopotów z normalnym funkcjonowaniem bielskiego muzeum. Prezes Kazimierz Chrapka stwierdził ponadto, że miasto pod Szyndzielnią – i muzeum reymontowskie – zacieśni kontakty z ponad 20 szkołami, które noszą imię W.S. Reymonta.

Podczas spotkania z dziennikarzami w siedzibie muzeum przy ul. Pankiewicza Kazimierz Chrapka wyznał, że Polacy w kraju nie mają pojęcia, jak wiele znaczy dla Polonii nasza wspólna literatura, a już osobliwie taki sposób jej kultywowania, który uprawia Tadeusz Modrzejewski, a który pomaga przetrwać Polakom na obczyźnie! Dlatego tak ważne jest w Kanadzie polskie słowo w każdej postaci. To dzięki niemu Polacy poza krajem nadal mogą określać swą tożsamość tak jak nasi przodkowie.

Szkoda, że pomoc dla najbardziej znanej w świecie bielskiej placówki kultury przyszła dopiero zza Oceanu, dobrze – iż przyszła w ogóle. Wypadałoby mieć nadzieję, że teraz cenić będą bielskiego muzealnika także bielszczanie i władze miasta. Poza rozmowami z prezydentem z prezesem niewiele jednak na to wskazuje. Place pracowników kultury w Bielsku-Białej są żenująco niskie wobec ogromnych stypendiów sportowych z kasy miasta, np. dla „kopaczy piłki” TS Podbeskidzie (16 tys. zł miesięcznie dla każdego z 23 piłkarzy), z których wielu nawet nie musi niczego w czasie meczu kopać. Wystarczy, że „grzeją ławę.”

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Cenny katalog

Od czasu powołania Okręgu Bielskiego ZPAP minęło 70 lat. Z tej okazji zorganizowano nie tylko jubileuszowe wystawy w Galerii Bielskiej BWA, Muzeum Historycznym i Galerii PPP w Bielsku-Białej. Galeria Bielska BWA, Okręg Bielski ZPAP oraz Muzeum Historyczne wydały również ładny album z biografiami twórców, fotografiami dzieł oraz samych artystów, którzy żyli i działali lub nadal tworzą pod Szyndzielnią. Katalog opracowano w formacie 27,5 x 24,5 cm. Zawiera on 318 stron w miękkiej okładce zintegrowanej. Redakcją zajęli się Teresa Dudek-Bujarek, Agata Smalcerz, Krystyna Stec oraz Piotr Wisła, który zaprojektował też wraz z Jackiem Grabowskim okładkę, a samodzielnie odpowiadał za projekt graficzny i skład. Album wydrukował nieoceniony Dimograf. Teksty zamieścili Teresa Sztwiertnia, Mirosław Mikuszewski i przede wszystkim Teresa Dudek-Bujarek – autorka obszernych opracowań krytyczno-historycznych.

Dom pełen inspiracji

25 czerwca w Galerii Bielskiej BWA otwarto wystawę malarstwa i rysunku Karola Pustelnika z Wadowic (1918–2010) – członka znanej Grupy Krakowskiej. Kuratorem wystawy jest Józef Chrobak ze Stowarzyszenia Artystycznego „Grupa Krakowska”. Na wystawę przybyło wielu artystów z Wadowic, zaprzyjaźnionych z bielskimi twórcami jeszcze w czasach istnienia województwa bielskiego. Tego samego dnia odbył się tam również wernisaż ekspozycji tkaniny unikatowej i ceramiki bielszczanek – Barbary



Agata Surdziel, Bez tytułu, 2014, glina, japońska glazura.

Nachajskiej-Brozek (rocznik 1942) i Agaty Surdziel (1975) „Świat jest naszym domem, a dom pełen inspiracji”. Jak powiada dyr. Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz, autorami prac są artystki, które mimo różnicy wieku i odmiennego tworzywa charakteryzują podobne podejście do materii i koloru. Obie są absolwentkami Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi. Wystawy potrwają do 19 lipca br.

Szczeliny bestwińskiego czasu

22 czerwca wybitna postać kultury, bestwińska nauczycielka i pisarka Waleria Owczarz zaprezentowała w Muzeum Regionalnym w Bestwinie, którego była zresztą główną animatorką, swoją ostatnią książkę „Zegar historycznej pamięci ze szczelinami czasu”. Waleria Owczarz jest autorką kilkunastu wydawnictw poświęconych rodzinnej wiosce, ale mimo to – dzięki niezwykłej wiedzy i wspaniałej pamięci – tworzy kolejne dzieła. W wydaniu publikacji nieoceniony był wkład pracy Karoliny Żurowskiej, która książkę żmudnie przepisywała z ponad 400-stronicowego rękopisu, oraz Agaty Smalcerz – adiustatorki i korektorki. Jak powiada Agata Smalcerz, „Zegar historycznej pamięci ze szczelinami czasu” jest książką szczególną, gdyż autorka napisała ją w ciągu kilku miesięcy ubiegłego roku. Fascynujące opowieści o ludziach, rzeczach i zdarzeniach dotyczą 220 lat historii ziemi bestwińskiej i Polski – od maja 1794 do maja 2014 r. Zegar na wieży bestwińskiego kościoła ufundował bowiem Tomasz Tabański na cześć Insurekcji Kościuszkowskiej. Czytając książkę Walerii Owczarz, można odnieść wrażenie, że zna wszystkich mieszkańców Bestwiny, którzy żyli tam w ciągu ostatnich dwóch wieków! – Książka łączy kilka sposobów narracji – wyjaśnia Agata Smalcerz. – Są fakty przytoczone według źródeł historycznych, są legendy i opowieści będące niematerialnym śladem kultury wiejskiej, są poezje ulubionych poetów Walerii Owczarz oraz samej autorki, łączącej talenty plastyczne z literackimi.

Dzieci bez granic

Po raz pierwszy od ćwierćwiecza Międzynarodowy Festiwal Teatralny „Bez Granic” – który od 27 maja do 7 czerwca zorganizowały Oddział Regionalny Solidarności Polsko-Czesko-Słowackiej w Cieszynie, czeskocieszyńskie stowarzyszenie AVE oraz Spółdzielnia Mieszkaniowa „Cieszyńnianka” – przeznaczony był dla dzieci. Teatr lalek, cyrk, teatr tańca, sztuczki iluzjonistów i niezwykły automat z bajkami mogli podziwiać najmłodsi odbiorcy sztuki teatru i ich rodzice nie tylko w Cieszynie i Czeskim Cieszyńsku, ale także w Zebrzydowicach oraz Piotrowicach koło Karwiny. Wystąpili m.in. Teatr Pantomimy im. Henryka Tomaszewskiego, Teatr Animacji z Poznania, Teatr Nowego Fronta oraz Cirk La Putyka z Pragi.

Jednym zdaniem

- Od 5 do 7 czerwca w Bielsku-Białej, Kozach, Rudzicy, Jaworzu, Godziszce i Jasienicy odbył się II Międzynarodowy Festiwal Orkiestr Dętych „Złota Trąbka”.
- 7 czerwca pod hasłem „Kiedy dziecko się śmieje, śmieje się cały świat” miało miejsce 87 bielska edycja Krakowskiego Salonu Poezji
- 10 czerwca „Perty Bielska-Białej” na oczach widzów Galerii Bielskiej BWA „malował” solą artysta animacji Marek Luzar.
- Od 13 do 21 czerwca w Bielsku-Białej, Żywcu, Kozach i Niepołomicach odbył się XIII Vivaldi Festival, w którym wystąpiła bielska orkiestra im. Telemanna.
- 16 czerwca w kościele św. Maksymiliana Kolbego w Aleksandrowicach wystąpili Chick Corea i Bobby McFerrin.

- 26 czerwca w bielskim Aquarium koncertowała grupa Bye Bye Butterfly, a 29 czerwca zespół XXANXXX.
- 27 czerwca w cieszyńskiej Galerii Szarej odbył się wernisaż prac Dominika Ritzsela „Zajac nie ucieknie” w ramach projektu SALT 3.
- 28 czerwca cieszyński Teatr CST zaprezentował w Galerii Bielskiej BWA spektakl pt. „Szlemiel” w reż. Bogusława Słupczyńskiego na motywach opowiadania Isaaka Bashevisa Singera.
- GOK w Istebnej wydal „Serce górala i Groni” – wiersze Jana Probosza (1908-1993).
- Na przełomie czerwca i lipca znakomity Zespół Regionalny „Grojecowanie” Jadwigi Jurasz z Wieprza obchodził dwudziestolecie istnienia.

Jubileusze częstochowskich instytucji kulturalnych

Ach, co to był za miesiąc. Na przełomie maja i czerwca obchodziliśmy rocznice powstania dwóch częstochowskich placówek kulturalnych. 18 maja w Międzynarodowym Dniu Muzeów odbyła się promocja kolejnego „Rocznika Muzeum Częstochowskiego” połączona ze 110. rocznicą istnienia placówki. Były życzenia władz województwa, miasta i zaprzyjaźnionych instytucji kultury, Elżbieta Miszczyńska przypominała historię „Rocznika”, a Katarzyna Ozimek wygłosiła referat na temat zadań, które stoją przed współczesnym muzealnictwem „Masowość/elitaryzm/komercja/sakralność a współczesne muzealnictwo i wystawiennictwo”.

Muzeum Częstochowskie początkowo jako Muzeum Higieniczne miało siedzibę przy ul. Wieluńskiej 22 (dziś 3 Maja 30). Jeszcze przed I wojną placówka przeniosła się do parku im. Stanisława Staszica (w 1909 r.), a w międzywojniu została przekształcona w Miejskie Muzeum Krajoznawcze i Higieniczne. Od 1967 r. główną siedzibą Muzeum Częstochowskiego pozostaje Ratusz na placu Biegańskiego, a w jej strukturach działają także Ośrodek Dokumentacji Dziejów Częstochowy, Multicentrum Zodiak oraz Centrum Promocji Młodych.

Nie była to jedyna muzealna rocznica. 50 lat temu, 9 czerwca 1965, otwarto Rezerwat Archeologiczny na Rakowie na cmentarzystku z czasów kultury łużyckiej, odkrytym podczas badań wykopaliskowych prowadzonych w latach 1955–1961. Inicjatorem budowy placówki był ówczesny dyrektor muzeum, Włodzimierz Blaszczyk. Pawilon zaprojektował Włodzimierz Ściegienny, scenariusz wystawy przygotował prof. Marek Gedl, a aranżacją zajął się Fryderyk Hayder. Z tej okazji wydano również pierwszy numer „Rocznika Muzeum w Częstochowie”, w którym dokładnie opisano odkryte cmentarzystko, pod redakcją Blaszczyka.

Od tamtego czasu wiele się zmieniło. Nową wystawę w Rezerwacie Archeologicznym przygotowano w 2007 r. wg pomysłu Macieja Kosińskiego i Magdaleny Wieczorek-Szmal, a wykonał ją Franciszek Klak. Kilka lat później, w 2014 r., dzięki dofinansowaniu z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz Urzędu Miasta Częstochowy na unowocześnienie ekspozycji rezerwat przeszedł kolejną metamorfozę: wymieniono dwie platformy multimedialne pełne zdjęć, filmów oraz gier, a dla niewidzących i słabowidzących przygotowano makietę tyflograficzną w skali 1:12. Nowa wystawa została nagrodzona przez Marszałka Województwa Śląskiego jako jedno z wydarzeń muzealnych roku 2014 w kategorii „Dokonania z zakresu inicjatyw edukacyjnych oraz popularyzacji dziedzictwa kulturowego”; nagroda przyznawana jest od 2006 r.

Kolejny jubileusz – 10-lecie istnienia Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych obchodzono 12 czerwca. Z tej okazji w Konduktorowni odbyła się wystawa, w której wzięli udział m.in. Sabina Lonty, Magda Snarska, Alteja Leszczyńska, Małgorzata Stepniak, Adam Patrzyk, Marian Panek, Jacek Łydzba, Jerzy Kędziora, Edward Dwurnik, Piotr Dłubak, a po wernisażu odbyła się premiera mockumentu „Kupernicki” przygotowanego przez Jacka Łydzbę, Szymona Parafiniaka i Szczepana Szczepana (Robert Ociepe). W fikcji stylizowanej na film dokumentalny albo, jak deklarują realizatorzy, niefilmie (nomovie) pojawili się także m.in. zmarły półtora roku temu Roman Lonty, ale również Piotr Machalica czy Jerzy Kędziora.

To dopiero początek obchodów rocznicowych w naszym mieście. W najbliższym czasie czeka nas przecież piąta edycja Frytki OFF oraz inauguracja Roku Długoszowskiego, czyli temperatura miejskiej kultury będzie wzrastać...

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Dokumentaliści o Częstochowie

II Festiwal Filmów Dokumentalnych im. Braci Krzemieńskich odbywał się w OFK „Iluzja” 12–14 czerwca, a w jego organizację zaangażował się także Wydział Filologiczno-Historyczny AJD w Częstochowie. Podobnie jak rok temu przygotowano ciekawy program uzupełniony rozmowami z twórcami dokumentów, ich bohaterami, a także naukowcami. Spotkanie rozpoczęła prezentacja filmu Pauliny Skibińskiej *Obiekt*, nagrodzonego na festiwalu Sundance w USA oraz rozmowa z operatorem, częstochowianinem Jakubem Stoleckim, studentem Wydziału Operatorskiego Szkoły Filmowej w Łodzi.

W sobotę i niedzielę pokazano dokument o Śląsku Cieszyńskim z 1919 r., o klasztorze Jasnogórskim z 1944 r., kręcony przez hitlerowców, a także obrazy współczesne: o Czerwonych Gitarach (projekcji towarzyszyło spotkanie z częstochowianinem Jerzym Kosselą), o Marku Perepeczce – film przygotowany przez Jerzego Jońca, w którym byłoby dyrektora częstochowskiego teatru wspominał m.in. Andrzej Wajda, pokazano również francuski dokument *Warszawska pielgrzymka* pozyskany przez Krzysztofa Kasprzaka na jednej z aukcji, dokument o losach częstochowskich Żydów oraz o Częstochowie lat 80. XX wieku.

Ostatni z filmów przygotował Krzysztof Kasprzak, korzystając z materiałów archiwalnych huty im. B. Bieruta, klubu filmowego Czesanka oraz prywatnych taśm VHS. Zmontowano zapisy wydarzeń teatralnych i muzycznych (m.in. z Munikiem Staszczykiem czy Olkiem Klepaczem), pielgrzymek Jana Pawła II oraz wydarzeń politycznych niepokojnej dekady – od strajków w 1980, które w Częstochowie doprowadziły do ustąpienia władz, do pierwszych wolnych wyborów 1989. Scenariusz pisał po raz kolejny Zbislav Janikowski. Jak zapowiadają twórcy (Kasprzak i Janikowski), nie jest to ich ostatnia praca; obecnie opracowują archiwalne materiały z lat 60. i 90. XX wieku.

Wśród zaproszonych gości byli pracownicy AJD, częstochowscy animatorzy kultury oraz osoby zajmujące się dokumentacją losów częstochowian – Tadeusz Piersiak, Zbigniew Janikowski, Wiesław Paszkowski, a ojców paulinów reprezentował dr Michał Legan, jeden z prowadzących comiesięczne spotkania filmowe *Dekalog polski*.

Armstrong Jerzego Kędziora

Na zakończenie 11 Międzynarodowego Festiwalu Jazzu Tradycyjnego „Hot Jazz Spring” przy Filharmonii Częstochowskiej odsłonięto pomnik Louisa Armstronga wykonany przez Jerzego Kędziorę z inicjatywy Polskiego Stowarzyszenia Jazzu Tradycyjnego i jego prezesa Tadeusza Ehrhardta-Orgielewskiego.

Dwa dni wcześniej festiwal rozpoczął Parada Nowoorleańska, która wyruszyła z placu Biegańskiego do filharmonii. Gwiazdami byli: Lora Szafran, Sławek Wiercholski z Nocną Zmianą Bluesa, a także skrzypek z Holandii, Tim Kliphu-

Jednym zdaniem

■ **Zagrali:** Teatr im. A. Mickiewicza – Katarzyna Groniec; Muzyczne Klimaty – Krzysztof Ścierański; OPK Gaude Mater – Mateusz Kurcab; juvenalia – Kamil Bednarek, Cała Góra Barwinków, Hurt, Sidney Polak; plac Biegański w ramach Red Bull Tour Bus: Wspólna Scena – Sokół, Ras, Kosi, DJ Streez i DJ Mr Krime, a z Częstochowy – 1000, Zyto, Sarius.

■ **W Bibliotece Publicznej** im. dr. W. Biegańskiego spotkanie z Moniką Słwińska, autorką książki *Muzy Młodej Polski. Życie i świat Marii, Zofii i Elizy Pareńskich*.

is muzykami Siergiej Wowkotrub Gypsy Swing Quartet. Oczywiście nie mogło obyć się bez jam session w klubie Five O’Clock.

W czasie festiwalu zorganizowano również koncert dla Henryka Majewskiego, pierwszego laureata Honorowego Swingującego Kruka, wystąpił: jego syn, Robert Majewski, Andrzej Jagodziński i Dorota Curyło.

Ważnym punktem programu był konkurs „Swingujący Kruk”. Nagrodzono – Szymona Klekowickiego z Katowic, Maksymiliana Muchę z Częstochowy, Krystynę Gedzik z Gdańska, która otrzymała też nagrodę publiczności. Drugiemu częstochowianinowi, Sebastianowi Janikowi, przyznano wyróżnienie. Statuetkę Honorowego Swingującego Kruka otrzymał Jacek Mazur.



Fot. z arch. Janusza Kurka

Gdańscy graficy w częstochowskiej galerii

W Miejskiej Galerii Sztuki gościliśmy wystawę prac profesorów ASP w Gdańsku i ich wychowanków. Była to doskonała okazja do poznania ich warsztatu, ulubionych form i tematów. Na dole przygotowano wystawy indywidualne – w Sali Śląskiej pokazano obrazy Józefa Czerniawskiego, w Sali Poplenerowej prace Aleksandry Prusinowskiej, w Atresoli grafiki Katarzyny Dynowskiej, a na piętrze w Sali Gobelinowej przygotowano przeglądową wystawę prac artystów skupionych w Katedrze Grafiki Artystycznej *Od czerni do koloru*, czyli wszystko, czym katedra ASP w Gdańsku chce się chwalić. Na wystawie prezentowano grafikę tradycyjną, grafikę komputerową oraz malarstwo, a niemal każde z nazwisk zasługiwałoby na osobne omówienie; wśród wystawiających znaleźli się m.in. prof. Alina Jackiewicz-Kaczmarek, prof. Janusz Ankermann, prof. Cezary Paszkowski.

Kilka słów o artystach wystawiających na parterze MGS. Prace Józefa Czerniawskiego wykonane techniką mieszaną, złożone z form prostych, geometrycznych zapraszały do kontemplacji rytmicznych form tworzonych za sprawą linii i koloru. O artyście opowiadał też film *Pielgrzym* zrealizowany przez Pawła Siedlika i Tomasza Edelmana.

Aleksandra Prusinowska (asystentka w pracowni prof. Ankermana) w 2013 r. zdobyła nagrodę dyrektora MGS w Częstochowie podczas 5. Ogólnopolskiego Konkursu im. Mariana Michalika na Obraz dla Młodych Artystów. Ostatnio jej prace w Częstochowie gościły na wystawie *Dionizos – współczesna odsłona mitu*. Obecna prezentacja *Gwiazdozbiór* przypominała znane motywy (m.in. z twórczości Józefa Chelmońskiego), czerpała z astronomii, ale była też oceną współczesności – postacie zbudowane były z kosmicznej materii, a czarno-biali wojownicy zostali przeciwstawieni kolorowym kobietom z Księżycą.

■ **Poniedziałki literackie** w Odwachu – Małgorzata Kalicińska, Wojciech Jagielski, Jan Sowa.

■ **27 maja** w Dniu Samorządu Terytorialnego przygotowano koncert dedykowany Januszowi Gniatkowskiemu *Apassionata* prowadzony przez Marię Szablowską; przeboje zaśpiewali: Krystyna Maciejewska-Gniatkowska, Agnieszka Włodarczyk, Kasia Moś, Dominika Skowron, Olek Klepacz, Mikołaj Krawczyk, Michał Gasz, Janusz Szrom, Janusz Soltysik, Michał Rorat, Piotr „Dziker” Chrząstek.

Rocznica Odysei Kresowej

Minęło już 70 lat od osiedlenia na Śląsku Opolskim mieszkańców przedwojennych województw II Rzeczypospolitej: lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego. Pozostawili gniazda rodzinne, groby przodków i dorobek życia. Z bagażem traumatycznych przeżyć z czasów zbrodni nacjonalistów ukraińskich oraz okupacji niemieckiej i sowieckiej, opuścili ojczyste strony wyruszając w nieznane, pełni obaw o losy zubożonych rodzin, okaleczonych przez wojnę. Podróżowali tygodniami w bydłych wagonach, wegetując na kolejowych bocznicach aby zakończyć kresową Odyseję na Śląsku. Świadectwo tamtej tułaczki można obejrzeć w Muzeum Wsi Opolskiej na wystawie w zagrodzie kresowej, gdzie zawieszono powiększenia unikatowych zdjęć transportów z „repatriantami”. Autorem tych unikatowych zdjęć był Stanisław Bober, fotografik o kresowych korzeniach, który po wojnie osiadł w Opolu. Przybycie Kresowian do tego miasta upamiętnia tablica na ścianie opolskiego ratusza z widokiem wagonu na tle panoramy Lwowa. Przez dziesiątki lat nie było publikacji ani precyzyjnych danych o Kresowianach na Opolszczyźnie. Z różnych przyczyn nie prowadzono badań ani nie dokumentowano ich losów. Na początku lat 90. po zmianach politycznych wzrosło zainteresowanie tematyką kresową i zaczęły się ukazywać oficjalne publikacje, również dotyczące osiedlania ludności kresowej. Dla zobrazowania owej „wędrówki ludów” benedyktyńskiej pracy podjęty się kustoszki Muzeum Śląska Opolskiego – Elżbieta Dworzak i Małgorzata Goc, docierając do rozproszonych i niepełnych archiwaliów. Plon ich pracy (imponujący) ukazał się w Opolskim Roczniku Muzealnym (XVIII – Opole, 2011) w tomie „Pochodzenie terytorialne ludności napływowej i geografia powojennych osiedleń na wsi opolskiej”. Autorki zbadały, oszacowały i opisały historię przesiedleń Kresowian do poszczególnych miejscowości, podając jednocześnie ich macierzyste miejscowości. Zainteresowanie tematyką kresową wzięło owoce na Opolszczyźnie nowymi publikacjami, począwszy od klasyki przedmiotu ukazującej się w serii „Kresowa Atlantyda” (autor prof. S. Nicieja), a kończąc na wielu lokalnych wydawnictwach, opisujących dzieje kręgu poszczególnych miejscowości. Najnowsze z nich to „Głubczyccy Kresowianie i Sybiracy” Arkadiusza Szymczyńskiego i Katarzyny Maler. Bogaty zbiór materiałów opisujących dzieje mieszkańców Głubczyc o kresowych korzeniach. W kolejnych rozdziałach znalazły się wspomnienia z lat deportacji i pobytu na „niehumanitarnej ziemi” na tle losów poszczególnych rodzin i duchowieństwa. Następnie powojenny wkład kresowej inteligencji w odbudowę wielu dziedzin życia społeczno-kulturalnego na Ziemi Głubczyckiej. Optymizm napawa, że średnie i młode pokolenie, nie tylko w Głubczycach ale również w wielu innych miejscowościach regionu, aktywnie działa na rzecz zachowania kresowych tradycji. Zapewne siedemdziesiąta rocznica przybycia Kresowian na Śląsk Opolski stała się nowym impulsem dla upamiętnienia kresowej Odysei, zarówno przez historyków, animatorów kultury jak też autorów wspomnień i wierszy, którzy przyczyniają się do ocalenia pamięci w żywym słowie i na kamiennych tablicach.

JANUSZ WÓJCİK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

Europejskie Blizny

„Cicatrices européennes – Europäische Narben – Europejskie blizny” – tym trójjęzycznym tytułem opatrzone wystawę grafiki Gabrieli Cichowskiej – absolwentki Akademii Sztuk Pięknych im. Jana Matejki w Krakowie. Artystka w serii rysunków i kolaży ukazała doświadczenia wojenne z czasu desantu wojsk alianckich w Normandii. G. Cichowska w swoim dorobku ma już cykl prac o podobnej tematyce. W ubiegłym roku wykonała ilustracje do książki „Ostatnie przedstawienie Pani Esterki” autorstwa Adama Jaromira, poświęconej wojennym losom Janusza Korczaka i jego podopiecznych w Getcie Warszawskim. Ekspozycja została przygotowana w ramach współpracy Powiatu Kusel w Niemczech i Departamentu Orne we Francji, prezentowana była już we Francji i w Niemczech. Natomiast w Muzeum Śląska Opolskiego uświetniła wizytę w województwie opolskim premier Nadrenii Palatynatu Malu Dreyer, która podczas otwarcia wystawy powiedziała: – *Tragiczne doświadczenia wojenne Europy są dla nas nauką, którą wszyscy powinniśmy wziąć sobie do serca i działać tak, by już więcej nic podobnego się nie wydarzyło.* Pani Premier pierwszą wizytę w Polsce rozpoczęła od zwiedzenia byłego niemieckiego hitlerowskiego obozu KL Auschwitz, a następnie w Opolu i Kamieniu Śląskim prowadziła rozmowy na temat rozwoju współpracy bilateralnej z władzami województwa opolskiego. Wśród licznych gości na otwarciu wystawy „Europejskie blizny” obecni byli również: wojewoda opolski Ryszard Wilczyński, marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła oraz starosta powiatu Kusel dr Winfried Hirschberger (inicjator wystawy, zasłużony dla współpracy polsko-niemieckiej). Województwo Opolskie i Nadrenia-Palatynat łączą długoletnie więzy owocnej współpracy partnerskiej, której XX-lecie będzie uroczystie świętowane w przyszłym roku.

Święto Województwa Opolskiego

Thuny widzów zgromadziły doroczne obchody Święta Województwa Opolskiego. Tym razem cykl plenerowych imprez odbył się w Kluczborku, w nowej formule święta poza stolicą regionu, ponieważ jego główny organizator – marszałek województwa opolskiego Andrzej Buła zaproponował środowiskom

samorządowym, aby obchody święta regionu gościły co roku w kolejnych miastach powiatowych. Organizatorzy przygotowali szereg atrakcji: koncerty, zawody sportowe, zabawy taneczne, konkursy dla najmłodszych i pokazy sztucznych ogni. Inaugurację uświetniła gala wręczenia „Złotych Spinek” – prestiżowej nagrody (przyznawanej przez Nową Trybunę Opolską), którą co roku honorowani są zasłużeni dla regionu przedstawiciele środowisk nauki i kultury, samorządowcy i społecznicy. W gronie kilkunastu wyróżnionych znaleźli się m.in.: historyk i senior środowiska bibliotekarzy Roman Sękowski oraz rektor Politechniki Opolskiej Marek Tukiendorf.

Święto regionu było także doskonałą okazją do promocji wśród mieszkańców funduszy unijnych i prezentacji korzyści wynikających z realizacji programu Opolskiej Karty Rodziny i Seniora. Plenerowe obchody święta regionu upamiętniają akcję obrony samodzielności województwa opolskiego, która zakończyła się sukcesem 17 lat temu, dzięki masowym i pokojowym protestom dziesiątek tysięcy jego mieszkańców, którzy m.in. utworzyli wzdłuż województwa żywy łańcuch „Bronimy swego Opolskiego”.

Lato festiwalu

Lato na Opolszczyźnie to czas plenerowych festiwalu: otmuchiowskie „Lato Kwiatów”, nyski Festiwal „Ognia i Wody”, opolski Festiwal Folklorystyczny przyciągają tłumy publiczności i turystów. W Otmuchowie ulice zabytkowego miasta i malownicze okolice Zamku i Ratusza wypełniły się barwnymi kompozycjami kwiatowymi. Goście 43. Lata Kwiatów podziwiali wspaniałe ekspozycje i ogrody kwiatowe. Na powierzchni dwóch tysięcy metrów kwadratowych zaprezentowało się 60 wystawców. Program Lata Kwiatów, wzbogaciły pokazy florystów, wystawy ręcznie zdobionej ceramiki, rękodzieła artystycznego, tkactwa, malarstwa i metaloplastyki. Na estradzie odbywały się występy kabaretowe, koncerty muzyczne m.in. z udziałem gwiazd – Stana Borysa i zespołu Wilki.

Podczas Festiwalu Ognia i Wody główną atrakcją był widowiskowy pokaz sztucznych ogni, który przygotowały firmy pirotechniczne z Polski, Czech i Białorusi. Podczas Festiwalu Folklorystycznego w Muzeum Wsi Opolskiej motywami przewodnimi były muzyka opolskich zespołów ludowych oraz kulinarne specjalności regionu. Główny punkt programu stanowiły występy amatorskich zespołów folklorystycznych z Opolszczyzny, które rywalizowały o Grand Prix Festiwalu. Zwycięzca tegorocznej edycji uzyskał możliwość odbycia profesjonalnej sesji nagraniowej w studiu Radia Opole. Ponadto podczas festiwalu miał miejsce finał regionalny XV edycji konkursu „Nasze Kulinarne Dziedzictwo – Smaki Regionów” organizowanego przez Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego oraz Opolski Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Łosiowie.

Jednym zdaniem

■ „To się nie uda... albo wszystko wisi na włosku...” – to tytuł wernisazu prac plastycznych Romualda Jeziórskiego, który odbył się w opolskiej Galerii Związku Polskich Artystów Plastyków PSU „Pierwsze Piętro”.

■ Wystawa „Z kresowego albumu” w Galerii WuBePe w Opolu, prezentująca kresowe memorabilia (m.in. prywatne zdjęcia, pamiętki po przodkach oraz dokumenty), towarzyszyła obchodom VI edycji Opolskich Dni Kresowych.

■ XI sesja edukacyjna „Jeśli nie pamięć, to co? – Edukacja w miejscach pamięci narodowej” odbyła się w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu.

■ Wystawę prac malarskich Mieczysława Ziomka, artysty obdarzonego wyjątkową wrażliwością kolorystyczną, zorganizowało Muzeum

Śląska Opolskiego wspólnie z Galerią Sztuki Współczesnej w Opolu.

■ Spotkanie wspomnieniowe zatytułowane „Sprawy Polaków wg Edmunda Jana Osmańczyka” odbyło się w Muzeum Śląska Opolskiego. W programie znalazł się wykład prof. Stanisława Sławomira Nicieji oraz prezentacja filmu „Człowiek z pomnika” autorstwa Leszka Myczyki i Marcina Pawelczaka.

■ Polskie Stowarzyszenie Krajoznawców w Opolu oraz opolska Miejska Biblioteka Publiczna, w ramach spotkań z cyklu Śląskie Forum Krajoznawcze, zaprosiły słuchaczy na wykład „Ewakuacja jeńców wojennych, robotników przymusowych i więźniów na Śląsk Opolskim”, który wygłosił dr Piotr Stanek – kierownik Działu Naukowego Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Opolu.

Muzeum na kółkach w Czeladzi

„Szalom na Rynku” – Festiwal Kultury Żydowskiej oficjalnie zainaugurował 21 czerwca w Czeladzi wizytę „Muzeum na kółkach”. Ten niezwykle nowatorski projekt zainicjowany przez Muzeum Historii Żydów Polskich Polin jest podróżą po Polsce wystawy edukacyjnej, której celem jest szerzenie wiedzy o tysiącletnim współistnieniu kultur polskiej i żydowskiej. Wspiera on także lokalne inicjatywy nawiązujące dialog polsko-żydowski i inicjuje ochronę dziedzictwa żydowskiego. Ma on także na celu szerzenie tolerancji zarówno religijnej jak i kulturowej, tolerancji, której niestety w ostatnich czasach coraz częściej zaczyna nam brakować. Ta niecodzienna lekcja historii do kwietnia 2016 r. pojawi się w 47 miejscowościach w całym kraju, w województwie śląskim zaledwie w czterech miastach: Czeladzi, Cieszynie, Wodzisławiu i Żarkach. Znalazienie się na tej liście nie było łatwe. Do scenariusza przybliżania historii i kultury przedwojennej społeczności żydowskiej w Polsce, przygotowanej przez Muzeum Polin, każda z miejscowości ubiegających się o udział w projekcie musiała wpisać własny, oparty na lokalnej historii element. Projekt „Muzeum na kółkach” realizowany jest w ramach programu Żydowskie dziedzictwo kulturowe, dzięki wsparciu udzielonemu z funduszy norweskich i EOG przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię.

Czeladź jest ważnym punktem na mapie polsko-żydowskiego dziedzictwa kulturowego. Żydzi zamieszkali tu na przełomie XVIII i XIX wieku. Wprawdzie ludność wyznania mojżeszowego nie była zbyt liczna, nie przekroczyła bowiem 6 procent populacji miasta to jednak powstała tu bożnica, w początkach XX w. założono nową nekropolię, położoną na granicy Czeladzi i Będzina a w mieście działały żydowskie stowarzyszenia a nawet przedszkole. Członkowie społeczności żydowskiej zasiadali w radzie miejskiej.

Pawilon ekspozycyjny stanął na czeladzkim rynku i przez trzy dni był dostępny dla wszystkich zainteresowanych a tych nie brakowało. W środku zwiedzający mogli zapoznać się z niezwykle ciekawą interaktywną mapą Czeladzi, przybliżającą historię tutejszych Żydów oraz makietą obrazującą typowy polski sztetl – małe miasteczko zamieszkiwane przez ludność polską i żydowską z jego typowymi obiektami – kościołem, ratuszem, synagogą, mykwą, kramami handlowymi, chederem. Ekspozycja spotkała się z ogromnym zainteresowaniem, a do pawilonu, po którym oprowadzały edukatorki z Muzeum Polin wciąż przybywali nowi goście.

W ramach projektu w czeladzkim Muzeum Saturn odbył się wykład prof. Leszka Hońdo zatytułowany „Erew – wokół kalendarza żydowskiego”, projekcja nagrodzonej Oscarem „Idy” Pawła Pawlikowskiego a o życiu politycznym i społecznym zagłębiowskich Żydów w dwudziestolecie międzywojennym opowiadała dr Aleksandra Namysł. W Galerii „Elektrownia” gościła wystawa „Znalezieniem życia”, opowiadająca o Polakach ratujących Żydów w czasie okupacji. Była także okazja do spaceru szlakiem czeladzkich Żydów. Oby ta nietypowa a zarazem niezwykła lekcja zaowocowała szacunkiem do historii i ludzi, którzy ją tworzyli, bez względu na ich wyznanie.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Sosnowieckie nagrody

12 czerwca sosnowiecka Muza przeżyła kolejne obłężenie, odbyła się tam tegoroczna gala wręczenia Nagród Miasta Sosnowca w dziedzinie kultury i sportu. Członkowie Kabaretu Młodych Panów, którzy prowadzili imprezę oraz występ zespołu Fair Weather Friends sprawili, że zwykle szampa impreza przemieniła się w lekką, łatwą i przyjemną. Artystyczna nagroda za całokształt twórczości przypadła Józefowi Makalowi i Jerzemu Lucjanowi Woźniakowi. Fotografii autorstwa Józefa Makala obiegły niemal cały świat. Reportażysta „Dziennika Zachodniego”, z którym był związany od 1958 r. współpracował także ze śląską „Panoramą”, z Centralną Agencją Fotograficzną oraz wieloma tygodnikami i miesięcznikami.

Poeta, prozaik i eseista Jerzy Lucjan Woźniak debiutował w katowickich „Pogładach” w 1983 roku. Jego wiersze ukazały się w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Miesięczniku Literackim”, „Piśmie Literacko-Artystycznym”, „Akencie”, „Śląsku”, „Pograniczach”, „Akancie”, „Toposie”. Jest autorem wielu tomików poetyckich, m.in. „Pod skórą” (1991), „Różga światła” (1991), „Szelest czasu” (1993), „Z oczu bielmo z serca strach” (1998), „W Tatrach” (2001), „Korowanie pokory” (2003), „Samotność kota” (2005), „Ślimak na asfalcie” (2009). Jerzy Lucjan Woźniak jest członkiem zarządu Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego.

Za najlepsze osiągnięcia w minionym roku nagrodę otrzymał zagłębiowski zespół Fair Weather Friends.

Sportowcem roku 2014 został pływak Artur Pióro, zdobywca ponad 300 medali. Tytuł trenera roku 2014 trafił do Tomasza Hałata, trenera piłki nożnej. Kierowana przez niego reprezentacja Polski wychowanków Domów Dziecka w 2013 r. zdobyła Mistrzostwo Świata. Sportową Nadzieję Roku 2014 uznano Piotra Kokoszę, złotego medalistę Mistrzostw Europy Juniorów w Ju-Jitsu z 2014 roku oraz 15-letniego szablistę Piotra Sosul-

Jednym zdaniem

■ 5 czerwca w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu czytelnicy spotkali się z Jerzym Lucjanem Woźniakiem.

■ 6-7 czerwca na błoniach Zamku Siewierskiego świętowano 53. Dni Ziemi Siewierskiej. Podczas dwudniowej imprezy wystąpili artyści muzyki popularnej i alternatywnej. Imprezę rozpoczęła tradycyjna „Zakinada” ulicami miasta.

■ 8 czerwca w Miejskim Klubie im. Jana Kiepury w Sosnowcu odbył się wernisaż ikon autorstwa Janiny Świtły.

■ 10 czerwca uroczystie odsłonięto mural „Sosnowieckie podwórko z żółtą Warszawą” wg projektu prof. Jacka Rykały, którego wspomagali w pracy Aleksander Kozera i Miłosz Wnukowski. Malowidło ozdobiło ścianę kamienicy przy ulicy 3 Maja 11 w Sosnowcu.

■ 14 czerwca w sosnowieckiej Muzie koncertowała Kapela ze wsi Warszawa.

skiego, zwyciężąc turniejów o Puchar Polski w różnych kategoriach wiekowych.

Jubileusz

Szkoła inspiruje mnie swoim pięknem i spokojem, a zarazem nieobliczalnością. Jest trudnym materiałem. Ale materią, jakiej można uzyskać pracując z nim są tak różnicowane, że możliwe jest tworzenie niezliczonej ilości motywów. Wykorzystuję je w kolorze i strukturze farby – tak tłumaczy swoją fascynację szkłem Karolina Kindler-Skowronek, absolwentka Wydziału Ceramiki i Szkła Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Zajmuje się malarstwem, poligrafia użytkową, rzeźbą i fotografią, dzieląc się z widzami swoim abstrakcyjnym postrzeganiem rzeczywistości. Maluje energetyczną abstrakcję wykorzystując własną technikę malarską. 11 czerwca w Pałacu Mieroszewskich w Będzinie otwarta została wystawa przygotowana z okazji jubileuszu 15-lecia pracy twórczej artystki. Ekspozycja nosi tytuł „Struktura abstrakcyjna”.

Dialog kulturowy

Od 12 czerwca w sosnowieckiej Galerii Extravagance goszczą dzieła Janusza Karbowniczka. Wystawa zatytułowana „Rozmowa. Malarstwo, rysunek (wybór)” prezentuje 40-letni dorobek z zakresu rysunku i malarstwa artysty od kilku lat mieszkającego w Bielsku-Białej, ale silnie związanego ze środowiskiem katowickim. Profesor Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach zajmuje się malarstwem, rysunkiem, projektowaniem graficznym. Laureat wielu prestiżowych nagród i wyróżnień tak wyjaśnia tytuł swojej wystawy jubileuszowej: „Rozmowa” – sięgając do znanego z historii motywu *Sacra Conversation* (Świętej rozmowy) – podkreśla aktualność dialogu, jako sposobu wzajemnego poznawania się. Ow dialog kulturowy rozgrywa się na kilku równoległych płaszczyznach: w płaszczyźnie historycznej jest sporem z tradycją, w ujęciu psychologicznym – dialogiem z odbiorcą, a w kategoriach „przekraczania” stanowi rozmowę ze światem, ze współczesnością, z absolutem. Temat rozmowy jest obecny w mojej twórczości od zawsze, stanowiąc uniwersalną wymianę wartości, będącą sposobem poszukiwania sensu bycia i odkrywania w ujęciu ludzkim i ponadludzkim. Stwarza możliwość odszukiwania miejsca i roli jednostki w świecie globalizacji w czasach niepokoju i niepamięci”.

■ 18 czerwca w Energetycznym Centrum Kultury w Sosnowcu odbyła się Gala operowa dla Kiepury. Gwiazdą wieczoru był światowej sławy tenor Gioacchino Gitto, wystąpili także Beata Witkowska-Glik, Kamila Lendzion, Ewelina Sobczyk, Jarosław Wewióra i Radosław Rzepcecki.

■ 18 czerwca w niezwykłej scenarii plaży na Pogorii III odbył się koncert Opery Świętojańskiej w wykonaniu Międzynarodowej Grupy Operowej Sonori Ensemble. Gościnnie wystąpił Kwartet Smyczkowy Pakamera.

■ W Centrum Edukacji i Wychowania Młodzieży Kana w Sosnowcu zagościła wystawa prac malarzkich Wiolety Frączek, laureatki I miejsca V Ogólnopolskiego Konkursu literacko-plastycznego pt. „Znaszli ten kraj”.

■ Teatr Zagłębia w Sosnowcu 27 czerwca zakończył sezon 2014/2015 premierą „Sali Królestwa” Tomasza Śpiewaka.

Ludoznawcy uczcili 50-lecie konferencją

XXVI Festiwal PZKO odbywał się wprawdzie dopiero w sobotę 30 maja, tę sztandarową, reprezentacyjną imprezę Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego zainaugurowała już jednak w piątek konferencja naukowa zorganizowana z okazji jubileuszu 50-lecia działającej przy Zarządzie Głównym PZKO Sekcji Ludoznawczej. Ludoznawcy przypomnieli ponadto także 120. rocznicę założenia we Lwowie Towarzystwa Ludoznawczego.

W konferencji wzięli udział nie tylko członkowie Sekcji-jubilatki, ale m.in. również prezes PZKO Jan Rylko i przyjaciele Związku z Wyższej Szkoły Biznesu w Dąbrowie Górniczej. Prezes Sekcji Ludoznawczej, Leszek Richter, nadzwyczaj ciepło witał też etnografów z Katowic, z Zakładu Teorii i Historii Kultury Uniwersytetu Śląskiego: Ewę Kosowską i Eugeniusza Jaworskiego, którzy współpracują z Sekcją od 1965 roku. Kosowska zabrała też głos, otwierając swoim wykładem spotkanie.

Sporo miejsca, bo jakże inaczej, poświęciła historii i roli Sekcji Ludoznawczej oraz jej poprzednika, Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego w Księstwie Cieszyńskim z siedzibą w Cieszynie, założonego w 1901 roku. To do jego dorobku nawiązała w połowie lat 60. ubiegłego wieku obecna Sekcja, wówczas pod nazwą Sekcja Folklorystyczna. Jej założycielami i działaczami byli m. in. Karol Daniel Kadłubiec, Władysław Milerski, Karol Piegza, Gustaw Fierla, Józef Ondrusz, później Jan Szymik. W końcu pod koniec ubiegłego wieku i w obecnym tysiącleciu dołączyli do nich ich młodszy koleżdy z obu brzegów Olzy. W 2001 roku Sekcja zmieniła drugi człon nazwy na „ludoznawcza”. – Pózwiezie istnienia Sekcji Ludoznawczej napawa optymizmem i sprawia, że możemy ją potraktować nie tylko jako dostojną jubilatkę, ale także zasłużoną, sprawdzoną instytucję, poprzez którą tak niewiele zapaleńców strzegło i strzeże z uporem bogatego kulturowego dorobku mieszkańców tego regionu – podkreśliła Ewa Kosowska.

Także Leszek Richter swoje wystąpienie poświęcił pracy Sekcji Ludoznawczej od jej założenia w 1965 roku po dzień dzisiejszy. Prelekcję zaś wzbogacały wyświetlane na ekranie zdjęcia z wielu wycieczek, seminariów i imprez jubilatki. – Sekcja od początku prowadziła badania terenowe: indywidualne i grupowe. Co zaś było ważne: sekcja wykorzystywała do tego potencjał PZKO i jego doskonałą bazę, jaką stanowiły jego srodowisko i Domy PZKO. Członkowie Kół, Klubów Seniora, Klubów Kobiet, dysponowali też sporą wiedzą ludoznawczą. Nasi badacze mieli więc poniekąd uproszczone zadanie – opowiadał Richter. Wspominał o obozach ludoznawczych, w których brali udział również studenci z polskiego brzegu Olzy, seminariach, imprezach. Przede wszystkim zaś o działalności wydawniczej.

Głos zabrał też prezes PZKO, Jan Rylko. – Sporo prawdy jest w tym, że to, iż PZKO otrzymało przed rękami z rąk marszałka polskiego Senatu, Bogdana Borusewicz, tytuł „Strażnika Dziedzictwa Rzeczypospolitej”, jest w dużej mierze zasługą Sekcji Ludoznawczej i jej działaczy. Dziękuję wam za to, że jesteście, że pomagacie nam w pracy – podkreślił prezes Rylko.

JACEK SIKORA



„Głos Ludu” 70-latkami

„Głos Ludu”, jedyna w Republice Czeskiej polska gazeta, obchodzi w tym roku 70. urodziny. Pierwszy numer ukazującego się trzy razy w tygodniu pisma pojawił się 9 czerwca 1945 roku. Od tego dnia zmieniło się niemal wszystko – gazeta ma za sobą kilka małych rewolucji, zrywów wolnościowych nad Wełtawą i Wisłą, ale największa rewolucja, technologiczna, rozgrywa się na oczach czytelników od kilku lat.

Jak w ciągu siedmiu dekad zmieniał się „Głos Ludu”, czytelnicy mogli się przekonać we wtorek 9 czerwca, czytając jubileuszowy numer gazety, który liczył aż 16 stron i w większości poświęcony został dziejom GL oraz ludziom tworzącym jego redakcję. W tym dniu czytelnicy mogli też odwiedzić czeskokocieszyńską redakcję w ramach Dnia Otwartego i spróbować urodzinowego tortu w kształcie... gazety.

Oficjalne uroczystości urodzinowe „Głosu Ludu” odbędą się w Teatrze Cieszyńskim w połowie września.

„Maitri” znaczy „przyjaźń”

Od 5 do 7 czerwca w Domu Rekolekcyjnym przy parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa w Czeskim Cieszynie odbyło się ogólnopolskie spotkanie członków ruchu „Maitri” – Ruchu Solidarności z Ubogimi Trzeciego Świata. Chodzi o inicjatywę, której członkowie obejmują – w ramach programu Adopcja Serca – patronat nad sierotami lub ubogimi dziećmi z krajów Afryki Środkowej.

– W Polsce Ruch „Maitri” powstał na przełomie lat 1975/1976, w Republice Czeskiej działa od roku 1995 – mówi Piotr Roszak z Czeskiego Cieszyna, który jest jednym z koordynatorów ruchu w RC i był głównym organizatorem czerwcowego spotkania. – Działalność Ruchu jest próbą odpowiedzi na wyzwanie rzucane dziś każdemu człowiekowi przez cierpienie najbardziej potrzebujących i niesprawiedliwość współczesnego świata. Jest to także

próba wyrażenia chrześcijańskiej solidarności z najbardziej potrzebującymi mieszkańcami naszej planety – wyjaśnia Roszak.

Do Czeskiego Cieszyna zjechali członkowie „Maitri” nie tylko z całej RC, ale również z wielu ośrodków tego Ruchu w Polsce. Nie zabrakło także księży pallotynów. – To bowiem dzięki zakonowi pallotyńskiemu trafia do Afryki pomoc z Polski i RC – podkreśla Piotr Roszak.

Trzydniowe spotkanie rozpoczęło się 5 czerwca mszą świętą, podczas której ks. Artur Cielicki SAC wygłosił kazanie na temat „Eucharystia – pokarm w naszym codziennym pielgrzymowaniu”. Z kolei w sobotę podczas mszy św. o godz. 8.30 uczestnicy spotkania wysłuchali kazania o historii misji pallotyńskich w Rwandzie. Po wieczornej mszy na wykład „Afryka moja miłość” zaprosił Konrad Czernichowski z polskiej centrali „Maitri”.

Urodziny szkoły nie tylko z przedstawieniem

– Sto lat już macie, wypada więc życzyć wam teraz stu uczniów! – takie życzenia złożył w sobotę 6 czerwca w Domu Kultury w Lutyni Dolnej jeden z gratulantów dyrektorce miejscowej polskiej szkoły. Kwiatów i życzeń było zaś sporo. Dolnolutyńska polska podstawówka obchodziła bowiem jubileusz 100-lecia istnienia swojego budynku.

Sobotnie uroczystości przebiegały pod hasłem: „Są miejsca, czasy i ludzie, których się nie zapomina...”. Punktem kulminacyjnym obchodów jubileuszu było popołudniowe przedstawienie pt. „Gdzie bije serce Zaolzia” według scenariusza Bogdana Najdera, w którym na scenie Domu Kultury przedstawili się nie tylko obecni uczniowie i przedstawiciele, ale też liczni absolwenci szkoły-jubilatki.

Już jednak przed południem w kościele pw. św. Jana Chrzciela odbyła się msza święta dziękczynna na intencji szkoły, jej założycieli, nauczycieli i wychowanków. Później uczestnicy jubileuszowych uroczystości przenieśli się do szkoły. Tam w korytarzu przy wejściu do budynku konsul generalna RP w Ostrawie, Anna Olszewska, wspólnie z wójtem wioski, Pavlem Buzkiem, odsłoniли tablicę upamiętniającą 100. urodziny szkoły. We wszystkich lokalach jubilatki odbyły się spotkania jej absolwentów – od tych najstarszych aż po tych, którzy nie tak dawno opuścili mury swojej „ukochanej, starej budy”. Sobotni urodzinowy maraton zakończył odbywający się w Domu Kultury „Bał wspomnień”.

Jednym zdaniem

■ W ostatni poniedziałek czerwca w sali konferencyjnej Zamku Cieszyn minister spraw zagranicznych RP Grzegorz Schetyna przez prawie godzinę dyskutował z przedstawicielami polskich organizacji na Zaolziu. Do spotkania doszło z inicjatywą posła Aleksandry Trybuś-Ciešlar.

■ W Karwinie odbył się 30 maja XXVI Festiwal PZKO. Gwiazdą tej sztandarowej imprezy Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego był zespół Kombii. Przez sceny festiwalu przewinęły się wszystkie zespoły śpiewacze i taneczne działające w ramach Związku.

■ „Życie jest piękne” – stwierdził poeta Marek Słowiaczek podczas jednej z ostatnich w roku szkolnym lekcji języka polskiego w klasie 9 B w Polskiej Szkole Podstawowej im. Henryka Sienkiewicza w Jabłonkowie. Z inicjatywy nauczycielki Marcelli Szotkowskiej dziewczątoklasiści, niejako na pożegnanie, mieli okazję spotkać się z poetą, absolwentem szkoły, i wiele dowiedzieć się o poezji i jej interpretacji.

■ W piątek 12 czerwca w sali konferencyjnej Książnicy Cieszyńskiej odbyło się spotkanie z Melchiorem Sikorą, zaolziańskim działaczem społecznym i autorem książki. Spotkanie pn. „Zwykły człowiek w niezwykłych czasach, na niezwykłej ziemi” poprowadził publicysta i etnograf Jarosław Jot-Drużycki, autor książki „Hospicjum Zaolzie”.

■ Scena Polska zakończyła sezon 27 czerwca premierą komedii „Grube ryby” Michała Bałuckiego w reżyserii Adama Sroki z Krakowa.

W pierwszy piątek 3 lipca zespół zaprosił jeszcze widzów na Wzgórze Zamkowe w Cieszynie na plenerowe przedstawienie „Ondraszek – Pan Lysej Góry”.

■ Polskie przedszkole w Bystrzycy świętowało 13 czerwca 90-lecie. Jak na jubileusz przystało, był ogromny tort, wspólne „urodzinowe” zdjęcia oraz gromkie „Sto lat”. Największe wrażenie na zebranych zrobił jednak brawurowy program artystyczny pt. „W 90 lat dookoła świata” w wykonaniu przedszkolaków oraz uczniów polskiej podstawówki.

■ Strój i tradycja obchodzący w niedzielę 14 czerwca swoje święto. Po raz dziesiąty w Cieszynie oraz po raz szósty na czeskokocieszyńskim rynku odbył się Dzień Tradycji i Stroju Regionalnego, impreza, która ma na celu pokazanie tradycji naszych przodków zawartych w folklorze i we wszystkich jego przejawach, od pieśni przez taniec, gawędę aż po strój.

■ Zespoły folklorystyczne i kapela ludowa z Zaolzia, Moraw i Słowacji zaprezentowały się 20 czerwca w Bystrzycy w ramach dziewiątej edycji Międzynarodowego Świętojańskiego Festiwalu Folklorystycznego.

■ Do końca czerwca w czeskokocieszyńskiej siedzibie Kongresu Polaków w RC można było oglądać wystawę poświęconą dziejom Macierzy Szkolnej w RC. Ekspozycja powstała z okazji jubileuszu 130-lecia istnienia tej niezwykle zasłużonej organizacji.

■ **JUBILEUSZOWA** gala dziesiątej edycji konkursu Silesia Press miała miejsce 9 czerwca w Katowicach. Ten prestiżowy konkurs śląskiego środowiska medialnego zyskał odpowiednią renomę. Pierwszą nagrodę przyznano Ewie Kozik, dziennikarce TVP Katowice za cykl reportażu historycznych „A życie toczy się dalej”. Wszystkim nagrodzonym (a było ich sporo) gratulujemy.

■ **AKTORZY** przyszedli 9 czerwca do starosty, bo starosta do nich nie zechciał zawitać. Tak zaczął się głośny w całym kraju protest w obronie Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie. Skoro więc starosta będziński zlekceważył aktorów, ci postanowili spędzić noc w starostwie. A rano dnia następnego w sali sesyjnej niego-

ścinnego starostwa wystawiono spektakl „Muminki” dla trzystu dzieciaków. Ten protest był skuteczny – pieniądze dla teatru się znalazły. Podpisano stosowne porozumienie.

■ **DZIWNY** zbieg okoliczności – oto kiedy miłujący polowania, miłośnicie nam dotąd panujący prezydent Komorowski ustępuje – głowy podnoszą przeciwnicy trzebienia zwierzyny leśnej. Pracownicy naukowci Uniwersytetu Śląskiego ogłosili apel, w którym popierają wprowadzenie ustawowego zakazu polowań z udziałem dzieci. Skierowano go do posłów Sejmu, którzy mają podjąć decyzję związaną ze zmianami w prawie łowieckim.

■ **ŚLĄSKI** Fundusz Filmowy – tak, jest coś takiego – wspiera produkcję naszych filmów. Naszych? Ostatnio komisja SFF przyznała dofinansowanie adaptacji książki Edmunda Niziurskiego pt. „Klub włóczykijów”, która ze Śląskiem na mało wspólnego – poza tym, że kręcona jest częściowo w Gliwicach. Nie miał jakoś szczęścia dokument o śląskim bohaterze Henryku Sławiku ratującym tysiące Żydów ani obraz poświęcony Karolowi Schayerowi, czołowemu przedstawicielowi śląskiej moderny. Oczywiście, dawniej SFF zdarzały się decyzje bardziej trafione – sfinansowano takie hity jak „Jesteś Bogiem” Leszka Dawida, czy „Chce się żyć” Macieja Pieprzycy. W każdym razie jest się o co bić – w tym roku SFF miał do rozdysponowania 640 tys. zł.

■ **WYBITNY** kardiochirurg profesor Marian Zembala, dyrektor Śląskiego Centrum Chorób Serca w Zabrze został niespodziewanie mianowany ministrem zdrowia w rządzie Ewy Kopacz. 15 czerwca ujawniono publicznie nazwiska sześciu nowych ministrów. Będą rządzić do jesiennych wyborów. Profesor Zembala wziął się ostro do roboty.

■ **WSTRZĄS** natomiast polityczny, tu w regionie, wywołała dymisja wiceministra PO Tomasza Tomczykiewicza z Pszczyny, który 13 czerwca odszedł w gronie trzech wiceministrów i trzech ministrów z rządu Ewy Kopacz. A dokładnie – został zdymisjonowa-

ny, jak wszyscy. Czy to próba odświeżenia wizerunku zgranej Platformy? Taki face lifting przed wyborami? Poseł Tomczykiewicz trząś województwem, był przewodniczącym Rady Regionalnej PO. Bez niego nic się nie mogło u nas zdarzyć.

■ **KOLEJNA** próba pozbycia się 42-hektarowej działki po Akademickim Centrum Medycznym w Zabrze, nigdy niedokończonym kompleksie szpitalnym, zakończyła się niepowodzeniem. Przypomnijmy, że realizacja Centrum była niespełnionym marzeniem śp. Zbigniewa Religi. Pozostały z niego tylko długi. Chętnych na ogromną działkę, wartą 68 mln zł (w styczniu oferowano ją za 86 mln zł) zabrakło. Śląski Uniwersytet Medyczny wystawi ją ponownie do sprzedaży.

■ **PONOWNE** wejście Ruchu Autonomii Śląska do koalicji rządzącej województwem śląskim wzbudziło obawy w Bielsku-Białej, gdzie sprzeciwiło się temu Stowarzyszenie Beskidzki Dom uważając wprost, że oznacza to „nowy [czytaj śląski] Kulturkampf”. Bielszczanie uważają bowiem, że dzieje się im krzywda, obawiają się inwazji wszystkich co „śląskie” [choć czerpią z tego korzyści, choćby turystyczne]. Pragnęliby zmiany herbu i nazwy województwa na „śląsko-malopolskie”. Bo oni, Małopolanie z Bielska-Białej, czują się zepchnięci na głęboki margines. RAŚ ustami przewodniczącego Jerzego Gorzelika proponuje bielszczanom... połączenie się z Małopolską...

■ **ZMARŁ** 63-letni Jan Franciszek Lewandowski (ur. 1952) – historyk, promotor kultury śląskiej, wybitny filmoznawca, związany przez długi czas z redakcją „Śląska”, a ostatnio z kwartalnikiem „Fabryka Silesia”, której był redaktorem naczelnym. Jego pogrzeb miał miejsce 16 czerwca w Katowicach. Pochowano go na cmentarzu komunalnym przy ul. Murkowskiej. To kolejna wielka strata dla śląskiej kultury – niedawno pożegnaliśmy przecież Feliksa Netza.

■ **ŚLĄZACY** kochają telewizję – oglądamy ją średnio pięć godzin dziennie. Dłużej, o 32 sekundy, siedzą przed kineskopami jedynie Łódzianie. Najwięcej oczywiście starsi, młodszy widzowie (do lat 17) marnują tylko 2 godz. 48 min. 34 s. Najczęściej oglądamy Polsat, TVN, TVP1. Niekwestionowanym naszym ulubieńcem jest Teleexpress, po nim seriale „M jak miłość” i „Ranczo”. Emocjonowała nas telewizyjna debata kandydatów na prezydenta, ale chętniej oglądamy relacje ze sportów zimowych – skoków narciarskich ma się rozumieć.

■ **ABSOLUTORIUM** za wykonanie budżetu za rok 2014 uzyskał zarząd województwa śląskiego. W ubiegłym roku wydatki wyniosły 1,8 mld zł, a dochody ok. 1,6 mld zł. Najwięcej pieniędzy wydano na transport i łączność (ok. 909 mln zł), oświatę (161 mln zł), kulturę (138 mln zł), ochronę zdrowia (91 mln zł) oraz politykę społeczną (97 mln zł). W porównaniu z innymi województwami najwięcej wydajemy na transport i łączność, jak i oświatę. Deficyt budżetowy w wysokości 131 mln zł został pokryty w całości. Zadłużenie województwa wynosi ok. 563 mld zł, co stanowi 34,3 proc. jego dochodów.

■ **KATOWICKI** Nikiszowiec zwiedzał w niedzielę 21 czerwca nuncjusz apostołski w RP abp Celestino Migliore, który gościł w naszym regionie w związku z podniesieniem bogucickiego sanktuarium do rangi bazyliki mniejszej.

■ **URNA** z prochami zmarłego zawieru-

szła zmuszanie do poszukiwania. Nieoczekiwanie okazało się, że paczka leżała spokojnie w myślowickiej parafii. Jej proboszcz był akurat na urlopie, więc nie wiedział o zamieszaniu. Paczkę wysłała firma zajmująca się kremacją zwłok. Tyle że zamiast rodzinie wysłała ją księdzu.

■ **PRZEPROSILI** się, ale najpierw obrażili. Proboszcz w Marciszowie koło Zawiercia zarzucił miejscowym strażakom, że korzystają z ogromnych dotacji z miasta, czerpią z tego zysk, i że deprawują młodzież. Zgorszenie kapłana wywołało jednak złamanie obietnicy, że strażacy prześlą mu część pieniędzy z wpłat 1 proc. od podatku. Proboszcz twierdzi, że sam zachęcał do tych wpłat. Oczywiście obrażeni strażacy interweniowali w kurii, która nakazała przeprosić OSP. Pojednanie nastąpiło na niedzielnej sumie. Przy okazji wyszło, że kwota ogromnego dofinansowania OSP z budżetu miasta Zawiercia wynosi aż 6 tysięcy 560 złotych. Kwota rzeczywiście ogromna...

■ **CIAŁA** dwóch górników, którzy zginęli w wyniku wstrząsu 18 kwietnia w kopalni Wujek Śląsk, odnaleziono 15 czerwca. Akcja ratunkowa była najdłuższą w historii polskiego górnictwa – trwała niemal dwa miesiące. Była bezprecedensowa – do górników próbowano dotrzeć zarówno specjalnie drążonym odwiertem z górą, z powierzchni, jak i z dołu, z wyrobiska ratowniczego. Akcja, w którą zaangażowanych było ponad tysiąc osób (lekarzy, ratowników, mechaników) kosztowała w sumie 21 mln zł. I choć skończyła się tragicznie, wnioski z jej prowadzenia przydadzą się na przyszłość.

■ **PODNOŚZENIE** konstrukcji dachu chorzowskiego „Kotła Czarownic”, jak mówi się o Stadionie Śląskim, rozpoczęło się w połowie czerwca i trwało pomyślnie do końca miesiąca. Odpowiada za nią niemiecka firma Pfeifer, która montowała już dachy 25 stadionów. W Chorzowie tym razem zamiast pechowych „krokodyli” podtrzymujących liny, tym razem w użyciu są „ryby pily”. Operacja Big Lift II zakończy się jesienią. Na gotowej linowej konstrukcji pojawią się elementy stalowe, a potem nałożonych zostanie na nie 45 tysięcy metrów kwadratowych poliwęglanu.

■ **WIELKIE** otwarcie Muzeum Śląskiego w Katowicach, inwestycji długo wyczekiwanej i tak... kontrowersyjnej w odniesieniu do aranżacji wystawy, miało miejsce 26 czerwca. Pierwszego dnia muzeum zwiedziło pięć tysięcy osób. Bezpłatnie obiekt można będzie oglądać przez cały lipiec. Dopiero od sierpnia zaczną obowiązywać bilety – normalny 24 zł (z siedzibą przy Korfańtego 27 zł), ulgowy 16 zł. Wrażenia niesamowite gwarantowane. Zwiedzanie trwa dwie godziny i dłużej.

■ **WYBORY** parlamentarne jesienią, ale kampania już trwa. I festiwal obietnic. 29 czerwca rząd Ewy Kopacz obradował gościnnie w Katowicach. I spłynął obietnicami w ramach programu Śląsk 2.0: ustawą metropolitalną (ponownie) i rewitalizacyjną, nowymi technologiami w górnictwie, Funduszem Inwestycji Samorządowych i nowymi drogami. Oczywiście spotkania ze związkowcami, samorządowcami, zwiedzanie regionu – wszystko w świetle jupiterów.

■ **NOWĄ** halę przylotów (terminal C) otwarto w Pyrzowicach. Kosztowała 53 mln zł. Dzięki niej lotnisko może obsłużyć nawet 6 mln pasażerów – teraz to 3,6 mln odpraw rocznie.

Czekając na kobiety

JAROSŁAW STARZYK

Wyszedłem z klatki naszego bloku wprost na stojących przed nim profesora i biznesmena.

– Życia pan nie znasz – mówił właśnie przedstawiciel osiedlowej klasy średniej – tylko pan w tych książkach siedzisz...

– Gdyby nie książki, nie przetrwałby pan mrocznych lat osiemdziesiątych – ripostował naukowiec. Panowie mnie zignorowali, byli bowiem trochę obrażeni. Odszedłem więc trochę dalej i przy koszu na śmieci oddałem się zgubnemu nałogowi palenia tytoniu. Zresztą wiedziałem jak ich rozmowa będzie przebiegać dalej. Profesor zrobił aluzję historyczną, gdyż w „mrocznych latach osiemdziesiątych” pożyczył był naszemu biznesmenowi książkę *Chemia praktyczna* (nie wiadomo jak trafiła do jego biblioteki). Był to wielki zbiór przytecznych przepisów na wyrób domowym sposobem drogą syntezy albo analizy chemicznej rzeczy bardzo wówczas w gospodarstwie domowym przydatnych. Można sobie było sporządzić w domu proszek do zębów, mydło, pastę do podłogi (pamiętam, że wśród odczynników często występował łój, dziś – zdaje się – w handlu detalicznym rzadko dostępny). Nie pamiętam, czego w tej księdze szukał nasz osiedlowy biznesmen, wtedy jeszcze będący roznosicielem mleka, w każdym razie zapoznał się też z działem *Przetwory spożywcze*, w którym zamieszczono przepis na wino z ryżu. W innym miejscu trafił na opis procesu destylacji. Oczywiście nie zacieru. Ale połączył zdobytą wiedzę, dzięki czemu zaczął fachowo „pędzić”. Profesor (wówczas zwyczajny doktor, w dodatku na urlopie zdrowotnym) wielokrotnie wypominał mu wcześniejsze nieczytanie i lekceważący stosunek do książek. Wreszcie mnie to znudziło i w sekrecie pożyczyłem roznosicielowi mleka *Don Kichota* z zapewnieniem, że w ten sposób nie da się już naukowcowi upokarzać. No i przeczytał z wielkim samozaparciem, dzięki czemu mógł osiedlowemu intelektualistcie dowodzić, powołując się na arcydzieło Cervantesa, do czego czytanie książek prowadzi.

Panowie byli na mnie odrobinę (i nie myślę, że na serio) obrażeni, ponieważ ich małżonki umówiły się ze mną na wypad do miasta. Z nieuporządkowaną aktywnością kobiecą postanowiły w swoich mieszkaniach zmienić „coś”. Biznesmenowa nie ma w tym zakresie zaufania do męża, gdyż jego jedynym kryterium estetycznym jest „żeby było bogato”. Profesorowa natomiast docenia swego małżonka za to, że zna się na sztuce, ale wie też o jego nieuleczalnej niechęci do zmian. Żeby ich uniknąć, wszystkie ściany w swoim pokoju zastawił od podłogi do sufitu regałami zamocowanymi na stałe, na których rozmieścił przebogaty księgozbiór. Dzięki temu jego samotni nie można nawet co dwa lata odmalować. Nie mam pojęcia dlaczego obie panie uznały mnie za jakiegoś arbitra elegancji, eksperta od modnych wnętrz, człowieka posiadającego gust. Domyślałam się tylko, że chodzi o to, iż ja się właściwie nie mieszam do tego, co same wybierają. Chcą zmienić meble w salonie – proszę bardzo. Ma być tapeta w odcieniu brzoskwińowym – nie mam nic przeciwko temu. Chodzi o to, że stoję obok i zgadzam się z każdą ich ostateczną decyzją.

Pałę sobie spokojnie, bo wiem, że już jutro moi sąsiedzi się odobrażą. Wtedy się też dowiem, co było przyczyną ich dzisiejszego sporu z księgami w tle.

ŚLASK

kolekcja jubileuszowa

Redakcja miesięcznika „Śląsk” z okazji 20. roku istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Składają się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego.



Fot. Krzysztof Szafraniec

Renata Bonczar

Od urodzenia mieszka i pracuje w Katowicach. Ukończyła Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie, Wydział Grafiki w Katowicach. Dyplom w 1980 r. W 2004 r. w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach uzyskała stopień doktora sztuki. Za twórczość otrzymała Nagrodę Artystyczną Wojewody Śląskiego, Kieleckiego. Stypendystka Ministra Kultury i Sztuki. Na swoim koncie ma ponad sześćdziesiąt wystaw indywidualnych m.in.: w Galeriach BWA w Katowicach, w Łodzi, w Opolu, w Częstochowie, w Krakowie, w TPSP – Górnym Pałacu Sztuki w Krakowie, na Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie, w galeriach prywatnych w Montrealu, w Teksasie.

Udział w ponad dwustu wystawach zbiorowych m.in.: International Drawing Prize J. Miró, Barcelona (Hiszpania) i Andorra, Współczesne Malarstwo Polskie -Rotterdam, Arnhem, Amsterdam (Holandia), International Kolony in Prilep (Macedonia), International Kolony im Flühli (Szwajcaria), Kunst Cirkus-Zandvoort (Holandia), Impresje Greckie-Gargaliani i Ateny (Grecja), 100 Artystów -100 Obrazów, Norynberga, Impresion from Umbria, Narni (Włochy), Art La Pologne Se Dévoile, Arras (Francja), Segovia 2009, Casa de la Alhondiga (Hiszpania), Plein Air-Fundacion Antonio Pérez, Cuenca (Hiszpania), Współczesna Sztuka Polska, Nowy Jork (USA), Art Exhibition, Wiedeń, Kraków, Salon International Des Arts, Paryż (Francja).

Laureatka wielu nagród, wyróżnień i medali w najważniejszych konkursach malarskich w Polsce. Prace jej znajdują się w wielu kolekcjach państwowych i prywatnych w kraju i zagranicą. Zajmuje się malarstwem, rysunkiem, projektowaniem. Wykładowca akademicki. Organizatorka plenerów malarskich. Wieloletni kurator Międzynarodowego Pleneru Impresje Mikołowskie.



Renata Bonczar, CO DALEJ?, olej, płótno, 120x90

Wystawy stałe

- > **Galeria sztuki polskiej 1800–1945**
- > **Galeria sztuki polskiej po 1945 roku**
- > **Galeria plastyki nieprofesjonalnej**
- > **Światło historii.**
Górny Śląsk na przestrzeni dziejów
- > **Laboratorium przestrzeni teatralnych** – przeszłość w teraźniejszości

Wystawy czasowe

- > **Muzeum w organizacji,**
muzeum w wyobraźni
- > **Modry.** Leon Tarasewicz
- > **Szczerze.** Jan Nowak.
Grafika

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. L. Dąbrowskiego 1
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury w Sankcjonacji Wzajemności Sankcji w aspekcie wymiaru prawa kulturalnego Kultury Dziedzictwa Narodowego



PROGRAM REGIONALNY
ROZWOJU REGIONALNEGO



WSPARCIE
OPERACYJNE
ROZWOJU REGIONALNEGO

Śląskie. Pozytywna energia

Jakościowy Program Operacyjny Wzrost i Pracownictwo w Regionie Śląskim – realizacja w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Wzrost i Pracownictwo w Regionie Śląskim w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego Wzrost i Pracownictwo w Regionie Śląskim lata 2007–2013 oraz środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



SZTUKA
WIELO
PERSPEKTYW

MUZEUM ŚLĄSKIE
OTWARTE
od 26.06.2015